

Ed McBain



Szewska

basia

Ed
McBain

**Szewska
pasja**

Przełożył
Andrzej Grabowski

Książkę tę dedykuję Richardowi Charltonowi

Miasto na kartach tej książki jest zmyślone. Wszystkie postaci i miejsca fikcyjne.

Jedynie opisane metody śledcze są zgodne z tymi, jakie na co dzień stosuje policja.

Rozdział pierwszy

Długie łukowate wykuszowe okno wychodziło na rzekę Harb, po której późnym popołudniem kursowały pomiędzy dwoma stanami holowniki i barki. Krajobraz za szybami miał w sobie kryształową czystość i żywość przełomu października i listopada, a pomarańczowożłote liście krzyczały kolorami na tle aż przesadnie niebieskiego, przesadnie zimnego nieba.

Powietrze w pokoju nie było tak klarownie przejrzyste jak za oknem, bo spowijał je dym z cygar i papierosów, wiszący nad głowami ludzi, którzy przyszedli tu w interesach. Dym unosił się jak oddechy przegnanych duchów, lgnąc niczym wczesnoporanna mgła cementarna do szerokich, mocowanych kołkami desek podłogi i wzlatając ku nagim, ręcznie ciosanym belkom sufitowym. Pokój był ogromny, ale w tej chwili zaśmiecony rekwizytami długiej, żmudnej narady — przepełnionymi popielniczkami, brudnymi, nie dopitymi szklankami, które wały się jak odpadki po wycofującej się pijanej armii, i pustymi butelkami, poniewierającymi się na stołach — zgromadzeni mężczyźni zaś tak wyczerpani i strudzeni, jakby i oni, niczym ów lgnący, snujący się dym, byli gotowi rozpląnąć się w powietrzu.

Dwaj siedzący naprzeciwko Douglasa Kinga goście uporczywie aż do znudzenia przedstawiali swoje racje, mówiąc rytmicznie językami z precyzją stepujących tancerzy kabaretowych. Gospodarz słuchał ich w milczeniu.

— Chcemy tylko, żebyś myślał kategoriami czystego zysku — powtórzył George Benjamin.

— Czy to wiele? — ponowił pytanie Rudy Stone.

— Owszem, myśl o butach. Nie zapominaj o butach. Ale tylko w tym sensie, jak się one mają do czystego zysku.

— Obuwie Grangera to interes, Doug, interes! Zysk i strata! Profit i deficyt!

— A my chcemy zapewnić Obuwii Grangera profity, tak?

Więc miej to na uwadze i pomyśl o zysku, a potem jeszcze raz przyjrzyj się tym butom — powiedział Benjamin.

Wstał z fotela. Był chudy jak patyk, a na jego wąskiej twarzy królowały okulary w czarnej oprawie. Z chyżością drapieżnego ptaka dopadł, niemal tak, jakby szybował, do mosiężnego wózka na herbatę, stojącego nie opodal kanapy, którego blat zaścilały damskie buty. Wziął jeden z pantofli i tym samym śmigłym szybującym krokiem o tak osobliwym wdzięku, iż zdawało się, że unosi się kilka cali nad kosztowną podłogą, podszedł do siedzącego w beznamietnym milczeniu Kinga. Wyciągnął but w jego stronę.

— Czy taki but zachęca do kupna? — spytał.

— Nie zrozum George'a źle — wtrącił pośpiesznie Stone, który stał przy zajmujących całą ścianę salonu regałach z książkami.

Był muskularnym, czterdziestopięcioletnim blondynem o powierzchowności, wypisz, wymaluj, nordyckiego boga, zwinnym i gibkim niczym młodzik. A w dodatku ubranym z pretensjonalnie artystycznym smakiem — w kraciatą kamizelkę i niebieskawą sportową marynarkę, które wyglądały zbyt młodzieżowo jak na jego wiek.

— To dobry but, piękny but, ale w tej chwili myślimy kategoriami czystego zysku.

— Profitów i deficytu — powtórzył Benjamin. — To nas obchodzi. Mam rację, Frank?

— W stu procentach — odparł Frank Blake. Zaciągnął się cygarem i wydmuchnął kłęb dymu pod wysoki sufit.

— Taki but nie przyciąga masowej klienteli, Doug — powiedział Stone odchodząc od regałów. — Brak mu fantazji.

— Brak charakteru, ot co — dodał Benjamin. — Przeciętną amerykańską gospodynię nie tylko że nie stać na te buty, ale nie kupiłaby ich nawet wtedy, gdyby ją było na nie stać! Chcemy zdobyć przeciętną Amerykankę. Małą kobietkę, która uwija się przy rozgrzanym piekarniku i wyciera zasmarkane nosy. Nasza klientka to właśnie ona. Przeciętna Amerykanka, najgłupsza z głupich klientek na świecie.

— Musimy ją podniecić, Doug. To rzecz najważniejsza.

— Musimy doprowadzić te baby do białej gorączki.

— Co podnieca kobiety, Doug?

— Jesteś żonaty. Co podnieca twoją żonę?

King beznamyślnie przyglądał się Benjaminowi. Stojący dwa metry za Benjaminem Pete Cameron, który mieszał koktajl, nagle podniósł głowę i złowił spojrzenie gospodarza. Uśmiechnął się poufnie, ale King nie odpowiedział mu uśmiechem.

— Kobiętę podniecają stroje! — oznajmił Stone.

— Sukienki, kapelusze, rękawiczki, torebki, buty! — dodał Benjamin, podnosząc głos. — No a buty to nasz biznes, w biznesie zaś nikt nie siedzi bez kozery!

— Absolutnie nikt! — rzekł Stone. — Czysty zysk zależy od zachęty do kupna, od podniety. A tymi butami nie podniecisz kobiet. Nie podniecilibyś nimi nawet nagrzaną kobylę!

W salonie przez chwilę było cicho.

— Co my sprzedajemy? — spytał King. — Buty czy środki podniecające?

Frank Blake natychmiast wstał i z jego mięsistych warg poczęły się odrywać słowa naznaczone silnym akcentem południowca. Miał pięćdziesiąt sześć lat i wyglądał na takiego, któremu na niczym nie zbywa.

— Doug sobie żartuje — powiedział. — Wybaczcie, ale nie przyjechałem tu aż z Alabamy po to, żeby słuchać żartów. Zainwestowałem w Grangera pieniądze, a z tego, co słyszę od George'a Benjamina o zarządzaniu firmą, jasno wynika, dlaczego jest prawie pod kreską.

— Frank ma rację, Doug — poparł go Benjamin. — Tu nie ma z czego żartować. Jeżeli szybko czegoś nie zrobimy, to Obuwie Grangera wpadnie prosto pod przysłowiową rynnę.

— Bez przysłowiowego deszczu — dodał Stone.

— Czego ode mnie chcecie? — spytał cicho King.

— Nareszcie pytasz o co trzeba — powiedział Benjamin. — Pete, zrób mi jeszcze coś do picia, dobrze?

Stojący przy barku Pete Cameron skinął głową i szybko zabrał się do przygotowania koktajlu. Był tak oszczędny w ruchach, jakby skrojono je na miarę, tak jak dobrze uszyty, szary,

flanelowy garnitur, w który był ubrany. Ów wysoki, przystojny trzydziestopięciolatek nie przestając mieszać trunków raz po raz rzucał piwnymi oczami na wszystkich obecnych w salonie.

— Czego od ciebie chcemy, Doug? — powtórzył Benjamin. — Otóż chcemy następującej rzeczy.

— Wyjaśnij mi dokładnie — powiedział Stone.

Cameron przyniósł przygotowany koktajl.

— Jeszcze komuś? — spytał.

— Mnie nie — odparł Blake, zakrywając dłonią swoją szklanę.

— Mnie możesz dolać, Pete — rzekł Stone, wręczając swoją prawie pustą szklaneczkę Cameronowi.

— Dobra, Doug — powiedział Benjamin. — W tej chwili są w tym pokoju wszyscy szefowie działów Obuwia Grangera. Ja reprezentuję dział sprzedaży, ty produkcję, a Rudy ustala wzornictwo. Wszyscy trzej zasiadamy w zarządzie i świetnie wiemy, co przeszkadza firmie.

— Co? — spytał King.

— Stary.

— To on narzuca, jakie buty mamy produkować — powiedział Stone. — To on tę firmę pogrąża.

— Nie odróżnia buta od plastra na odciski — zawtórował mu Benjamin.

— Co on wie o kobiecych gustach? Co on w ogóle wie o kobietach, jak Boga kocham?! — zawołał Stone.

— Ma siedemdziesiąt cztery lata, a pewnie nadal jest prawiczkiem — dorzucił Benjamin.

— Ale jest prezesem Grangera, więc firma tańczy, jak jej zagra Stary — dodał Stone.

— No, a dlaczego jest prezesem? Czy chociaż raz przestałeś zadawać sobie to pytanie?

— Doug nie jest głąbem, George. Dobrze wie, dlaczego Stary jest prezesem.

— Bo ma dość akcji, żeby każde wybory przechylić na swoją stronę — wtrącił Blake, przerywając tamtym dialog.

— Tak więc jest prezesem jak rok długi — przyznał Stone i skinął głową.

— A my jak rok długi przyglądamy się beczynnie, jak on produkuje te... te buty dla matron! — wykrzyknął Benjamin.

— I jak rok długi patrzymy na pogrążanie się firmy coraz bardziej.

— A wartość moich akcji leci w dół. Tak nie może być, Doug — powiedział Blake.

Benjamin podszedł szybko do wózka. Kiedy tamci mówili, King milczał. W milczeniu też przyglądał się Benjaminowi, jak ze stosu butów leżących na blacie wózka bierze czerwony lakier.

— Spójrz tylko na ten but — powiedział Benjamin. — Przyjrzyj mu się! Jest w nim styl! Fantazja! Podnieta!

— Sam nadzorowałem projekt tego cacka — rzekł z dumą Stone.

— Wzory zrobiliśmy, kiedy byłeś na urlopie, Doug.

— Wiem, co się działo w fabryce, kiedy byłem na urlopie, George — odparł cicho King.

— Tak? Tak?

— Tak.

— Podaj mu ten but — powiedział Stone. — Niech go obejrzy z bliska.

Benjamin wręczył lakier Kingowi i odwrócił się, by zerknąć na pykającego cygaro Blake'a. King w milczeniu obrócił pantofel w swoich dużych dłoniach, dokładnie go oglądając.

— I co o nim myślisz, chłopie? — spytał Benjamin. — Kobiety sfiksują na jego punkcie. A zresztą, co one wiedzą. Czy zależy im na jakości, jeżeli tylko but ozdabia nogę?

— Czytam w jego myślach — rzekł Stone. — Uważa, że Stary nie dopuści do wyprodukowania takiego buta.

— Owszem, ale Stary może nie mieć nic do gadania. Właśnie w tej sprawie tu dziś przyszliśmy.

— A, więc w tej sprawie tu przyszliście? — spytał spokojnie King, ale ironia w jego głosie umknęła wszystkim z wyjątkiem Camerona, który dosłyszał ją i uśmiechnął się.

— Stary ma w ręku potężny pakiet akcji — powiedział ze zwięzonymi oczami Benjamin. — Dwadzieścia pięć procent.

— Ciekaw byłem, kiedy zaczniemy o nich mówić — rzekł

King.

Benjamin zaśmiał się niepewnie.

— To łebski facet, Frank — powiedział. — Nasz Doug nie jest w ciemię bity.

King nie zareagował na ten komplement.

— Stary ma dwadzieścia pięć procent akcji, a ty, Rudy i Frank do spółki dwadzieścia jeden. Za mało, żeby go utraćić w wyborach — rzekł bez owijania w bawełnę i znacząco zawiesił głos. — Co zamierzacie?

— Przejąć władzę — odparł Stone.

— Przejąć władzę — zawtórował mu Benjamin. — Chcemy twoich akcji. Chcemy, żebyś je dołączył do naszych.

— Hm?

— Ty masz trzynaście procent, Doug. Reszta jest rozproszona pośród ludzi, których guzik obchodzi, kto wygra wybory.

— Z twoimi akcjami będziemy ich mieli całe trzydzieści cztery procent, aż nadto, żeby przebić Starego — powiedział Stone. — Co ty na to, Doug?

— Dołącz się do nas, chłopie — powiedział z zapalem Benjamin. — Wybierzemy nowego prezesa. Wyprodukujemy buty takie jak ten, który trzymasz w ręku. Możemy je sprzedawać po siedem dolarów. Firma Granger namiesza w branży taniego obuwia jak cholera! Pal sześć wysoką jakością! Wielkie pieniądze zapewnia tylko masowa sprzedaż. Wejdziemy na rynek taniego obuwia z marką, która zawsze oznaczała pierwszorzędny towar, i rozniesiemy konkurencję.

— Uważam, że pomysł George'a ma ręce i nogi — wycedził Blake. — W przeciwnym razie nie jechałbym taki kawał drogi. Mnie interesuje ochrona mojego kapitału, Doug. Szczerze mówiąc, nie obchodzi mnie, jakie buty sprzedajemy, jeśli tylko na nich zarabiamy. Tym właśnie s ę zajmuję — zarabianiem pieniędzy.

— Chcecie przegłosować Starego? — spytał King. — Wybrać nowego prezesa?

— Właśnie, Doug — odparł Stone.

— Kogo?

— Co kogo?

— Kto zostanie prezesem?

Krótką chwilę zwlekali z odpowiedzią. Cała trójka wymieniła spojrzenia.

— Ty masz, oczywiście, trzynaste procent akcji, a więc niemało, niemało — rzekł Stone. — Ale bez naszego połączonego pakietu i tak nic nie zdziałasz, a zatem...

— Nie masz się co czać, Rudy — przerwał mu stanowczym tonem Blake. — Przerzucenie się na produkcję taniego obuwia to wyłączny pomysł George'a, tak jak i to spotkanie. Doug na pewno sam przyzna, że to uczciwa oferta.

— Doszliśmy do wniosku — rzekł ostrożnie Stone, jakby spodziewał się wybuchu — że prezesem powinien zostać George Benjamin.

— No, no, a to niespodzianka — powiedział z cierpką ironią King.

— Ty zostałbyś oczywiście samodzielny wiceprezesem i dostałbyś ogromną podwyżkę — dodał szybko Stone.

Douglas King przez chwilę bez słowa mierzył wzrokiem trzech gości, a potem wolno podniósł się z kanapy. Kiedy siedział na niej wygodnie rozparty, sprawiał wrażenie krępego, lecz przysło ono, ledwie tylko stanął. Miał co najmniej metr osiemdziesiąt pięć wzrostu, szerokie bary i wąską talię skoczka do wody. Trudno orzec, czy przy jego czterdziestu dwóch latach siwizna na skroniach zasługiwała na miano przedwczesnej, w każdym razie przydawała dostojeństwa jego silnie zarysowanym kościom policzkowym i szczęce oraz chłodno pobłyskującym oczom.

— A więc produkowałbyś taki towar, George? — spytał, wyciągając przed siebie czerwony lakierok. — Opatrzyłbyś nazwą firmy taki but?

— Tak, owszem.

— Naturalnie, pod warunkiem, że wyeliminowalibyśmy około połowy naszych zwykłych czynności produkcyjnych. — King zawahał się przez ułamek sekundy coś rozważając, po czym dodał: — Właściwie wszystkie obecne prace w krajalni zastąpiłyby matryce i wytlaczarki. A poza tym odpadłyby

maszyny z czwartego piętra, no i wszystkie...

— To dobry pomysł, prawda, Doug? — spytał z nadzieją Benjamin.

— A tak wyglądałby efekt końcowy. Ten but — rzekł King i wpatrzył się w lakierka.

— Efektem końcowym byłby większy zysk — powiedział Blake.

— Temu butowi nic nie brakuje, Doug — wtrącił obronnym tonem Stone.

— Stary być może rzeczywiście kopie naszej firmie grób, ale przynajmniej zawsze produkował porządne buty. A wy chcecie wypuścić szmelc! — oświadczył King.

— Zaczekaj, Doug, chwileczkę...

— Nie, to ty zaczekaj! Ja lubię Obuwie Grangera. Pracuję w tej fabryce od dwudziestu sześciu lat, a zacząłem ,ako szesnastolatek od pracy w magazynie. Z wyjątkiem służby wojskowej praktycznie całe moje dorosłe życie spędziłem w tej firmie. Znam tu każdy dźwięk, każdy zapach, każdą pracę i znam się na butach. Na dobrych butach. Na jakości! I nie oznaczę naszą marką byle bubla!

— Ależ dobrze, zgoda, tu masz przecież tylko wzór — powiedział Stone. — Możemy wyprodukować trochę lepszy but. Może coś do...

— Do czego?! Ten pantofel rozpadnie się po miesiącu! Gdzie jest stalowe śródstopie? Gdzie są, do diabła, na- piętki? Gdzie kapka? Co to za tania wkładka? — King wyrwał z pantofla wkładkę, oderwał pasek i sprzączkę. Jednym szybkim ruchem dłoni odłamał obcas i wyciągnął przed siebie szczątki lakierka. — Chcecie sprzedawać to?! Kobietom?!

— Ten wzór kosztował nas... — zaczął Stone, oburzony zniszczeniem bucika.

— Wiem dokładnie, ile nas kosztował, Rudy.

— Romantyczne mrzonki nie zwiększą zysków! — powiedział gniewnie Blake. — Jeżeli nie umiemy zarobić na jakości, to musimy...

— Kto nie umie zarobić na jakości? — spytał King. — Owszem, dla innych producentów wykwintnego obuwia byłby

to z pewnością szok. Może nie umie na niej zarobić Stary, może nie umiecie wy, ale...

— Doug, buty to interes, interes!

— Wiem, że to interes! Mój interes, interes, który kocham! Buty to część mojego życia, więc jeżeli zacznę produkować gówniany towar, to moje życie też zacznie cuchnąć!

— Nie mogę dłużej trzymać akcji firmy, która coraz bardziej schodzi na psy — oświadczył Blake. — To głupota. To nie...

— Więc sprzedaj je! Czego chcesz ode mnie, jak Boga kocham!

— Do tej pory trzymałem język na wodzy, Doug — odezwał się nagle Benjamin. — W dalszym ciągu kontrolujemy dwadzieścia jeden procent akcji, a znam większe figury od ciebie, które traciły w głosowaniu pracę.

— To na co czekacie, przegłosujcie mnie — odparł King.

— Jeżeli znajdziesz się na bruku...

— Bądź o mnie spokojny, George. Ja nie wylecę na bruk!

King rzucił szczątki czerwonego lakierka na wózek na herbatę i obrócił się ku schodom, które zaczynały się tuż przy przedpokoju.

— Gdybyś pomógł mi zostać prezesem, ogromnie wzrosłyby twoje zarobki. — powiedział Benjamin. — Mógłbyś... — Urwał nagle. — A ty dokąd? Mówię do ciebie!

— To jest jeszcze mój dom, George — odparł King. — Mam dość tego zebrania, dość waszych propozycji i dość was samych. Więc wychodzę. Może byście zrobili to samo?

Benjamin ruszył za nim ku schodom. Wąska twarz poczerwieniała mu ze złości.

— A więc nie chcesz, żebym został prezesem Grangera, o to chodzi?! — krzyknął.

— Właśnie o to — odparł King.

— Jasna cholera, a kto według ciebie powinien zostać prezesem?

— Domyśl się — odrzekł King, wszedł po schodach i zniknął im z oczu.

Po jego wyjściu zaległa martwa cisza. Benjamin wpatrywał się w schody, gdzie tamten zniknął, a na jego twarzy i w oczach

pojawił się wzbierający, powstrzymywany dotąd gniew. Blake ze złością zdusił cygaro w popielniczce i ciężkim krokiem poszedł do szafy w przedpokoju po płaszcz. Stone zaczął pakować pantofle do walizki na wzory butów, ostrożnie, niemal miłośnie zbierając kawałki czerwonego lakierka i kręcąc głową nad jego szczątkami. Benjamin wreszcie odwrócił się od schodów i podszedł do barku, przy którym stał Pete Cameron.

— Co on chowa w rękawie, Pete? — spytał.

— Chyba rękę.

— Nie żartuj sobie, do cholery! Jesteś jego zastępcą. Jeżeli ktoś wie, co on knuje, to właśnie ty. No więc, co to jest? Chcę wiedzieć.

— Pytanie pod złym adresem — odparł Cameron. — Nie mam zielonego pojęcia.

— Więc się dowiedz.

— Nie jestem pewien, czy dobrze cię rozumiem.

— Nie strugaj naiwnego, Pete — powiedział Benjamin. — Właśnie złożyliśmy Dougowi propozycję. Odrzucił ją, a tym samym posłał nas do diabła. Nie posyłasz do diabła kogoś, kto ma dwadzieścia jeden procent akcji, chyba że sam czujesz się bardzo mocny. A więc dlaczego on czuje się taki mocny?

— Czemu sam go o to nie zapytasz? — odparł Cameron.

— Nie bądź taki wyszczekany, chłopcze, bo ci z tym nie do twarzy. Ile w tej chwili zarabiasz? Dwadzieścia, dwadzieścia pięć kawałków? Możesz mieć więcej, Pete.

— Tak?

Stone wyjął z szafy w przedpokoju płaszcz i podszedł do nich. Wskazując za siebie na schody, powiedział:

— Jeżeli ten drań myśli, że to mu ujdzie na sucho...

— Nie lubię, jak mnie wyrzucają z domu — przerwał mu gniewnie Blake. — Cholernie nie lubię! George, na następnym posiedzeniu zarządu przegłosujemy powrót jaśnie wielmożnego pana Kinga do magazynu!

— On o tym wie — rzekł cicho Benjamin. — Wie o tym, a się nie przejmuje... To oznacza, że załapał się na coś dużego. Na co, Pete? Na układ ze Starym?

Cameron wzruszył ramionami.

— Cokolwiek to jest, chcę urwać temu łeb — powiedział Benjamin. — A każdy, kto mi w tym pomoże, może liczyć na fotel zwolniony przez Kinga. Wiesz, ile wart jest jego fotel, Pete?

— Trochę się orientuję.

— A ja się orientuję, że wiesz, dokąd chcesz zajść w tej firmie. Przemyśl to sobie, Pete.

Stone podał Benjaminowi płaszcz i kapelusz. Benjamin szybko nałożył płaszcz i trzymając homburg w dłoniach spytał:

— Znasz numer mojego telefonu domowego?

— Nie.

— Westley Hills, WE 4-79-81. Zapamiętasz?

— Jestem zastępcą Douga od dawna — odparł Cameron.

— No, to czas, żebyś rozwinął skrzydła. Zadzwoń do mnie.

— Kusisz mnie — odrzekł z leciutkim uśmiechem Cameron.

— Jak to dobrze, że jestem uczciwy.

Mężczyźni spojrzeli sobie w oczy.

— Owszem, dobrze — odparł z cierpką ironią Benjamin. — A mój numer to Westley Hills 4-79-81.

Stone sięgnął po walizkę i nałożył kapelusz.

— Jeżeli ten drań King myśli, że... — zaczął i raptem urwał.

Po schodach zeszła niepostrzeżenie Diana King i stała właśnie spoglądając na salon. Mężczyźni patrzyli na nią bez słowa. Pierwszy zareagował Stone. Uchylił lekko kapelusza, powiedział uprzejmie „Do widzenia, pani King” i otworzył drzwi wejściowe.

Benjamin nałożył kapelusz.

— Do widzenia, pani King — pożegnał się grzecznie i wyszedł za Stone'em.

Blake upuścił kapelusz, niezdarnie schylił się po niego, podniósł, nałożył na łysiejącą głowę, powiedział uprzejmym tonem „Do widzenia, pani King” i pośpiesznie wyszedł, zatraskując drzwi.

— Co oni zrobili Dougowi? — spytała natychmiast Diana.

Rozdział drugi

Posiadłość Kinga — gdyż była to posiadłość — leżała w rejonie podlegającym 87 posterunkowi policji. Właściwie to na samych rubieżach jego terytorium, bo dalej była już tylko rzeka Harb. Ugory, na których się znajdowała, stanowiły część gruntów ciągnących się od zakola rzeki po arbitralną granicę, jaką wyznaczał most Hamiltona. Na terenach tych stało kilka tuzinów domostw, które były jak z innej epoki, lecz, o dziwo, przydawały nader wielkomiejskiemu obliczu tego miasta klimatu niegdysiejszej sielskości i innego świata.

Wszyscy, z wyjątkiem jej mieszkańców, nazywali tę dzielnicę Klubem. Jej rezydenci, których była niespełna setka, nazywali ją jednak Smoke Rise. Wymieniali tę nazwę obojętnym tonem, świetnie wiedząc, iż oznacza ona ekskluzywność i bogactwo. Zdawali sobie sprawę, że Smoke Rise to prawie miasto w mieście. Utwierdzało ich w tym nawet jej położenie geograficzne. Na północy jej granicę wytyczała rzeka Harb. Na południu rząd rosnących przy autostradzie Rzecznej topoli, który tworzył barierę, skutecznie broniącą tę enklawę przed inwazją reszty miasta i reszty świata.

Na południe od autostrady leżała luksusowa Silvermine Road, daleka i zamożna (ale nie przesadnie) kuzynka Smoke Rise. Dalej, na południe od parku Silvermine i stojących naprzeciwko niego budynków mieszkalnych, przechodzień stykał się z pierwszymi oznakami merkantylizmu — mrugającymi neonami, nocnymi lokalami, sklepami cukierniczymi, krzykliwymi kolorami świateł sygnałowych na ulicy Stern, która niczym broczący krwią nóż przecinała rejon posterunku 87. Na południe od niej ciągnęła się Ainsley Avenue, a przemiana bogactwa w nędzę była tu ledwie uchwytna, budynki nadal nosiły w sobie niegdysiejsze dostojęństwo ongiś modnej, a dziś podupadłej dzielnicy Homburg. Dalej zaczynała się Culver Avenue, gdzie zmiany były już wyraźne, a człowiek dostawał nagle siarczysty,

okrutny policzek od nagiej biedy, bezwstydnie огоłoconych brudnych budynków wznoszących usmolone fasady ku chłodnemu, zimowemu niebu, knajp przycupniętych pośród obojętnych facjat czynszówek, kościołów skulonych na rogach ulic — „Przyjdź pomodlić się do Pana Boga” — i od wiatru grasującego w szarym kanionie kamienic, tak zimnego, jak lodowaty podmuch w tundrze.

A jeszcze dalej, biegnąc na południe szlak wiódł przez krótki odcinek Madison Avenue, znany Portorykańczykom jako La Via de Putas, będący na tej lodowej krze błyskiem egzotyki, wybuchem erotyzmu, potem zaś przez Grover Avenue, za którą rozciągały się szczęśliwe tereny łowieckie bandziorów, nożowników i gwałcicieli, czyli Grover Park.

Budynek 87 posterunku stał przy Grover Avenue, naprzeciwko parku. Pokój detektywów policyjnych mieścił się na pierwszym piętrze.

Detektyw drugiego Stopnia Meyer Meyer siedział przy biurku pod oknem wychodzącym na Grover Avenue : park po drugiej stronie ulicy. Białe październikowe słońce odbijało się od jego łysej głowy i tańczyło w niebieskich oczach. Przed nim, na biurku, spoczywał blok poliniowanego żółtego papieru. Meyer notował szybko, a siedzący naprzeciw niego mężczyzna mówił.

Przedstawił się jako David Kin. Powiedział Meyerowi, że jest właścicielem sklepu radiotechnicznego.

— Sprzedaje pan części radiowe, tak? — upewnił się Meyer.

— No, nie do zwykłych aparatów radiowych. To znaczy, trochę takich też, ale niedużo, a handlujemy głównie częściami dla kafelków, rozumie pan?

Kin kciukiem i palcem wskazującym uszczypnął się w nos. Meyer odniósł wrażenie, że chce go wysmarkać, a może w nim podłubać. Zastanawiał się, czy Kin ma chusteczkę. Już chciał mu zaofiarować ligninową, ale doszedł do wniosku, że mogłby go tym dotknąć.

— Dla kafelków? — spytał.

— Tak, kafelków. Nie chodzi o glazurę. Nie o takie kafelki. — Kin uśmiechnął się i znów uszczypnął się w nos. — To znaczy,

nie prowadzimy sklepu dla glazurników ani nic z tych rzeczy. Przez kafelków rozumiem krótkofalowców, radioamatorów. Takich ludzi. Głównie im sprzedajemy sprzęt. Zdziwiłby się pan, ilu ich mieszka w tej dzielnicy. Nie przyszłoby to panu do głowy, co?

— Nie, raczej nie — odparł Meyer.

— Jasne, że jest ich dużo. Ja i mój wspólnik robimy tu niezłe interesy. Sprzedajemy też trochę zwyczajnego sprzętu, jak radia turystyczne, zestawy hi-fi i tym podobne, ale tylko dodatkowo, bo głównie handlujemy częściami dla kafelków, rozumie pan.

— Rozumiem, panie Kin — odparł Meyer, pragnąc w duchu, żeby ten człowiek wysmarkał nos. — Ale czego dotyczy pańska skarga?

— No, tego... — zaczął Kin i uszczypnął się w nos — że ktoś włamał się do naszego sklepu.

— Kiedy?

— W zeszłym tygodniu.

— A dlaczego zgłasza pan to włamanie dopiero dzisiaj?

— Nie mieliśmy zamiaru go zgłaszać, bo ten włamywacz właściwie nie ukradł wiele. Sprzęt radiowy sporo waży, więc potrzeba krzepy, żeby wynieść cały sklep. W każdym razie nie zabrał dużo, tak że postanowiliśmy ze wspólnikiem nie zawracać tym sobie głowy.

— A dlaczego zgłasza pan to teraz?

— No, bo on wrócił. Znaczy się, włamywacz. Złodziej.

— Wrócił?

— Tak.

— Kiedy?

— Zeszłej nocy.

— I tym razem wyniósł dużo sprzętu, tak?

— Nie, nie. Tym razem wziął nawet mniej niż za pierwszym razem.

— Zaraz, chwileczkę, panie Kin, zacznijmy od początku. Może dać panu chusteczkę ligninową?

— Chusteczkę ligninową? A po co mi ona? — spytał Kin i ponownie uszczypnął się w nos.

Meyer westchnął cierpliwie.

Spośród detektywów 87 posterunku Meyer Meyer był zapewne najcierpliwszy. Jego cierpliwość nie była cechą wrodzoną. Prawdę mówiąc, jego rodzicom zdarzało się zachowywać poniekąd impulsywnie. Ich pierwszy popędliwy czyn zaowocował poczęciem i narodzinami samego Meyera Meyera. A był on, trzeba wiedzieć, dzieckiem wieku przekwitania. Jeśli na ogół zbliżające się narodziny dziecka przepełniają przyszłych rodziców niepohamowaną radością, to w przypadku starego Maxa Meyera, kiedy odkrył, że zostanie obdarzony potomkiem, rzecz miała się inaczej. Max nie przyjął tej wieści życzliwie. Bynajmniej. Rozpamiętywał ją, zamartwiał się nią, gryzł i dąsał, aż wreszcie w przypiływie weny wymyślił, jak się zemści na noworodku. Na imię dał chłopcu Meyer — nie ma co, był to paradny żart, boki zrywać. Przez niego dzieciak omal nie zginął.

No cóż, być może to przesada. W końcu Meyer Meyer osiągnął wiek męski i wyrósł na mężczyznę zdrowego na duszy i ciele. Rzecz jednak w tym, że Meyer dorastał w dzielnicy chrześcijańskiej, a fakt, że był starozakonnym Żydem, i to z takim dubeltowym imieniem-nazwiskiem jak Meyer Meyer, wcale mu nie pomógł w zdobyciu przyjaźni i poważania u ludzi. W dzielnicy, gdzie sam fakt czyjegoś żydostwa wystarczał, by wywołać wybuch nienawiści, Meyer Meyer naprawdę nie miał łatwego życia. „Meyer mosiek, Żyd na stosie!” śpiewały dzieci i chociaż nigdy nie przełożyły tej śpiewki na prawdziwe auto da fe, to oprócz podpalenia nie oszczędziły niczego żydowskiemu chłopcu ze zwariowanym przezwiskiem.

Meyer Meyer nauczył się cierpliwości. Z tuzinem chłopaków nie da rady wygrać pięściami. Człowiek uczy się używać zamiast tego głowy. Cierpliwie i z głową Meyer Meyer rozwiązał swoje kłopoty bez pomocy psychiatry. Cierpliwość stała się cechą jego charakteru. Cierpliwość stała się dla niego stylem bycia. Możliwe więc, że żart starego Maxa Meyera był w końcu dosyć niewinny. Chyba że ktoś dostrzegął fakt, iż Meyer Meyer jest łysy jak kolano. Jednak nawet i to nie było właściwie ważne, jeśli tylko nie powiązało się tego faktu z

drugim, czysto chronologicznej natury, a mianowicie, że detektyw Meyer Meyer miał dopiero trzydzieści siedem lat.

Trzymając więc ołówek nad blokiem żółtego papieru cierpliwie zapytał:

— Proszę mi powiedzieć, panie Kin, co ukradł ten złodziej, kiedy pierwszy raz włamał się do pańskiego sklepu?

— Oscylator — odparł Kin.

Meyer zanotował to.

— A po ile sprzedaje pan takie oscylatory? — spytał.

— No, to był oscylator sześćsetwoltowy, numer 2L- 2314. Sprzedajemy je po pięćdziesiąt dwa dolary trzydzieści dziewięć centów. To cena z wliczonym podatkiem.

— I tylko to zabrał za pierwszym razem?

— Tak, tylko to. Brutto dostajemy od każdej sztuki czterdzieści procent ceny detalicznej, więc nie była to aż ;ak duża strata. Dlatego postanowiliśmy nie zawracać tym sobie głowy, rozumie pan.

— Rozumiem. Ale ten złodziej włamał się ponownie do waszego sklepu zeszłej nocy, zgadza się?

— Zgadza — odparł Kin szczypiąc się w nos.

— I co ukradł tym razem?

— Drobiazgi. Na przykład, przekaźnik, który sprzedajemy po dziesięć dolarów i dwadzieścia centów, wliczając podatek. Poza tym kilka baterii. Łącznik nożowy. Takie rzeczy. Zakosił sprzęt wart najwyżej dwadzieścia pięć dolarów.

— Ale tym razem zgłasza pan włamanie.

— Tak.

— Dlaczego? Skoro strata jest tym razem mniejsza, niż strata...

— Ponieważ obawiamy się, że wróci trzeci raz. Przypuśćmy, że tym razem przyjedzie, cholera, ciężarówką wyczyści sklep? To przecież możliwe.

— Wiem o tym. I doceniamy, że zgłasza pan nam przestępstwo, panie Kin. Od tej chwili będziemy mieć oko na pański sklep. Zechce mi pan podać jego nazwę.

— „Kinol — części radiowe” — odparł Kin.

Meyer zamrugał oczami.

— Aha... a skąd taka nazwa? — spytał.

— No, jak pan wie, ja się nazywam Kin.

— Tak.

— A mój wspólnik ma na imię Oliver. Tak więc złożyliśmy te dwa do kupy i otrzymaliśmy nazwę.

— A nie lepiej było skorzystać z innej części imienia pańskiego wspólnika? Może z jego nazwiska.

— Z jego nazwiska? — spytał Kin. — Doprawdy nie wiem, jak można by z niego skorzystać.

— A jak jego godność?

— Lipszyc.

— No tak — rzekł Meyer i westchnął. — A jaki jest adres tego sklepu, panie Kin?

— Osiemnaście-dwadzieścia siedem Culver Avenue.

— Dziękuję — powiedział Meyer. — Będziemy mieć na niego oko.

— Dziękuję panu — rzekł Kin.

Wstał, ścisnął nos i wyszedł z pokoju.

Kradzież sprzętu wartości około siedemdziesięciu pięciu dolarów nie jest sama w sobie niczym ważnym, przynajmniej jak na kradzież. Chyba że podchodzi się pedantycznie do litery prawa i należy do rygorystów, którzy uważają, iż każda, choćby najmniejsza i najgłupsza kradzież jest w istocie przestępstwem. Dla policjantów z 87 posterunku kradzieże wartości siedemdziesięciu pięciu dolarów były zjawiskiem powszednim i jeśli ktoś zamęczał się ściganiem drobnych złodziejstw, to nie miał czasu na ściganie naprawdę poważnych przestępstw. Nie, na pierwszy rzut oka skarga pana Kina nie była żadną rewelacją, chyba że policjant nazywał się Meyer Meyer, wiedział na bieżąco, co dzieje się w pokoju detektywów i na posterunku, a natura obdarzyła go świetną pamięcią.

Meyer uważnie odczytał to, co zanotował w leżącym przed nim bloku, a potem podszedł do biurka w drugim końcu pokoju. Siedział tam Steve Carella, który wskazującymi palcami obu rąk walił w oporną maszynę do pisania, pracowicie wystukując na niej raport.

— Steve — odezwał się Meyer. — Rozmawiałem przed chwilą

z gościem, który...

— Szszsz, szszsz — uciszył go Carella i bębniąc w maszynę dokończył akapit. A wtedy podniósł wzrok.

— Mogę mówić? — spytał Meyer.

— Wal.

— Rozmawiałem przed chwilą z gościem, który...

— Może byś usiadł? Napijiesz się kawy? Niech Miscolo nam naparzy.

— Nie, nie chcę kawy — odrzekł cierpliwie Meyer.

— A więc to nie towarzyskie odwiedziny?

— Nie. Rozmawiałem przed chwilą z gościem, który ma sklep z częściami radiowymi na Culver Avenue.

— Tak?

— Tak. I do tego sklepu włamano się dwa razy z rzędu. Za pierwszym razem złodziej ukradł oscylator, cokolwiek to jest, a za drugim garść rozmaitych drobnych części. No a teraz przypomniałem sobie...

— Tak, co takiego? — spytał Carella, zsunął z biurka kartkę maszynopisu i otworzył dolną szufladę biurka. Rzucił na blat plik dokumentów i zaczął je pośpiesznie przeglądać.

— Że mieliśmy sporo włamań do sklepów radiowych, prawda? — dokończył Meyer.

— Tak, tak. Gdzie, do diabła, jest ten wykaz?! — odparł Carella, wciąż kartkując dokumenty. — Widzisz, co się dzieje? W tej przeklętej szufladzie jest jeszcze więcej tych staroci. Przecież ten gość już został złapany i odsiaduje wyrok w Castleviev. Zaraz, gdzie to jest...? Sklepy jubilerskie... rowery... Dlaczego ktoś nie schowa tego do segregatora z kradzieżami rowerów?!... Mam. O tym mówiłeś?

Meyer spojrział na pokrytą pismem maszynowym kartkę.

— O tym — odparł. — Bardzo dziwna sprawa, nie sądzisz?

Prawdę mówiąc, w podanym mu przez Carellę wykazie nie było nic dziwnego. Była to lista sprzętu, który w ciągu paru zeszłych miesięcy skradziono z różnych sklepów z częściami radiowymi. Detektywi pochylili się nad wykazem (patrz niżej) i przestudiowali go dokładnie.

Kradzieże sprzętu radiowego

data zgłoszenia	sklep, adres	nazwa sprzętu	nr serii
11 czerwca	David Radio, 312 N. 10	oscylator 1600 V tarcza cyfrowa bateria	216-81R 17
22 lipca	R and L, Części 4511 Madison Ave.	nadajnik 35,66 MHz	TX 11-4812
5 sierpnia	Sparks Inc. 7614 Grover Ave	odbiornik 43,66 MHz	RV 327-89L
8 września	Osgias OSIKRIAS Części radiowe, Naprawa i Obsługa Róg South 14 i Culver	cztery przekaźniki (cał na trzy cale) sześć baterii 35 stóp kabla w izolacji gumowej	

PETE!
MET. WŁAM. WSZĘDZIE
JEDNAKOWA
KOJARZYSZ TO Z CZYMŚ?
Steve

- Mówi ci to coś? — spytał Meyer.
- Czy ja wiem?
- Na pewno pomyślałeś, że coś tu śmierdzi, bo inaczej nie napisałbyś przecież tej uwagi do kapitana.
- Owszem — przyznał Carelia.
- I co na to powiedział Pete?
- Niewiele. Chyba doszedł do wniosku, że to jakieś wyrostki.
- A metody włamania? Pamiętasz jakie, Steve?
- We wszystkich przypadkach sforsowano okno. I we wszystkich przypadkach ukradziono albo jedną dużą rzecz, albo kilka małych.
- Jak myślisz, dlaczego złodziej to zrobił?
- Może doszedł do wniosku, że małych kradzieży nie zgłoszą

policji. A może nawet ich nie zauważą. Zakładając, że te kradzieże to robota jednego złodzieja.

— Dla mnie wszystko na to wskazuje — rzekł Meyer.

— Mhmm. W każdym razie to nic poważnego.

— Mam nadzieję. Proszę. Wpisz te nowe włamania na listę.

— Meyer zamilkł i podrapał się w łysą głowę. — Nie sądzisz, że mamy tu do czynienia z rosyjskim szpiegiem, czy z kimś podobnym?

— Jasne, z rosyjskim szpiegiem albo członkiem IRA.

— No, bo właściwie, po co komu te wszystkie części?

— Może to radioamator, którego nie stać na takie hobby — odparł Carella.

— Tak? No to dlaczego go nie zmieni?

— Z chwilą gdy zostałem policjantem, jednym nie zawracam sobie głowy — motywem — rzekł Carella. — Jeżeli starasz się domyślić, czym kieruje się łajdak, to dostajesz fioła.

— Niszczysz chłopięcą wiarę w powieści kryminalne — powiedział Meyer. — W Sposób, w Motyw i w Okazję. Każdy o nich wie.

— Z wyjątkiem mnie. Ja po prostu robię to, co do mnie należy — odparł Carella.

— Owszem — przyznał Meyer.

— I tak wszystko wychodzi w praniu. Pewnego dnia wszystkie tajemnicze kawałki łączą się ze sobą. I nigdy nie są takie, jak myślałeś. Żeby domyślić się pobudek czyjegoś postępowania, musiałbyś być psychiatrą.

— A jednak cały ten sprzęt... — nie dawał za wygraną Meyer.

— Złodziej włamywał się aż siedem razy, żeby go zdobyć. Bardzo ryzykował, jak na hobby. O co tu chodzi, Steve?

— Zabij mnie, ale nie wiem — odparł Carella i wrócił do pisania na maszynie.

Rozdział trzeci

Diana King nie była kobietą piękną.

Była za to kobietą atrakcyjną.

Atrakcyjność tę zawdzięczała rysom twarzy, która wprawdzie nie dorównywała wzorcom piękności z Hollywood czy Madison Avenue, niemniej świetnie podbudowywała resztę. Zawdzięczała ją ponadto paru innym rzeczom, takim jak: a) najrozmaitsze mikstury, podsuwane przez niezliczone firmy kosmetyczne, b) wolne od większych trosk życie w luksusie, c) częste wizyty u fryzjera, d) wrodzony dobry gust w doborze strojów, podkreślających jej figurę, której brakło nadwymiarowych górnych wypukłości filmowej gwiazdy.

Diana King była atrakcyjna. Prawdę mówiąc, ogromnie atrakcyjna.

Stała właśnie w progu przedpokoju w swoim luksusowym domu — trzydziestodwuletnia kobieta w czarnych, zwężających się ku dołowi spodniach i w białej, rozpiętej pod szyją bluzce z długimi rękawami, osłoniętej na karczku i ramionach ręcznikiem. Jej włosy, jeśli nie liczyć świeżego srebrnego pasma, które wznosząc się od ich nasady pośrodku czoła biegło jak rtęć do punktu gdzieś na szczycie głowy, współgrały z hebanową czernią spodni. Wąską talię miała ściśniętą nabijanym srebrnymi ćwiekami paskiem. Spojrzenie jej zielonych oczu przemknęło od drzwi wejściowych i spoczęło na twarzy Pete'a Camerona.

— Co oni zrobili Dougowi? — powtórzyła pytanie.

— Nic — odparł Cameron i spojrzał na jej włosy. — Coś ty zrobiła z włosami?

Diana z roztargnieniem sięgnęła ręką do srebrnego pasma.

— Och, to pomysł Lizy — odparła. — O co była ta awantura, Pete?

— Czy Liza jeszcze tu jest? — spytał Cameron, a w jego głosie zabrzmiało niewątpliwe zainteresowanie.

— Tak, jeszcze jest. Dlaczego Doug wbiegł na górę rycząc jak

lew z Metro-Goldwyn-Mayer? Nienawidzę tych przeklętych narad na wysokim szczeblu. Czy ty wiesz, że nawet do mnie nie zajrzał?

— Za to widział mnie — usłyszeli głos i po schodach zeszła do salonu Liza Bellew.

Miała w sobie to wszystko, czego brakowało Dianie. Była niebieskooką naturalną blondynką z włosami, które nie potrzebowały fryzjerskich sztuczek, z długimi rzęsami, ślicznym kształtnym nosem i pełnymi gorącymi wargami. Z biegiem lat jej ciało nabrało takich kształtów, iż emanowało erotyką niczym neonowy napis z dużych liter, SEX, swą niezaprzeczalną piękną zaś powlekała — że się tak, za przeproszeniem, wyrażę — polorem gładkim i twardym niczym wypalona emalia. Była tak świetnie zbudowana, iż nawet w najzwyczajszym codziennym stroju, jak w tej chwili, składającym się z prostego swetra, spódnicy, zamszowych mokasynów i zamszowej sakiewki, jej figura ociekała seksem, wiadrami, beczkami, cysternami seksu. Nosila tylko jeden klejnot, na lewej ręce — pierścionek z diamentem wielkości rakowatego guza.

— Niech mnie diabli, jeżeli pozwolę jakiemukolwiek mężczyźnie przejść obok mnie, Lizy Bellew, bez pozdrowienia — oświadczyła, mając niewątpliwie na myśli swoje spotkanie z Kingiem na piętrze.

— A więc witam — powiedział Cameron.

— Byłam ciekawa, kiedy mnie zauważysz.

— Podobno w wolnym czasie bawisz się we fryzjerkę.

— Włosy Diany! Czyż nie wyglądają kapitalnie?

— Nie podobają mi się — odparł Cameron. — Wybacz mi szczerść, ale myślę, że jest wystarczająco ładna bez sztucznych upiększeń...

— Och, zamilcz, potworze — wpadła mu w słowo Liza. — To pasmo dodaje jej czaru. Niezależności... A poza tym — dorzuciła po chwili, jakby od niechcienia — jeżeli ten kosmyk jej się nie podoba, to może go zmyć.

— Najpierw chcę poznać zdanie Douga — powiedziała Diana.

— Kochana, nigdy nie pytaj mężczyzny, co myśli o jakiej

bądź części twojego ciała. Mam rację, Pete?

— Całkowitą — odparł z szerokim uśmiechem Cameron.

— Co on tam robi? — spytała Diana, nerwowo zerkając w stronę schodów.

— Twój ukochany? Tylko dzwoni — odrzekła Liza. — Kiedy go zaczęłam, przeprosił mnie, że nie zwrócił na mnie uwagi, i oznajmił, że ma ważną rozmowę przez telefon.

— Pete, jesteś pewien, że nie ma kłopotów? Ta jego mina...

— Nie znasz jej? — spytała Liza. — Mój Boże, Harold ma taką minę bez przerwy. A oznacza ona po prostu, że właśnie ma kogoś zamordować.

— Zamordować?

— Oczywiście.

— Pete, co tu zaszło? — spytała Diana, odwracając się raptownie w stronę Camerona.

Cameron wzruszył ramionami.

— Nic. Zaproponowali Dougowi układ, a on im napluł w oczy.

— Mój Harold wyrzuciłby ich z domu — powiedziała Liza.

— To właśnie zrobił Doug.

— W takim razie wszystko w porządku. Przygotuj się na morderstwo, Diano.

— Zawsze jestem na nie przygotowana — odparła Diana. W jej zielonych oczach zagościł niepokój. Odwróciła się od Camerona i Lizy i podeszła do biurka. — Ale to powtarza się coraz częściej.

— Cóż zrobić, Diano, to są interesy. Człowiek człowiekowi wilkiem — powiedział Cameron.

— W każdym razie morderstwo może sprawić frajdę — wtrąciła Liza. — Nie przejmuj się i korzystaj z życia, oto moja dewiza.

Uśmiechnęła się figlarnie do Camerona, który natychmiast odpowiedział jej uśmiechem.

Jeśli wydawało się, że tę dwójkę łączy coś więcej niż tylko nader wyrafinowane utarczki słowne, jeśli rzeczywiście wyglądało na to, że jest to coś więcej niż tylko przelotna znajomość, to do takiego wrażenia przyczyniał się fakt, iż oboje

z upływem lat, oczywiście zachowując dyskrecję, zasmakowali w pozamałżeńskich skokach w bok. Bo wprawdzie Liza była oddana swojemu mężowi Haroldowi, a będący młodszym dyrektorem Pete Cameron, kiedy nie spał, myślał wyłącznie o firmie, to oboje znaleźli czas na wzajemne oczarowanie się, randki, a w końcu stałe schadzki bliskie bachanaliom.

Liza Bellew cierpiała na chorobę znaną wielu trzydziestoletnim kobietom, a opatrzoną przez medycynę etykietą „świerzbiczką”. Całkiem fajnie i miło jest być żoną możnego przemysłowca, któremu się wiedzie, i cudownie jest mieszkać w Smoke Rise, mieć dwie pokojówki, szofera i nosić na zmianę dwa futra, z norek i gronostajów. Kiedy jednak nawijał się ktoś taki jak Pete Cameron, niełatwo było oprzeć się pokusie dodania do majątku Bellewów jeszcze jednej zdobyczy. A ponadto Liza nie należała do kobiet, które zbyt dzielnie opierają się syrenim zewom codziennego życia. Nie przejmuj się i korzystaj z życia, brzmiała jej dewiza. I postępowała tak zawsze, jak daleko sięgała pamięcią. Na szczęście Pete Cameron zaspokajał ją tak, jak żadna inna istota z krwi i kości, ponadto dzięki niemu ominął ją odstręczający los prawdziwej ladacznicy. W każdym razie na ich publiczne oblicza, maski, które oboje zgodzili się nosić, składały się beztroskie flirty towarzyskie, służące wywołaniu u widzów i słuchaczy wrażenia, że tam, gdzie widać aż tyle dymu, nie może być żadnego ognia.

Diana napełniła sobie szklankę trunkiem i obróciła się w stronę Camerona.

— Czy Doug zamierza poderżnąć jeszcze jedno gardło? — spytała.

— Tak, tak sędzę.

— Myślałam, że po tym, jak postąpił z Robinsonem, będzie może...

— Z Robinsonem? — przerwała jej Liza. — Ach, tak, to ten niski dziwak. Fatalnie grał w brydża. Dobrze, że Doug się go pozbył.

— Dobrze, że pozbyłem się kogo?! — spytał ze schodów King, zszedł po nich energicznym krokiem i zbliżył się do stojącej

przy biurku Diany.

— Zadzwoiłeś tam, gdzie miałeś zadzwonić, magnacie przemysłowy? — spytała Liza.

— Wszystkie linie zajęte — odparł King. Lekko pocałował żonę w usta, cofnął się z lekkim wzdrygnięciem i przyjrzał się srebrnemu pasmu w jej włosach. — Masz we włosach jajko, skarbie — powiedział.

— Czasem zadaję sobie pytanie, po co my się tak dla nich staramy — oznajmiła cierpkim tonem Liza.

— Nie podoba ci się, Doug? — spytała Diana.

King starannie wyważył odpowiedź.

— Wygląda ciekawie — odparł.

— Boże święty, wygląda ciekawie! — sparodiowała go Liza. — Ostatni raz słyszałam tę odzywkę na potańcówce na ostatnim roku studiów. Z ust gracza futbolowego, który nazywał się Leo Raskin. Pamiętasz go, Diano?

— Nie. Znałam niewielu futbolistów.

— Nosилаm bluzkę wyciętą do... — Liza urwała i wskazała miejsce w okolicy brzucha — no, co najmniej dotąd! Wiercie mi, praktycznie byłam naga, aż dziw, że mnie za to nie wywalili z uczelni. Zapytałam Lea, co o tym myśli, a on na to: „Wygląda ciekawie”.

— A co w tym złego? — spytał King.

— W „wygląda ciekawie”? — odparła pytaniem Liza. — Do diabła, nawet futbolista powinien umieć liczyć do dwóch. — Zerknęła na zegarek. — Uciekam. Przynależę swojemu magnatowi przemysłowemu, że wrócę do czwartej.

— Już jesteś spóźniona — powiedział Cameron. — Napij się strzemienego.

— Doprawdy nie powinnam — odparła Liza i uśmiechnęła się do niego figlarnie.

— Z dwoma plasterkami cytryny?

— Ależ ten chłopak ma pamięć. Wie, że nie umiem oprzeć się koktajlom.

Spojrzeni sobie w oczy. Ani Diana, ani King nie zwrócili najmniejszej uwagi na ten jawny dym ich wzajemnych uczuć. Na szczęście zadzwonił telefon i Diana podniosła słuchawkę.

— Halo? — powiedziała.

— Mogę łączyć z Bostonem? — zapytała telefonistka z centrali.

— A, dziękuję, chwileczkę. — Diana podała słuchawkę mężowi. — Dzwonisz do Bostonu, Doug? — spytała.

— Tak — odparł King biorąc od niej słuchawkę.

Cameron podniósł wzrok znad koktajlu martini, który mieszał.

— Do Bostonu? — spytał.

— Halo? — powiedział King do słuchawki.

— Mam połączenie z Bostonem. Jedną chwilę — powiedziała telefonistka i po dłuższej pauzie dodała: — Proszę mówić.

— Halo? — odezwał się męski głos. — Halo?

— To ty, Hanley? — spytał King.

— Tak, Doug, jak się masz?

— Dobrze. Jak wyglądają sprawy?

— Prawie tak, jak oczekiwaliśmy.

— Słuchaj, musimy to szybko dopiąć.

— Prędko?

— Dziś — odparł King.

— Dlaczego? Co się stało?

— Właśnie miałem tu wizytę grabarzy, którzy odkryli karty i nie usiedzą już długo spokojnie — wyjaśnił King. — Co z naszym człowiekiem?

— Chce zatrzymać dla siebie pięć procent, Doug.

— Co? A po jaką cholere?! — zaczął Hanley.

— Jakby ci tu powiedzieć, uważa, że... — zaczął Hanley.

— Mniejsza z tym, to mnie nie obchodzi. Te pięć procent jest tak ważne, jak reszta, więc zdobądź je. Zdobądź, Hanley!

— Robię, co mogę, Doug, ale jak mam...?

— Gównu mnie obchodzi, jak to zrobisz, masz je zdobyć! Wróć do niego, wypłac mu się w mankiet, chwyć go za rękę, idź z nim do łóżka, bylebyś tylko zdobył to, co chcemy!

— Może mi to zająć trochę czasu — odparł Hanley.

— Ile?!

— No... właściwie, to nie wiem. Pojechać mogę do niego chyba zaraz.

— Więc jedź. I zadzwoń do mnie natychmiast po rozmowie z nim. Będę czekał. Aha, słuchaj, Hanley. Liczę, że mnie nie zawiedziesz, a ja ci się za to też odwdzięczę. Więc nie nawal. Rozumiesz?

— No dobrze, postaram się.

— Ty się nie staraj, Hanley. Ty to załatw. Czekam na twój telefon. — King odłożył słuchawkę i obrócił się do Camerona.

— Pete, pojedziesz do Bostonu — powiedział.

— Tak? — spytał Cameron i podał Lizie martini.

— Szczęściarz z ciebie! — powiedziała. — Uwielbiam Scollay Square.

— Pojedziesz do Bostonu z grubym czekiem — dodał King. — Dostarczysz go Hanleyowi i w ten sposób zamkniemy największą transakcję w moim życiu!

— Jeżeli zaangażowałeś w to swojego prawnika, to faktycznie musi być ona duża — rzekł Cameron. — O co chodzi, Doug?

— Nie zapeszaźmy — odparł z uśmiechem King. — Nie lubię mówić o sprawie, dopóki jej nie załatwię. Powiem ci o wszystkim we właściwym czasie, ale dopiero, kiedy będę pewny swego, zgoda? A na razie zadzwoń i dowiedz się o loty do Bostonu. Skorzystaj z aparatu na piętrze. Tę linię chcę mieć wolną dla Hanleya.

— Jasne, Doug — powiedział Cameron i ruszył do schodów. Zatrzymał się, obrócił się w stronę Lizy i spytał: — Nie wyjdiesz bez pożegnania, prawda?

Liza spojrzała na niego znad szklanki martini.

— Kochany, ja zawsze zwlekam z pożegnaniem — odparła.

Cameron uśmiechnął się i wszedł po schodach. King klasnął głośno w dłonie i zaczął chodzić po salonie.

— Ale zaskoczę tych szakali! — powiedział. — Myślą, że krążą wokół padła, ale zobaczycie ich miny, kiedy trup wstanie i da im w zęby! Chcieli, żebym się do nich przyłączył. Ja! Widziałaś większą bezczelność, Diano?

— Przepraszam, panie King — odezwał się czyjś głos.

Mężczyzna, który wszedł do salonu przez drzwi na drugim końcu, miał najwyżej trzydzieści pięć lat, ale na pierwszy rzut oka wyglądał znacznie starzej. Być może dlatego, że zatrzymał

się niezdecydowanie w progę, garbiąc ramiona, a uniform szofera, który miał na sobie, jeszcze bardziej to podkreślał. Nazywał się Charles Reynolds, ale wszyscy w domu Kinga zwracali się do niego per „Reynolds”, a bywa, że człowiek zredukowany do swojego nazwiska, jest kimś zapędzonym w kozi róg. Jakkolwiek jednak się sprawy miały, była z niego niemal wyczuwalna słabość. Patrząc na niego odnosiło się wrażenie, że w dotyku jest jak lepka, galaretowata substancja. W dodatku na jego widok ogarniało człowieka niezmiernie współczucie i smutek. Nawet jeśli nie wiedział, że Reynoldsowi przed niespełną rokiem umarła żona i że mieszka z małym synem w pokojach nad garażem Kinga, wychowując chłopca z niezdarnością właściwą zrozpaczonemu wdowcowi — nawet jeśli nie miał o tym pojęcia, to i tak współczuł mu, dostrzegając w nim zabłąkaną owieczkę.

— O co chodzi, Reynolds? — spytał King.

— Przepraszam pana, nie chciałem przeszkadzać.

— Nie przeszkadzasz — burknął King.

Wprawdzie lubił swojego szofera, ale nie cierpiał słabości, a słabość była siłą tego człowieka.

— Chciałem się tylko dowiedzieć... czy mój syn... czy Jeff jest tutaj?

— To domena mojej żony — odparł King.

— Jest na górze z Bobbym, Reynolds — powiedziała Diana.

— Och, to dobrze. Mam nadzieję, że pani nie przeszkadzam, ale trochę się ochłodziło, więc pomyślałem, że jeżeli wyjdzie pobawić się na dworze, to będzie mu potrzebny płaszcz.

Diana doświadczonym matczynym okiem przyjrzała się płaszczowi, który trzymał.

— Może być trochę za ciężki, Reynolds — powiedziała. — Już mu dałam jakiś sweterek Bobby’ego.

Reynolds spojrział na płaszcz, jakby widział go po raz pierwszy w życiu.

— Och... — Uśmiechnął się z zakłopotaniem. — Wobec tego, dziękuję pani. Jakoś nigdy nie potrafię wybrać...

— Później prawdopodobnie odwiedzisz pana Camerona na lotnisko — wtrącił King. — Miej to na uwadze, dobrze?

— Tak, proszę pana. O której wyjedziemy?

— Jeszcze nie wiem, ale wezwę cię, kiedy się dowiemy.

Skądś z góry doleciał mrozący krew w żyłach wrzask, a potem następny, jeszcze przeraźliwszy i po schodach zadudniły nogi pędzących słońi. Z góry zbiegł ubrany w granatowy sweter Bobby King z jasną czupryną opadającą na czoło, a tuż za nim Jeff Reynolds. Na pierwszy rzut oka chłopcy wyglądali jak bracia. Obaj byli blondynami, tego samego wzrostu i budowy ciała, obaj trzymali dziecięce strzelby i obaj głośno krzyczeli. Mieli po osiem lat, a jednak poza budową ciała i kolorem czupryn właściwie wcale nie byli do siebie podobni, tak więc przypuszczenie, iż są braćmi, natychmiast brało w łeb, chyba że ktoś dopuszczał myśl, że są bliźniakami dwujajowymi. Z pohukiwaniem i krzykiem pobiegli do drzwi wejściowych, nie zwracając uwagi na obecnych w salonie.

— Hej! — krzyknął King, na co jego syn zatrzymał wymaginanego konia.

— Prr, koniku, prr! — zawołał Bobby. — O co chodzi, tato?

— Dokąd się wybierasz?

— Pobawić się na dworze — odparł Bobby.

— A nie wypadałoby powiedzieć do widzenia?

— Do widzenia — powiedziała Liza, wznosząc oczy w górę i wywracając je. — To mi przypomina o mojej menażerii.

— Bardzo się spieszymy, tato — odrzekł Bobby.

— Dlaczego? Gdzie się pali?

— Nigdzie się nie pali, panie King, ale musimy się pobawić — odparł Jeff.

— Tak? A w co?

— W Creeków — odparł Jeff.

— A co to jest?

— Krzyki? To, co mnie czeka, jeżeli szybko nie wrócę do domu — zażartowała Liza.

— To Indianie — wyjaśnił Jeff. — Creekowie to Indianie, nie wie pan?

— Aha, rozumiem.

— Będziemy Creekami na zmianę — dodał Bobby. — Mamy odszukać jeden drugiego w puszczy. Kiedy ja będę kawalerią...

— O mój Boże, aż za dobrze to znam — jęknęła Liza. — Naprawdę muszę iść.

— ...a Jeff Creekiem, to muszę go znaleźć. A kiedy go złapię...

— Czy temu służy ta cała artyleria? — spytał King wskazując dziecięce strzelby, które trzymali chłopcy.

— Jasne — odparł z powagą Bobby. — Do puszczy nie chodzi się przecież bez broni, prawda?

— Pewnie, że nie.

— Nie odchodź za daleko od domu, Bobby — przestrzegła Diana.

— Nie odejdę, mamo.

— Kto jest teraz Creekiem? — spytał King.

— Ja! — zawołał Jeff, a potem wydał okrzyk wojenny i zaczął tańczyć po salonie.

— Jeff! — krzyknął zakłopotany Reynolds.

— Odprawiam obrzęd — wyjaśnił jego syn.

— Nie krzycz tak. I uważaj na sweter, który pożyczyła ci pani King.

— Och, dobrze — odparł Jeff, zerkając na jaskrawo-czerwony sweter. — Nie złapie mnie, tato, nie bój się.

— Nie obchodzi mnie, czy cię złapie czy nie, masz tylko...

— Co, nie złapie cię? — przerwał mu King. — Radzę ci, złap go, synu! W grę wchodzi honor rodziny.

— Złapię go — przyrzekł z uśmiechem Bobby.

— A jaką masz taktykę? — spytał King.

— Co?

— Jaki masz plan?

— Po prostu gonić go i złapać — odparł Bobby wzruszając ramionami.

— Nigdy nie goń drugiego, synu — poradził mu King. — To na nic. Widzę, że potrzebujesz pomocy.

— Ależ Doug, daj im się pobawić, zanim się ściemni — zaprotestowała Diana.

— Dam — odparł z uśmiechem King — ale chłopakowi potrzebne jest wsparcie zawodowego łowcy skalpów, nie rozumiesz? Chodź tu, Bobby. — Wziął syna na bok, tak żeby Jeff nie słyszał ich rozmowy. — Wdrapiesz się na drzewo,

rozumiesz? — powiedział szeptem. — Obserwuj go stamtąd, z góry. Obserwuj dokładnie, co robi. W ten sposób masz wszystkie atuty w ręku, bo on nie ma pojęcia, gdzie jesteś. A kiedy się upewnisz, co on zamierza, zbij go na kwaśne jabłko. Skocz!

— Doug! — zaprotestowała zdecydowanie Diana.

— Nie powinnaś podsłuchiwać, skarbie — odparł King.

— Ale wchodzenie na drzewa jest wbrew zasadom tej gry, tato, powiedział Bobby.

— Narzucaj swoje zasady innym! — odrzekł King. — Tak długo, jak wygrywasz.

— Doug, czego ty go, na miłość boską, uczysz? — oburzyła się Diana.

— Niestety, samych życiowych prawd — odpowiedziała jej Liza.

— Przecież oni chcą tylko wyjść na dwór i rozpocząć zabawę.

— Dlaczego mnie nikt nie pomoże? — spytał Jeff, zwracając się do ojca. — Co mam zrobić, tato?

— No... hmm... możesz położyć się plackiem za kamieniem. Wtedy cię nie znajdzie — odrzekł zaskoczony Reynolds, bez wątpienia skrępowany obecnością chlebobdawcy.

— Chyba że się poruszysz, Jeff — powiedział King. — A wtedy pilnuj się, bratku!

— Ale jeżeli się nie poruszysz, synu, będziesz bezpieczny — dodał z pozoru logicznie Reynolds.

— Jeżeli nikt się nie poruszy, to nie będzie zabawy — rzekł King. — Co komu po takiej grze?

— Myślę, że najlepiej zrobicie, chłopcy, jeżeli będziecie się bawić tak, jak sami chcecie — powiedziała nieco chłodnym tonem Diana. — Biegnijcie, bawcie się dobrze.

Znów rozległy się okrzyki wojenne, strzelby znów zakołysały się w powietrzu. Czerwony i niebieski sweter śmignęły ku wejściu tworząc fioletową plamę, a potem domem wstrząsnał huk zatrzaśniętych drzwi.

— O rany! — westchnęła Liza.

— Samochód dla potrzeb pana Camerona będzie gotów w każdej chwili, proszę pana — odezwał się Reynolds.

— Doskonale — odparł King, w duchu odprawiawszy szofera, zanim jeszcze wyszedł z salonu.

— Dziękuję panu — powiedział Reynolds, wycofał się do jadalni, skręcił i skryty w półmroku poszedł do kuchni.

Diana odczekała chwilę, aż zdobyła pewność, że odszedł.

— Nie powinienesz mu tego mówić, Doug — powiedziała.

— Co? Czego mówić i komu?

— Żeby... żeby wspiął się na drzewo, obserwował, a potem skoczył. Żeby narzucał swoje własne zasady! Zwycięzał za wszelką cenę! Kogo ty chcesz wychować? Tygrysa z dżungli?

— Mhmm, tak — odparł King. — Podobnego do matki. Z oczami miotającymi błyskawice, ostrymi zębami i...

— Doug, ja nie żartuję!

— Kochanie, on również — powiedziała trzeźwo Liza. — On cię w ten sposób kocha, nie rozumiesz? Lepiej sobie pójde.

— Jak możesz mówić takie rzeczy dziecku? — spytała gniewnie Diana. — Skacz! Na miłość boską... czy chcesz... chcesz, żeby wyrósł na... na...

— Na gwałciciela? — podsunęła Liza.

— Tak, dziękuję, Lizo.

— Czemu nie? — spytał King. — Niedaleko pada jabłko od...

— Bardzo mi przykro, że traktujesz to jak żart. Ja, niestety, nie widzę w tym nic zabawnego.

Liza Bellew westchnęła.

— Zdaje się, że dostrzegam alarm przed nadciągającym huraganem Diana — powiedziała.

— Nie pleć głupstw — odparła całkowicie opanowana Diana.

— Znasz mnie na tyle długo, żeby wiedzieć, kiedy się gniewam, a kiedy nie. — Jeszcze przez chwilę w milczeniu pozwoliła tlić się wściekłości, po czym wybuchła. — Skocz, skocz, skocz! Tak jak ty to robisz z tym interesem w Bostonie, tak jak to zrobiłeś z tym biednym Robinsonem!

— Biednym?! — spytał King.

— Tak, świetnie wiesz, o czym mówię.

— Wyrzuciłem go. Czy to przestępstwo?

— Harold wyrzuca ludzi codziennie — powiedziała promiennie Liza.

— Oczywiście — rzekł King. — Skarbie, w interesach nie wolno ci się przejmować...

— Tak, ale dlaczego go wyrzuciłeś? I jak?! Robinsonowie byli naszymi przyjaciółmi.

— Przyjaciółmi? Bo kilka razy przyszedli do nas na brydża?

— Wcale nie kilka razy, a poza tym naprawdę byli przyjaciółmi!

— Niech ci będzie, byli. Ale już nie są. — King urwał. — Urabiał mi złą opinię.

— I to jest powód, żeby...

— Posłuchaj, już ci mówiłem, że wliczał w koszt butów podróże handlowe. Jakiś kretyn jedzie do Włoch kupić jedwab, a Robinson wlicza to w koszty produkcji. Urabiał mi i fabryce opinię nieudolnych. Szkodził mi, a przecież prosiłem go wielokrotnie, żeby zrewidował system rozliczeń. Wiesz przecież, że mi odmówił.

— I dlatego wyrzuciłeś go. Nie pozwoliłeś mu nawet złożyć wypowiedzenia.

Liza Bellew, wyraźnie znudzona ich rozmową i argumentami, które bez przerwy słyszała we własnym domu, wyciągnęła się na kanapie i spojrzała na schody.

— Wypowiedzenia? Do diabła z wypowiedzeniem! — odparł King. — Kiedy ktoś nie wykonuje swojej pracy jak należy...

— A co się dzieje, kiedy szuka nowej pracy, kiedy musi powiedzieć ewentualnemu pracodawcy, że z poprzedniej go wyrzucono?

— Tylko skończony dureń przyznałby się, że go wyrzucono. Jeżeli Robinson ma choć trochę oleju w...

— Przecież wiesz, że bez względu na to, co im powie, sprawdzą to u Grangera.

— Cóż, powinien był o tym pomyśleć, zanim zaczął trzymać sztamę z działem handlowym. Diano, on piekielnie zawyżał koszty produkcji!

— Nie musiałeś być tak bezwzględny!

— Bezwzględny? Ja? — King zaśmiał się. — Lizo, czy ja jestem bezwzględny?

— Jesteś, mój drogi — odparła Liza.

— Na jakiej podstawie tak sądzisz? Dlatego, że doprowadzam sprawy do końca, podczas gdy inni pierdzą w stołki? Kochana, są tacy, co siedzą, i tacy, co działają. To, że ktoś działa, niekoniecznie oznacza, że...

— Nie, ale wchodzi ci w krew deptanie ludzi, nieliczenie się z...

— Skarbie, gdybym siedział na tyłku przez te lata, to nie mieszkałabyś dziś w tym domu, nie nosiłabyś dziś tej bransoletki, nie...

— On ma rację, kochana — powiedziała Liza i wyciągnęła przed siebie dłoń z diamentowym pierścieniem.

— Jasne, że mam rację. Albo się siedzi, albo działa, czyż nie tak, Lizo?

— Jak najbardziej — odparła Liza i jednym ruchem usiadła na kanapie. — Ja też zawsze lubiłam działać. — Spojrzała na zegarek. — No, czas wracać do chatki na wzgórzu. Wpadniecie dziś wieczorem do klubu?

— Może — odparła gniewnie Diana.

— Mhmmm. — Liza przyjrzała się przyjaciółce. — Wiem, czego jej potrzeba — powiedziała do Kinga.

— Ja również.

— Tak też myślałam. Przy okazji, jeżeli Pete zapyta... — Ugryzła się w język. — Nieważne, to już duży chłopak.

Skinęła im ręką, zawołała „Bawcie się dobrze” i wyszła z domu.

Po jej wyjściu zaległa głucha cisza. Diana stała nieruchomo pośrodku salonu. King przez chwilę przyglądał się jej badawczo, a potem zaczął wolno ją okręcać.

— Diano? — zagadnął cicho.

— O co chodzi?

— Diano, siedzę na drzewie, obserwuję cię z góry...

— Co mówisz? — spytała zaintrygowana.

— I ostrzegam cię... — ciągnął King, zbliżając się do niej — uczciwie... że jestem gotów... skoczyć!

Pochwycił ją nagle, wziął mocno w ramiona i zatrzymał usta o cal od jej ust.

— Puść mnie! — powiedziała. — Jeżeli myślisz, że możesz...

Pocałował ją. Jeszcze przez chwilę wyrywała się mu, potem jednak przyjęła pocałunek, oddała go, przywarła ciałem do męża, a wreszcie oderwała usta od jego warg.

— Ty... ty potworze — powiedziała cicho.

— Tak — odparł i pocałował ją znowu.

— Jesteś... — powiedziała słabym głosem. — Powinieneś się wstydzić.

— Wstydzę się. Bardzo. — Znów ją pocałował. — Jesteś piękna. Zwłaszcza z tym nowym seksownym pasmem we włosach.

— Z pewnością jestem dla ciebie za dobra, ty małpi- szonie.

— Wiem, wiem. Słuchaj, o której kolacja?

— A dlaczego pytasz? — spytała podejrzliwie.

— Przyszło mi na myśl, że może byśmy... — Wzruszył ramionami.

— A poza tym nie podobało mi się, że rozmawiasz o mnie z Lizą tak, jakbym była jakąś sztuką bydła.

— Mhmm, jesteś przepiękną sztuką bydła — powiedział i znów ją pocałował. — Nie odpowiedziałas mi.

— A o co pytałeś? — spytała oszołomiona.

King pocałował ją w szyję.

— O kolację — szepnął. — O czas przed kolacją.

— Po domu kręci się Pete.

— Pozbędę się go. Wyrzucę.

— Jak możesz...?

— Odeślę go wcześniej na lotnisko.

— Wobec tego... — powiedziała z wahaniem Diana.

— Wobec tego?

— Wobec tego... — Na jej ustach pojawił się zażenowany uśmiech.

— Dobrze! — powiedział King. — Najpierw jednak skontaktuję się z Hanleyem.

— Z Hanleyem?!

— Nie chcę, żeby mi oddzwonił w trakcie...

— A może powinnam umawiać się z tobą na to za pośrednictwem twojej sekretarki — powiedziała Diana.

King uśmiechnął się szeroko i idąc do telefonu klepnął żonę

w pośladek. Podniósł słuchawkę, obrócił się w stronę Diany i powiedział:

— To zajmie mi tylko chwilkę. Chcę... — Urwał nagle, spostrzegając, że linia jest zajęta, a potem rozpoznał głos Camerona.

— ...tak, George — mówił właśnie Cameron — właśnie to chcę ci powiedzieć. Pomyślałem, że zechcesz wiedzieć...

King pośpiesznie nacisnął guzik u podstawy telefonu, przełączając go na drugą linię.

— Dziwne — powiedział.

— Co się stało? — spytała Diana.

— Pete rozmawia z drugiego telefonu — odparł z zaintrygowaną miną. — Przysiągłbym, że z... — Wzruszył ramionami, wykręcił numer centrali i zaczął. — Zdoła mnie pani połączyć z Oscarem Hanleyem w hotelu Stanhope w Bostonie? — spytał. Przez chwilę słuchał. — Tak, proszę zadzwonić, dobrze? — Odłożył słuchawkę i zwrócił się do żony. — A na razie, moja droga, co powiesz na małą szklaneczkę...

Drzwi wejściowe otwarły się raptownie. Powrócili Cree-kowie. A przynajmniej jeden z nich.

— Bobby, nie wolno ci tak wpadać do domu! — krzyknęła Diana na syna, który wbiegał po schodach prowadzących do sypialni.

— Przepraszam, mamó! Zapomniałem rogu z prochem! Gdzie on jest?

— Na górze, w skrzyni z zabawkami, tam gdzie zwykle.

— Pomóż mi go znaleźć, co?

— Wiesz, gdzie jest.

— Tak, ale się śpieszę — odparł Bobby. — Jeff już zaczął, a ja... hej! Jest! Wisiał na gałce u drzwi! — Wydał dziki okrzyk i z tupotem pobiegł korytarzem, żeby po chwili zjawić się na dole, z rogiem na proch przewieszonym przez ramię. — Do zobaczenia! Muszę znaleźć sobie jakieś drzewo, tato! — zawołał i wypadł z domu.

— Odczekaj, a potem skocz — powiedziała z wyrzutem Diana.

*

Mężczyzna czekający w krzakach szykował się do skoku.

Miał straszną ochotę na papierosa, ale wiedział, że nie odważy się zapalić. Ze swojej dogodnej kryjówki widział ślepa ścianę domu Kinga i wejście do garażu. Na podjeździe stał długi czarny cadillac, a szofer polerował jego lśniąca maskę irchową szmatką. Mężczyzna w zaroślach spojrzął na szofera, na zegarek, a potem w niebo. Zmierzchało. To dobrze. Ciemność sprzyjała ich planom.

Chciało mu się palić.

Zastanawiał się, czy Eddie nadal czeka przy samochodzie. Czy w domu wszystko w porządku. I czy wszystko się uda. A zastanawiając się nad tym, zaczął się niepokoić, spotniały mu ręce i chciało mu się palić jak nigdy dotąd.

Z krzaków dobiegł go jakiś hałas i poczuł, jak po kręgosłupie wędrują mu ciarki, żeby wybuchnąć pod czaszką niczym żółta raca.

Spokojnie! — powiedział sobie. — Spokojnie!

Zwarł mocno dłonie w pięści, żeby mu nie drżały. Zacisnął powieki, znów otworzył oczy i wówczas zobaczył jakąś postać idącą przez las. Nagle ścisnęło go w sercu. To był ten chłopiec!

Mężczyzna obliznął wargi.

Kiedy dobył głosu, zabrzmiał on jak charkot. Przełknął obfitą ślinę i odezwał się jeszcze raz.

— Sie masz, synku — powiedział. — Co robisz? Bawisz się w złodziei i policjantów?

Nad miasto zaczął się wpychać zmierzch.

Październikowy zmierzch ma swoisty urok, jest w nim miękkość kociego pyszczka i nawet w środku miasta, gdzie iudzie nie palą gałęzi ani liści, towarzyszy mu zapach dymu z drew. Dym ten jest jakoś zakorzeniony w pamięci rodzaju ludzkiego i jak żadnemu innemu miesiącowi w roku, użycza październikowi błogiemu spokoju.

Latarnie zapalają się trochę wcześniej, nim ściemni się na

dobrze. Słońce znaczy niebo jaskrawą czerwienią, poprzetykaną dostojnym ciemnym fioletem chmur toczących się ku niebiosom. Mosty spajają miasto wyrazistymi sylwetami, podtrzymujące je liny odcinają się od plamy purpurowego zmierzchu, zielone światła mrugają w nadchodzących ciemnościach niczym sznur szmaragdów.

Chód ludzi staje się nieco szybszy, kroki lżejsze. W powietrzu czuć rzeźkość, która szczypie w policzki i kąsa w zęby, frontony sklepów ożywają światłami, wabiąc niczym brzuchate, rozgrzane do czerwoności piecyki. Noc jest spokojna, bo to przecież pora wyciszenia, i nawet to nieczułe, gruboskórne miasto okazuje szacunek umarłemu latu. Ludzie wyżej stawiają kołnierze płaszczy, chuchają w dłonie, mocniej nasadzają kapelusze. Na ulicach słychać tylko wiatr, a mieszkańcy chodzą szybkim krokiem, bo śpieszno im znaleźć się pod dachem, śpieszno do zapachów gotowanej stawy i odgłosów szturmującej ciepłej pary, która syczy w kaloryferach, śpieszno do objęć najbliższych.

Zmierzch wisi nad miastem.

Wkrótce zapadnie mrok.

Dobrze będzie znaleźć się w domu, zanim zrobi się ciemno.

Rozdział czwarty

W salonie Kingów zadzwonił telefon. King szybko przemierzył pokój i podniósł słuchawkę.

— Hanley? — spytał.

— Kto? — rozległo się w słuchawce.

— Och. Przepraszam, właśnie czekam na telefon — powiedział King. — A kto mówi?

— Słuchaj, Kuba — odezwał się głos w słuchawce — będę mówił krótko i...

— Tu nie ma żadnego Kuby — przerwał mu King. — Pan się pomylił. ,

Odłożył słuchawkę i obrócił się w stronę schodów. Stał tam, przyglądając się mu, Cameron.

— To nie Hanley? — spytał.

— Nie. Ktoś się pomylił. — King strzelił palcami. — A skoro już mówimy o pomyłkach, Pete...

— Tak?

— Czy niedawno rozmawiałeś z George'em Benjaminem?

— To znaczy, przez telefon? — spytał Cameron.

— Tak.

— Rzeczywiście rozmawiałem.

— Po co do niego dzwoniłeś?

— Żeby powiedzieć mu, że jutro mnie nie będzie. Chciał ze mną omówić korespondencję handlową w sprawie tych nowych dostaw dla Far Eastern Brocade.

— Nie powiedziałaś mu, że jedziesz do Bostonu, co?

— Skądże. Miałem mu powiedzieć?

— Ależ skąd. Co mu powiedziałaś?

— Tylko to, że nie przyjdę na spotkanie, bo wyjeżdżam z miasta.

— Ale nie wspomniałeś o Bostonie?

— Czy Boston jest taki ważny? — spytała Diana. — Czy Benjamin mógłby ci uniemożliwić tę transakcję, gdyby wiedział, gdzie masz ją zawrzeć?

– Wątpię. Ale wiele by dał, by dowiedzieć się, z kim ją zawieram... a nawet, że w ogóle się do niej przymierzam. Czy wiecie, że kiedy ją sfinalizuję, to będę mógł...

Znów zadzwonił telefon.

– Tym razem to on — powiedział King i szybko podszedł do aparatu.

– Przywołam Bobby'ego — powiedziała Diana. —

Ściemnia się.

– Skarbie, zaczekaj, aż skończę rozmowę, dobrze? Nie chcę, żebyś mi krzyczała w tle. — King podniósł słuchawkę. — Halo?

– Mam połączenie z Bostonem — powiedziała telefonistka.

– Dobrze — odparł King.

– Proszę mówić. Pański rozmówca czeka.

– Halo, Doug?

– Jak ci poszło, Hanley?

– Wszystko załatwione — odrzekł znużonym głosem Hanley.

– Mam dla ciebie te pięć procent.

– To wspaniale. Na kaucję? Wpłaciłeś mu kaucję?

– Tak jak chciałeś, Doug. Za ile dostarczysz tu ten czek?

– Natychmiast wysyłam Pete'a. Zarezerwuj dla niego pokój. Pete, co się dowiedziałeś w sprawie samolotów?

– Odloty co godzina, z Perry Field.

– Dobra, — King spojrział na zegarek. — Możesz polecieć tym o dziewiątej?

– Jeśli sobie życzysz.

– Hanley, Pete wyleci samolotem o dziewiątej — powiedział King do słuchawki. — Nie wiem, o której przylatuje do Bostonu. Sprawdź w terminalu lotniczym.

– Dobrze.

– Aha, Haniey.

– Tak, Doug?

– Świetnie się spisałeś, chłopie.

King odwiesił słuchawkę.

– Do roboty! — oznajmił podniecony. — Pete, dzwoń do linii lotniczych i załatwiał rezerwację! — Strzelił palcami, nacisnął guzik telefonu, podniósł słuchawkę, na chwilę znieruchomiał,

a potem powiedział: — Reynolds, przyjdź tu, dobrze? Na jednej nodze.

— Dopiąłeś sprawę? — spytał Cameron. — Możesz mi już zdradzić, o co chodzi?

— Ponieważ wszystko załatwione, to mógłbym powiedzieć nawet Benja... Chociaż nie, chyba nie.

King zaśmiał się, szybko podszedł do barku i napełnił sobie szklaneczkę.

— Sprowadzę Bobby'ego — powiedziała Diana. — Spójrz, jak już ciemno.

— To może chwilkę poczekać, Diano. Nie chcesz się dowiedzieć, co to za transakcja?

— Chcę, ale...

— Skarbie, przecież chłopak jest przy własnym domu, na miłość boską.

— No... dobrze. Ale ja naprawdę...

— Słyszałeś, co zapodał tu Benjamin, Pete? Powiedział, że mam trzysta procent akcji, tak?

— Tak.

— Nieprawda! — powiedział King. Zamilkł, wyczekując z ogłoszeniem swoich rewelacji. — Przez ostatnie sześć lat skupowałem po cichu akcje. I w tej chwili, w tej sekundzie, mam ich dwadzieścia osiem procent.

— Doug, to wspaniale! — zawołała Diana.

— Ale co to ma wspólnego z Bostonem? — spytał Cameron.

— Kiedy byliśmy w Bostonie, Diano? Dwa tygodnie temu? Hanley od tamtej pory siedział tam i załatwiał sprawę, urabiając gościa posiadającego pakiet akcji, który ja nazywam „nie zainteresowanym”.

King szybko przeszedł przez salon do stojącego w kącie biurka z podnoszonymi skrzydłami blatu, otworzył je i wyjął książeczkę czekową. Usiadł przy biurku i zajął się wypisywaniem czeku.

— Ile wynosi ten pakiet? — spytał Cameron.

— Dziewiętnaście procent.

— Co takiego?!

— Dodaj dziewiętnaście do dwudziestu ośmiu. To czterdzie-

ści siedem. Wystarczy do wygrania każdych wyborów, nawet gdyby ci idioci próbowali dogadać się jakoś ze Starym. Wystarczy, żebym został prezesem Grangera! A to znaczy, że pokieruję firmą tak, jak ja chcę, i będę produkował takie buty, jakie zapragnę! — King triumfalnie wydarł czek z książeczki i wręczył go Cameronowi. — Masz, przyjrzyj się — powiedział.

Cameron wziął od niego czek i nisko, przeciągle gwizdnął.

— Siedemset pięćdziesiąt tysięcy — rzekł z podziwem.

— Tyle wynosi pięćdziesięcioprocentowa kaucja. Po sfinalizowaniu sprawy te akcje będą mnie kosztować półtora miliona. Ale warte są tego, wierzcie mi!

— Doug, skąd wzięłeś...

— Zamieniłem niemal wszystko, co mamy, na gotówkę, Diano. Zastawiłem nawet ten dom.

— Zasta... — Oniemiała Diana wpatrzyła się w męża, a potem nagle usiadła, przytłoczona tą wiadomością.

— To... to fura pieniędzy — powiedział Cameron.

— Wszystko co mam! Dosłownie co do grosza. Taniej nie mogłem ich kupić. Diano, ta transakcja uczyni mnie wielkim.

— Mam... mam nadzieję, Doug.

— Musi mi się udać, skarbie. Teraz już nikt mnie nie zatrzyma.

— A od kogo kupujesz te akcje, Doug? — spytał Cameron.

— Od faceta, który skupił je po cichu i którego nie obchodzi, w jaki sposób zarządzamy firmą. Jak tylko dostanie gotówkę...

— Kto to jest? Jak się nazywa? — spytał Cameron.

— A najlepsze, że ma te akcje rozbite pomiędzy dwa tuziny figurantów. Oprócz nas nikt nie wie, że ma tak duży pakiet.

— Kto? Kto to jest? — powtórzył Cameron.

Z końca salonu dobiegło ich dyskretne kasznięcie. King obrócił się w stronę jadalni.

— A, jesteś, Reynolds — powiedział. — Chcę, żebyś zawiózł pana Camerona na lotnisko.

— Po co ten pośpiech, Doug? Jeszcze nie zarezerwowałem miejsca w samolocie — rzekł Cameron.

— No, to zrób to zaraz.

— A ja zaraz sprowadzę Bobby'ego — powiedziała Diana.

Podeszła do drzwi wejściowych i otworzyła je. — Bobby! — zawołała. — Bobby!

— Reynolds, musimy poczekać, aż pan Cameron załatwi rezerwację — rzekł King. — To nie potrwa długo.

— Bobby! — zawołała Diana. — Bo-bby!

Zadzwoił telefon. Odebrał go King.

— Halo? — powiedział.

— King?

— Tak, King przy telefonie. — King zakrył dłonią mikrofon słuchawki i obrócił się do Camerona. — Ruszaj się, Pete. Nie ma czasu do stracenia.

— Tym razem nie odkładaj słuchawki — powiedział w tej samej chwili głos. — My nie żartujemy.

— Co? Przepraszam. Co pan powiedział? — spytał King.

— Mamy twojego syna, King.

— Mojego syna?! O czym pan...? — King obrócił się szybko w stronę drzwi wejściowych.

— Bo-bby! — zawołała Diana. — Bobby, odezwij się, proszę!

— Twojego syna, porwaliśmy go — odparł mężczyzna.

— Macie... mojego syna?

Diana obróciła się raptownie w otwartych drzwiach.

— Co takiego? Co powiedziałaś? — spytała.

— Mojego... mojego syna? — powtórzył głucho King.

— Powtarzam ostatni raz: mamy twojego syna Bobby ego.

Jasne?

— Ale przecież... przecież to niemożliwe.

— O co chodzi, Doug?! — krzyknęła Diana.

— Twój syn był w lesie, tak czy nie?

— Tak, ale... Czy to żart? Bo jeżeli to żart...

— Jaki żart, King.

— Doug, proszę cię, proszę cię, powiedz mi, co...

King gestem nakazał żonie, by zamilkła, bo monotony głos w słuchawce mówił dalej jasno i bez osłonek.

— A teraz słuchaj, i to bardzo uważnie, bo drugi raz nie powtórzę. Dzieciak jest bezpieczny. I będzie bezpieczny tak długo, jak długo będziesz wypełniał nasze polecenia. Chcemy pięćset tysięcy dolarów w nie znaczonych...

— Chwileczkę, chcę to zapisać. — King sięgnął do biurka, napinając przy tym kabel do granic wytrzymałości, i ściągnął z blatu ołówek i notes. — Pięćset ty...

— W nie znaczonych banknotach o małym nominale — ciągnął mężczyzna. — Zrozumiałeś?

— Tak. Tak. Ja... Na pewno nie zrobiliście mu krzywdy?

— Nic mu nie jest. Tylko żeby to nie były banknoty z kolejnymi numerami, King. Forsa ma być na jutro rano, rozumiano? Zadzwońmy wtedy z dalszymi wskazówkami. Nie zawiadamiaj policji.

— Tak. Nie zawiadomię.

— Zrozumiałeś?

— Tak, do jasnej cholery! Zrozumiałem wszystko. — King rozpaczliwie szukał w myślach sposobu pochwycenia tego, który dzwonił. Kiedy wreszcie wpadł na pewien pomysł, wykonał go szybko zniemacka, jak gdyby finalizował z dawną oczekiwaną transakcją handlową.

— Dobra, a więc pięćset tysięcy dolarów w... — powiedział mężczyzna.

W tym momencie King nacisnął widelki aparatu i przerwał połączenie. Obrócił się raptownie i krzyknął:

— Pete, zadzwoń z aparatu w kuchni. Najpierw wezwij policję. Powiedz im, że porwano Bobby'ego i że domagają się pół miliona okupu.

— Nie! — krzyknęła Diana. — Nie!!!

— Potem zadzwoń do telefonów. Powiedz im, że się rozłączyłem z tym skurwysynem...

— Dlaczego to zrobiłeś? Dlaczego przerwałeś rozmowę z porywaczem Bobby'ego? Rozłączyłeś się z... — Diana nie była w stanie dokończyć zdania. Popędziła jeszcze raz do drzwi wejściowych i krzyknęła w gęstniejący mrok: — Bobby! Bobby! Bobby!!!

— Odłożyłem słuchawkę, bo liczę, że on jeszcze zadzwoni — wyjaśnił King. — Może ci z telefonów zdołają wyśledzić, skąd telefonuje... a na razie, mogę pomyśleć. Mogę... — Urwał. — Reynolds, weź z góry mój notes z adresami'. Kiedyś korzystaliśmy z usług detektywa, bo Dianie zginęły perły. Nazywa się Di Bari, czy

jakoś podobnie, mam jego nazwisko w notesie. Zadzwoń i natychmiast go tu sprowadź.

— Tak, proszę pana — odparł Reynolds i wbiegł po schodach.

Diana zatrzasnęła drzwi i podbiegła do stojącego pośrodku salonu męża.

— Powiedziałeś, że pół miliona. Dobrze, dzwoń do banku. Natychmiast! Zadzwoń do nich w tej chwili. Musimy im dać te pieniądze. Musimy odzyskać Bobby'ego!

— Odzyskamy go. Dam im, co tylko zechcą, milion, jeśli zażądają. Podejmę go. — King objął żonę. — Nie martw się, kochanie. Proszę, proszę cię, nie trzęś się tak. Postaraj się...

— Nic... nic mi nie będzie. To... to...

Z kuchni wrócił pośpiesznie Cameron.

— Policja już jedzie, Doug — oznajmił. — Ci z telefonów są w pogotowiu. Kazali nam zadzwonić z drugiego telefonu, jak tylko on się odezwie.

— Dobrze, idź do kuchni. Kiedy zadzwoni ten telefon, niech ci z centrali telefonicznej natychmiast złączą działać.

— Dobrze — odparł Cameron i szybko wyszedł z salonu.

Po schodach zszedł Reynolds z przegraną miną.

— Nigdzie nie mogę znaleźć tego notesu z adresami, proszę pana — powiedział. — Przepraszam. Przeszukałem stolik z telefonem, ale...

— Ja go znajdę — powiedziała z wyraźnym wysiłkiem Diana, puściła męża, odsunęła się od niego i ruszyła do schodów. Kiedy mijala drzwi wejściowe, otworzyły się one na oścież tak nagle, że aż się przestraszyła.

— Wołałaś mnie, mamó? — spytał Bobby King.

Z niedowierzaniem zamrugła oczami.

— Bobby? — spytała. — A potem z radością, zrodzoną z pewności, powtórzyła kilka razy imię synka: — Bobby, Bobby, Bobby!

Podbiegła do niego, opadła na kolana i przytuliła go do siebie.

— Ej, co się dzieje? — spytał Bobby.

Zdezorientowany King wpatrywał się w syna.

— Jak... — zaczął, a potem obrócił się do telefonu, wymierzył w niego groźnie palec i krzyknął: — To parszywe kłamstwo...

— Nie będę się więcej bawił z Jeffem, mam — powiedział Bobby. — Wszedłem na drzewo, tak jak kazał tata, ale to nic nie dało. Nie mogłem go nigdzie dojrzeć.

— Jak to? — spytał King, a w jego głosie znów odezwał się niepokój. Spojrzał prędko na telefon. — Jak to nie mogłeś go dojrzeć? Gdzie on jest?

— Na pewno wyszedł z lasu — odparł Bobby. — 7~ głądałem wszędzie, za każdy kamień. Nie będę się z nim więcej bawił. Tam go nie ma. Naprawdę nie wiem, gdzie się podział!

Przez chwilę panowało głucho milczenie. Imię chłopca było na ustach wszystkich, prawda w myślach wszystkich, ale pierwszy odezwał się jego ojciec wypowiadając to jedno, jedyne słowo — imię, które najprościej i najjaśniej podsumowywało wszystko, co zaszło w lesie, imię, które wyjaśniało telefon od nieznanego.

— Jeff — powiedział Reynolds, wypowiadając imię syna szeptem.

Z oddali dobiegł ich głos syreny zbliżający się do osobnionego sanktuarium, jakim była dzielnica Smoke Rise.

Rozdział piąty

Jeżeli cokolwiek wyprowadzało Carellę z równowagi, to sprawy dotyczące wielkich bogaczy i sprawy dotyczące dzieci. Nie był dzieckiem slumsów tego miasta, a więc swej niechęci do majątnych nie mógł złożyć na karb ubogiego dzieciństwa. Jego ojciec Antonio, piekarz, zawsze zarabiał na przyzwoite utrzymanie, więc Carella nie zaznał ukąszeń zimnego wiatru przez siedzenie wytartych portek. A jednak w obliczu luksusów, które kłuły w oczy bogactwem, w salonach, pokojach i gabinetach, do których zdarzyło mu się trafiać z racji zawodu, czuł się nieswojo. Czuł się biedny. Nie był biedny, nigdy nie zaznał biedy, a nawet gdyby nie miał centa przy duszy, to i tak nie byłby biedakiem, jednakże siedząc w salonie Douglasa Kinga, naprzeciwko mężczyzny, którego stać było na taki zbytek, Steve Carella czuł się jak nędzarz bez grosza i był trochę onieśmielony.

A na domiar wszystkiego sprawa ta wyglądała na prawdziwe porwanie. Nawet gdyby Carella nie był ojcem bliźniąt, które jego żona Teddy urodziła minionego lata, nawet gdyby nie przeżywał pierwszych radości ojcostwa, to porwanie dziecka było wystarczająco straszne, by nie chciał mieć z nim nic wspólnego.

Niestety, nie miał wyboru.

Onieśmielony i strapiiony siedział więc w salonie Kingów i zadawał pytania, Meyer Meyer zaś, odwrócony plecami do pokoju, wyglądał przez okno wychodzące na rzekę Harb.

— Wyjaśnijmy to sobie, panie King — powiedział. — Porwany chłopiec nie jest pańskim synem, zgadza się?

— Tak.

— Ale okupu zażądano od pana, też się zgadza?

— Tak.

— A więc, kiedy porywacz zażądał okupu, to sądził, że schwytał pańskiego syna.

— Na to wygląda, tak.

— Czy dzwoniło do pana drugi raz?
— Nie.
— A więc nadal może sądzić, że ma pańskiego syna?
— Nie wiem, co on sądzi — odparł gniewnie King. — Czy koniecznie musi mnie pan pytać o to wszystko? Nie jestem ojcem tego chłopca i...
— No, ale to właśnie z panem rozmawiał porywacz.
— To prawda.
— I zażądał pięciuset tysięcy dolarów, czy tak, panie King?
— Tak, tak, tak, panie Caretta, tak.
— Carella.
— Przepraszam, Carella.
— To był mężczyzna? Ten, kto dzwonił.
— Mężczyzna.
— Kiedy rozmawiał z panem, to powiedział: „Mam pańskiego syna”, czy „Mamy pańskiego syna”? Przypomina pan sobie?
— Nie pamiętam. A poza tym nie rozumiem, czemu to takie ważne. Ktoś porwał syna Reynoldsa, a cała ta przekłeta zabawa w słówka...
— Właśnie, panie King — przerwał mu Carella. — Ktoś porwał tego chłopca, a my chcielibyśmy się dowiedzieć kto. Widzi pan, musimy mieć pewność, że uda nam się odzyskać go całego i zdrowego. Panu z pewnością zależy na tym nie mniej niż nam.
— Oczywiście — burknął King. — Dlaczego nie wezwiecie FBI, jak Boga kocham? Zajmowanie się taką sprawą przerasta możliwości miejscowej policji. Chłopca porwano i...
— FBI może przejąć tę sprawę po upływie siedmiu dni — wyjaśnił Carella. — Naturalnie, zawiadomimy ich od razu, ale aż do tego czasu nie mogą jej przejąć. Zrobimy jednak, co w naszej mocy...
— A dlaczego nie mogą wkroczyć prędzej? Myślałam, że porwaniami zajmuje się policja federalna. Zamiast garstki miejscowych policjantów jak z komedii filmowej, można by...
— Policja federalna zajmuje się porwaniami, ponieważ po upływie siedmiu dni automatycznie uznaje się, że sprawa przekroczyła kompetencje policji stanowej. Jednakże do tego

czasu podlega ona organom prawa w stanie, w którym dokonano przestępstwa. A w danym stanie, w danym mieście, prowadzi ją miejscowy posterunek policji. Dotyczyło porwania, napadu, morderstwa, wszystkich przestępstw.

— Czy mam przez to rozumieć, że kiedy życiu chłopca grozi niebezpieczeństwo, to porwanie będzie traktowane tak samo, jak traktuje się... kradzież towaru za pół dolara ze sklepu Woolwortha?

— Niezupełnie, panie King. Dzwoniliśmy na posterunek. Kapitan Byrnes jest już w drodze. Jak tylko dowiemy się czegoś więcej...

— Przepraszam, Steve — odezwał się Meyer. — Jeżeli mamy nadać dalekopis, to trzeba wziąć od ojca chłopca jego rysopis.

— Owszem — odparł Carella. — Gdzie jest teraz pan Reynolds, panie King?

— W swoim mieszkaniu. Nad garażem. Bardzo źle to zniósł.

— Mam się tym zająć, Meyer?

— Nie, nie, w porządku. — Meyer spojrzał znacząco na Kinga.

— Widzę, że masz tu pełne ręce roboty. Gdzie jest ten garaż, panie King?

— Z boku domu. Na pewno pan trafi.

— Gdybyś mnie potrzebował, Steve, to będę tam.

— Dobrze — odrzekł Carella. Po wyjściu Meyera znów skupił uwagę na Kingu. — Czy zauważył pan coś szczególnego w głosie tego mężczyzny? Seplenił, miał wyraźny akcent, mówił gwarą albo...

— Przykro mi, panie Caretta, ale dość mam tej zabawy. Doprawdy nie rozumiem, co...

— Nazywam się Carella, a poza tym, jaką to zabawę ma pan na myśli, panie King?

— Tę bzdurną zabawę w złodziei i policjantów. No, bo co to, do diabła, za różnica, czy facet sepleni, mówi przepiękną kulturalną angielszczyzną, czy gada jak kretyń? Jaki związek ma to z odzyskaniem Jeffa Reynoldsa?

Carella nie odrywał wzroku od notesu. Wpatrywał się w kartkę z notatkami i powtarzał sobie w duchu, że oficerowi policji nie wypada wstać i dać panu Douglasowi Kingowi w

zęby.

— Czym się pan zajmuje, panie King? — spytał cicho, spokojnym tonem.

— Prowadzę fabrykę butów — odparł King. — Czy to jeszcze jedno z pańskich nieodzownych dla tej sprawy pytań?

— Tak, panie King. To jedno z nieodzownych pytań. Nie znam się nic a nic na butach, panie King, wiem tylko, że muszę je nosić, żeby pinezki nie wbijały mi się w stopy. Ale nie wyobrażam sobie, żebym poszedł do pańskiej fabryki i pouczał pańskich pracowników, jak mają przybijać podeszwy, przyklejać obcasy, czy szyć to, co tam oni szyją.

— Zrozumiałem, co pan chciał powiedzieć — rzekł z cierpką ironią King.

— Zrozumiał pan tylko częściowo, panie King. Zrozumiał pan tylko tyle, że ostrzegam pana..

— Ostrzega pan mnie?!

— ...ostrzegam pana, żeby przestał pan zwracać się do mnie w sposób, który można uznać za stawianie oporu i utrudnianie śledztwa policji. To pan zrozumiał, a teraz powiem panu resztę, licząc, że zarówno jedno, jak i drugie dotrze do pana, ponieważ ja wykonuję tu swoją pracę i wykonam ją z pańską pomocą lub bez niej. Przypuszczam, że zna się pan na prowadzeniu fabryki, bo inaczej nie mieszkałby pan w Smoke Rise i nie miał szofera, którego syna porywacze pomylili z pańskim. To tyle. Nie ma pan żadnych podstaw, by uważać mnie za złego, dobrego, czy też przeciętnego policjanta. A już na pewno nie ma pan żadnych podstaw, by uważać mnie za policjanta głupiego.

— Wcale nie...

— Żeby wyjaśnić wszystkie wątpliwości, które mogą się błąkać w pańskiej głowie, to powiem panu wprost i nieskromnie, że jestem dobrym policjantem, cholernie dobrym policjantem. Znam swój fach i wykonuję go dobrze, a pana pytam o to wszystko nie po to, żeby zdobyć rolę w kryminalnym serialu telewizyjnym. Pytam o to z określonego powodu i przyczyny, a pan znacznie ułatwi mi pracę odpowiadając na pytania i zachowując dla siebie opinię na temat sposobu prowadzenia śledztwa. Czy się rozumiemy,

panie King?

— Sądzę, że się rozumiemy, panie Caretta.

— Nazywam się Carella — odparł ze spokojem Carella. — Czy mężczyzna, który do pana dzwonił, mówił z jakimś akcentem?

Reynolds siedział na brzegu łóżka, nie wstydząc się, że szlocha, i wciąż od nowa potrząsał głową. Przypatrujący się mu Meyer Meyer przygryzł dolną wargę. Chciał otoczyć ramieniem płaczącego mężczyznę, pocieszyć go, powiedzieć, że wszystko będzie dobrze. Ale nie mógł tego zrobić, bo wiedział, jak nieobliczalne potrafią być porwania i że chłopiec mógł zginąć, nim jeszcze porywacze odjechali pięć mil od domu. A w tym konkretnym przypadku dochodziło jeszcze niebezpieczeństwo związane z pomyłką co do osoby porwanego. Jak zareagują te kanalie, kiedy odkryją, że porwały nie tego chłopca? Tak więc nie mógł pocieszyć Reynoldsa, a tylko zadawać mu pytania, które znał na pamięć, i żywić nadzieję, iż nie będą brzmieć bezsensownie dla człowieka ogarniętego rozpaczą.

— Jak brzmi pełne imię chłopca, panie Reynolds? — spytał.

— Jeffry. Jeffry.

— Czy pisze się G-e-o-f, czy J-e-f-f?

— Słucham? A! J-e-f-f-r-y. Jeffry.

— A drugie imię?

— Nie. Nie ma.

— Ile ma lat, panie Reynolds?

— Osiem.

— Data urodzenia.

— Dziewiątego września.

— A więc dopiero co skończył osiem?

— Tak, dopiero co osiem.

— Ile ma wzrostu?

— Ja... — Reynolds zamilkł. — Nie wiem. Nigdy... nie wiem. Kto mierzy dzieci? Kto myśli o tym, że coś takiego...

— W przybliżeniu, panie Reynolds. Metr? Metr dwadzieścia?

— Nie wiem. Nie wiem.

— Dzieci w tym wieku mierzą przeciętnie metr dwadzieścia,

metr trzydzieści. Jest przeciętnego wzrostu, tak, panie Reynolds?

— Tak. A może trochę wyższy. To ładny chłopiec. Wysoki jak na swój wiek.

— Ile waży?

— Nie wiem.

Meyer westchnął.

— A jakiej jest budowy? Tęgi? Przeciętnej tuszy? Chudy?

— Jest szczupły. Nie za gruby, nie za chudy. Po prostu... dobrze zbudowany, jak na chłopca w jego wieku.

— A jaką ma cerę, panie Reynolds? Rumianą, żółtawą, bladą?

— Nie wiem.

— Ma ciemne włosy?

— Nie, nie. Jest blondynem. Z bardzo jasną cerą. Czy o to pan pytał?

— Tak, dziękuję. Jasna — powiedział Meyer i zapisał to. — Włosy blond. — Urwał. — A kolor oczu, panie Reynolds?

— Odzyskacie go? — spytał nieoczekiwanie Reynolds.

Meyer przerwał pisanie.

— Postaramy się — odparł. — Postaramy się ze wszystkich sił, panie Reynolds.

Rysopis chłopca został przekazany telefonicznie na 87 posterunek, a stamtąd przez radio do komendy miasta, z niej zaś wysłano dalekopis alarmowy do czternastu stanów. Jego treść brzmiała:

OFIARA PORWANIA JEFFRY REYNOLDS LAT OSIEM
WZROST OK METR TRZYDZIEŚCI WAGA OK
DWADZIEŚCIA SIEDEM KILO XXXXXX WŁOSY BLOND
OCZY NIEBIESKIE MYSZKA NA PRAWYM POŚLADKU
XXXXXX NA LEWEJ RĘCE BLIZNA PO ZŁAMANIU
XXXXXX NAZWISKO OJCA CHARLES REYNOLDS XXXXXX
MATKA NIE ŻYJE XXXXXX REAGUJE NA IMIĘ JEFF
XXXXXX UBRANY W JASKRAWOCZER- WONY SWETER
GRANATOWE DRELICHOWE SPODNIE BIAŁE SKARPETKI

TENISÓWKI XXXXXX BEZ CZAPKI XXXXXX BEZ
RĘKAWICZEK XXXXXX BEZ BIŻUTERII XXXXXX MOŻE
MIEĆ STRZELBĘ DZIECIĘCĄ XXXXXX MOŻE BYĆ W
TOWARZYSTWIE MĘŻCZYŹNY XXXXXX OSTATNI RAZ
WIDZIANY W OKOLICY SMOKE RISE I SO LA O
SIEDEMNASTEJ TRZYDZIEŚCI CZASU LOK XXXXXX
CZEKAĆ NA DALSZE INSTRUKCJE ODNOŚNIE BLOKADY
DRÓG XXXXXX WSZYSTKIE INF ETC KONTAKT KM ISOLA
XXXXXXXXXXXX

Depesza ta wysunęła się z dalekopisów na posterunkach
policji, w komendach policji stanowej, jednoosobowych
małych placówkach terenowych, wszędzie tam w czternastu
stanach, gdzie organy porządku publicznego miały i korzystały
z dalekopisów. Depesza ta wyszła na długiej płachcie białego
papieru, monotonnej jak obcojęzyczna gazeta. Następna, którą
wystukały dalekopisy zaraz po niej, brzmiała:

DONIESIENIE O KRADZIEŻY XXXXXX FORD SEDAN
1949 XXXXXX OSIEM CYL XXXXXX SZARY XXXXXX NR
SILNIKA 598L 02303 NR REJ RN 6120 XXXXXX
ZAPARKOWANY SUPERSAM RÓG PETER SCHWED DRIVE
I LANSING LANE ÓSMA ZERO ZERO DZIŚ RANO XXXXXX
KONTAKT POST JEDEN-ZERO- DWA RIVERHEAD
XXXXXXXX

Szary ford wjechał na poryty koleinami dojazd i podskakując
potoczył się polną drogą, która kiedyś należała do hodowcy
kartofli z Sands Spit. Drogę tę, ziemię i zabudowania
gospodarcze sprzedano dawno temu człowiekowi, który nabył
ten teren licząc, że budowlana koniunktura w rozrastającym się
mieście sięgnie tego podmiejskiego pustkowiec. Ale
koniunktura budowlana nie zbliżyła się do tej byłej farmy
kartoflanej ani na jotę. Prawdę mówiąc, spekulant zmarł,
zanim spełniło się jego marzenie, tak że gospodarstwem wraz z
przyległymi, leżącymi teraz odłogiem gruntami, zapuszczonymi
i z wolna poddającymi się przemożnym zakusom przyrody,

zajmował się teraz agent handlu nieruchomościami, który zażądał tym majątkiem z ramienia córki spekulanta, zapijacznej czterdziestoosmioletniej wiedźmy, która sypiała z marynarzami w każdym wieku. Kiedy więc w środku października udało mu się na miesiąc wynająć starą farmę, uznał to za sukces. Koniec roku nie obfitował przecież we frajerów. W lecie mógł wmówić nadarżającym się najemcom, że farma leży blisko plaży — co nie było prawdą, bo leżała pośrodku Sands Spit, daleko od obu brzegów półwyspu — i przynęcić w ten sposób kilku mieszczuchów, żeby zamieszkali w tej walącej się ruderze. Ale wraz z nadejściem Święta Pracy, w pierwszy poniedziałek września, jego nadzieje rozwiały się. Zapijaczona córka spekulanta musiała znaleźć sobie inne środki na zakup whisky i marynarzy. Aż do powrotu lata do Sands Spit gospodarstwo nie mogło przynieść ani grosza. Dlatego radość agenta z wynajęcia tej ruiny w środku października nie miała granic. Nie miał on też najmniejszego pojęcia o starannych planach, które poprzedziły to zdarzenie. Nie należał do tych, którzy patrzą darowanemu koniowi w zęby. Zapłacono mu od ręki gotówką. O nic więc nie pytał i nie oczekiwał wyjaśnień. A poza tym najemcami była para miło wyglądających młodych ludzi. Jeżeli pragnęli odmrozić sobie tyłki na tym pustkowiu, ich sprawa. Jego sprawą natomiast, tak jak wszystkich właścicieli ziemskich w przeszłości, było po prostu zebrać dziesięcinę, panie dzieju, zebrać dziesięcinę.

Reflektory forda wybadały drogę, przesunęły się po szarym budynku mieszkalnym, a potem snopy światła zatoczyły łuk, bo samochód skręcił i zatrzymał się ostro hamując. Silnik zamilkł. Reflektory zgasły. Drzwiczki po stronie kierowcy otworzyły się, a z wozu wysiadł w ciemność młody, blisko trzydziestoletni mężczyzna i podbiegł do frontowych drzwi domu. Zapukał cicho trzy razy i zaczął.

— Eddie? — odezwał się kobiecy głos.

— To ja, Kathy. Otwórz.

Drzwi otworzyły się szeroko. Zamarzniętą ziemię obryzgało światło. Dziewczyna wyjrzała na podwórko.

— A Sy? — zapytała.

— Jest w samochodzie. Przyjdzie. Nie pocałujesz mnie?

— Och, Eddie, Eddie — powiedziała i padła mu w ramiona.

Była kobietą najwyżej dwudziestoczteroletnią. Kobieta, bo nie sposób jej było nazwać dwudziestoczteroletnią dziewczyną. Rysy miała wprawdzie ładne i delikatne, lecz w jej urodzie była pewna surowość, przywodząca na myśl cieniutką warstewkę szelaku, wytartą od częstego i nie zawsze właściwego używania. Dwudziestoczteroletnia Kathy Folsom była więc kobietą i stała się nią być może — być może — już w wieku lat dwunastu. Miała na sobie prostą czarną spódnicę i granatowy sweter z rękawami podwiniętymi do łokci. Ciemne odrosły nie pozostawiały wątpliwości, że tleni włosy, ale nie wyglądały one źle, tyle że sprawiały wrażenie zaniedbanych. Ucisnęła męża z rozpaczliwą desperacją, która wzbierała w niej od chwili, gdy wyjechał tego popołudnia z farmy. Pocałowała go stęskniona, obejmując w pasie, a potem odsunęła się od niego, zajrzała w twarz, uśmiechnęła się z czułością, która krępowała nawet ją samą, i żeby pokryć zakłopotanie, dotknęła szybko jego policzka, powtórzyła „Eddie, Eddie”, a na koniec spytała podwyższonym tonem:

— Nic ci nie jest? Wszystko poszło dobrze?

— Poszło doskonale — odparł. — A co słyhać tutaj? Miałaś jakieś kłopoty?

— Nie, żadnych. Siedziałam jak na szpilkach. Wciąż myślałam: To już ostatni raz. Proszę Cię, Boże, nie pozwól, żeby coś nie wyszło.

— Poszło tak, jak zaplanowaliśmy. — Eddie na chwilę zamilkł.

— Masz papierosa, kochanie?

— W torebce. Na tamtym krześle.

Eddie szybko podszedł do krzesła i poszukał w jej torebce papierosów. Przyglądała się, jak zapala jednego — wysoki, przystojny mężczyzna w czarnych spodniach, sportowej marynarce, kasztanowym swetrze i białej koszuli, rozpiętej pod szyją.

— Słuchałam radia — powiedziała. — Myślałam, że coś powiedzą. W końcu to bank, i w ogóle. — Urwała. — Udało się, prawda? Nie było żadnych kłopotów?

— Żadnych. — Eddie wydmuchnął z ust smugę dymu. — Tylko że widzisz, Kathy, my... my nie całkiem...

Pocałowała go jeszcze raz, szybko, jakby jej usta nie były w stanie ani chwili dłużej wytrzymać bez jego ust.

— Wróciłeś — szepnęła. — Tylko to się liczy.

— Właż, mały — rozległ się głos, a brzmiał w nim natarczywy ton odpowiadający natarczywości rąk jego właściciela.

Popchnięty Jeff Reynolds potknął się wchodząc do środka, a idący za nim mężczyzna zaśmiał się, zatrzasnął drzwi i powiedział:

— No, znowu w domu! Jak ci się tu podoba, mały? Skromnie, za to nie śmierdzi, nie?

Znów się zaśmiał. Jego śmiech pasował do jego wyglądu. Mężczyzna miał czterdzieści dwa lata, twarz porastał mu dawno nie golony zarost, lecz ubrany był w schludny czarny garnitur. Zachowywał się osobliwie, jak ktoś, kto świetnie się bawi na dorocznym pracowniczym pikniku.

— Gdzie jest strzelba? — spytał Jeff.

Kathy obróciła się na dźwięk jego głosu i spojrzała na chłopca, nie wiedząc, co myśleć. Wcale nie wyglądał na wystraszonego, był tylko może odrobinę zdziwiony, nieco zaniepokojony dziwnym otoczeniem, lecz poza tym zadowolony z sytuacji.

— Chłopak chce swoją strzelbę — powiedział z uśmiechem Sy.

— Gdzie ta strzelba, którą mu obiecaliśmy?

Kathy nie spuszczała wzroku z chłopca.

— Kto... Kto to jest, do licha...? — spytała, a szeroki uśmiech Sya zmienił się w chichot, wreszcie w wybuch serdecznego śmiechu.

— Aha, widzisz, Eddie, widzisz, jak ją zastrzeliliśmy?!

O rany, ale ubaw!

— Pozwól, że ja to wyjaśnię, Sy — powiedział Eddie.

— Gdzie ta strzelba? — spytał Jeff. — Pośpieszcie się, muszę wracać. — Obrócił się do Kathy. — To pani ma tę strzelbę?

— Ja-jaką strzelbę? — spytała odruchowo, a potem krzyknęła; — Co to za dzieciak?! Gdzie...?

— Kim on jest? — spytał uśmiechnięty Sy. — Co za pytanie.

Gdzie twoje maniery, laluniu? Przywozimy ci do domu gościa, a ty od razu zadajesz niedyskretne pytania.

Kathy natychmiast obróciła się do męża.

— Eddie, kto...?

— Pozwól, że dokonam prezentacji — rzekł Sy, kłaniając jej się w pas. — Synu, to jest Kathy Folsom, primo voto Kathy Neal, chluba Dzielnicy Południowej. Piękna, co? Uczta dla oczu. Kathy, to jest King — wskazał ręką — król dzikich kresów! — dokończył i ponownie wybuchnął śmiechem, zarykując się z własnego dowcipu.

— O czym on mówi, Eddie? Skąd wzięliście tego chłopca? Co on tu robi? Dlaczego...?

— Pewnie wcale nie macie strzelby — powiedział Jeff.

— Nie mamy? — odparł Sy. — Mały, mamy tu tyle artylerii, że moglibyśmy wywołać drugą wojnę domową. Gdyby generał Lee miał tyle karabinów co my, to teraz prosilibyśmy twojego starego o konfederackie banknoty!

Znów zaniósł się prowokacyjnym śmiechem przeznaczonym dla Kathy, tak jakby rzucał wyzwanie jej inteligencji. Nie było to potrzebne. Wzmianka o banknotach nie uszła jej uwagi. Natychmiast zrozumiała aż za dobrze, co oznacza. Obróciła się do męża i powiedziała:

— Eddie, ty przecież nie...

— Chodź, mały. Po tę strzelbę — powiedział Sy.

Popchnął Jeffa w stronę drzwi prowadzących z przestronnej, służącej też za salon kuchni do jednej z sypialni. — Zbrojownia i salon trofeów są tutaj — dodał. — Chata z wszelkimi wygodami, co?

Kathy zaczęła, aż zamkną się za nimi drzwi.

— Dobrze — powiedziała do męża — a teraz wyjaśnij mi to wszystko.

— Jest tak, jak wygląda — odparł Eddie. Mówił cicho. Nie patrzył jej w oczy.

— Czy ty zgłupiałeś? — spytała. — Czy ty do reszty zgłupiałeś?!

— Uspokój się, dobrze? Spróbuj się trochę uspokoić.

Roztrzęsiona Kathy, chcąc się opanować, podeszła

sztywno do torebki, otworzyła ją i wytrząsnęła z pudełka papierosa, który natychmiast wypadł jej z palców. W końcu zdołała go utrzymać i przypalić.

— No dobrze — powiedziała. — Słucham.

— To porwanie — odparł lakonicznie Eddie.

— Po co?

— Jak to, po co? Chodzi o pięćset kawalków.

— Powiedziałeś...

— Potrzebujesz innego powodu? Chryste Panie, to jest...

— Mówiłeś o banku. Było to wystarczająco złe, ale przynajmniej...

— Skłamałem. Wcale nie chodziło o bank. Tak tylko powiedziałem. Nawet się nie zbliżyliśmy do banku.

— Owszem, widzę. Czy ty wiesz, czym to grozi, Eddie? Porwanie to przestępstwo federalne! Można za to dostać krzesło elektryczne!

— Tylko wówczas, jeżeli ten dzieciak nie zostanie zwrócony przed rozprawą.

— To ty już mówisz o sądzie, a ja się dopiero o tym dowiaduję?! Od jak dawna to planowaliście?

— Od... od jakichś sześciu miesięcy.

— Co takiego?!

— Posłuchaj, Kathy, tylko spokojnie. Nie denerwuj się.

— Kto to jest?

— Bobby King.

— Co za Bobby King?

— Jego stary jest grubą rybą w Obuwii Grangera. Znasz przecież tę firmę, kochanie. Produkują te kosztowne damskie buty.

— Tak, znam tę firmę. — Kathy zamilkła, a po chwili zapytała:

— Dlaczego nie powiedziałeś mi, co planujecie?

— No bo, wiesz, wątpiłem, czy na to pójdziesz. Pomyślałem sobie...

— Jasne, że na to nie pójde! — krzyknęła. — W tej chwili zabieraj mi stąd tego chłopca. Odstawcie go tam, skąd go wzięliście!

— Jak możemy to zrobić? — spytał Eddie. — Dajże spokój, bądź rozsądna.

— Jeżeli go nie odwieziecie, ja to zrobię!

— Tak, a jakże.

— Jego rodzice na pewno szaleją z rozpaczy. Jak mo- * głęś zrobić coś...

— Zamknij się na chwilę, dobrze? — przerwał jej szorstko Eddie. — Chłopak zostanie tutaj, dopóki nie weźmiemy forsy, i koniec sprawy, więc się zamknij.

Kathy podeszła do popielniczki i zdusiła niedopałek. Potem zbliżyła się do okna i wyjrzała na podwórze.

Eddie przypatrywał się żonie.

— Kathy? — zagadnął łagodniejszym tonem.

— Przecież kazałeś mi się zamknąć.

— Kochanie, tu chodzi o pięćset kawałków — powiedział żałośnie. — Nie możesz...

— Nie chcę ich.

— Połowa dla nas, a druga dla Sya.

— Nie chcę nic z tych pieniędzy! Nie tknę ich!

— Dzięki nim pojedziemy do Meksyku.

— Mam gdzieś ciebie i Meksyk!

— Nie rozumiem ciebie — powiedział Eddie, potrząsając głową. — Przecież powiedziałaś, że chcesz jechać do Meksyku.

— A ty powiedziałaś, że to ostatni raz! — krzyknęła, odwracając się gwałtownie od okna. — Ostatni raz, powiedziałaś, tak powiedziałaś! Bank. Zwykły bank. Po to tylko, żeby się ustawić...

— Właśnie! — powiedział triumfalnie Eddie. — Właśnie, to naprawdę jest ostatni raz. I co na to powiesz? Na pięćset tysięcy dolarów?! Na ekspres prosto do Acapulco?

— Na porwanie?! Trudno wyobrazić sobie bardziej podłe, bardziej wstrętne...

— No więc porwaliśmy, i co z tego? Czy zraniliśmy chłopca? Spadł mu z głowy włos? Nic mu nie jest, tak czy nie?

Przypominając sobie o chłopcu, Kathy obróciła się w stronę sypialni.

— Co Sy tam z nim robi? — spytała i natychmiast ruszyła w kierunku drzwi sypialni.

Eddie chwycił ją za rękę.

— Nic mu nie jest. Sy przyrzekł mu prawdziwą strzelbę. Właśnie tym go tu zwabiliśmy. Posłuchaj, kochanie, spróbuj to zrozumieć.

— Wcale nie chcę tego zrozumieć. Jasna cholera, czy ty nie masz żadnych hamulców? Przede wszystkim, skąd ci wpadł do głowy ten szalony pomysł? Jakim cudem wpadłeś na...?

— Po prostu wymyśliłem, i tyle. Wszystko opracowaliśmy.

— Kto go opracował?! Ty?! — Kathy zawiesiła głos. —

Czy Sy?

— Obmyśliliśmy go razem. — Eddie przez chwilę uważnie przypatrywał się jej minie, po czym dodał: — Posłuchaj, co za sens narażać się przy skoku na bank, hmm? Ta robota jest przecież bezpieczniejsza. Pożyczylimy dzieciaka, a przy zwrocie dostaniemy za niego pięćset patyków. Czy to nie bezpieczniejsze?

— Pożyczyciście? Kto tak powiedział? Sy?

— Nie, nie. O rany, przecież już mówiłem, że obmyśliliśmy to razem.

— Naprawdę, Eddie?

— Tak, tak.

— Kłamiesz. To pomysł Sya, prawda?

— No...

— Tak?

— No, owszem, jego — przyznał Eddie i dodał prędko: — Ale dobry, Kathy, nie rozumiesz? Po tym naprawdę możemy się wycofać, poważnie, kochanie. Posłuchaj, mówię serio... to ostatni raz. W Meksyku mogę... mogę naprawdę zostać kimś. No co, czy nie byłoby wspaniale? Żebym ja, Eddie Folsom, był kimś?

— Eddie, Eddie, czy ty naprawdę nie rozumiesz, co zrobiłeś?

— Kochanie, posłuchaj, uwierz mi, to się dobrze skończy. Przyrzekam ci, Kathy. No co, czy ja cię choć raz w życiu zawiodłem? Tylko bądź ze mną, kochanie, dobrze? Proszę.

Nie odpowiedziała.

— Kochanie?

Wciąż milczała.

— Och, kochanie, proszę cię, spróbuj...

— Bach! — krzyknął Jeff wbiegając do kuchni z dubeltówką, a za nim wszedł uśmiechnięty Sy. — Kurczę, ale strzelba!

— Chłopak lubi broń — powiedział ze śmiechem Sy. — Pobaw się strzelbą, mały. Zapoznaj z nią.

— Sy, czy ona jest nabita? — spytała zaniepokojona Kathy.

— A czy ja bym dał nabitą broń dzieciakowi? — spytał Sy i cmoknął z przyganą językiem jak starsza pani.

— Na pewno jest nabita, proszę pani — powiedział Jeff. Wycelował dubeltówkę i krzyknął: — Bach! Prosto między oczy!

— Dobra, mały, wystarczy — powiedział Sy. — Uważaj trochę.

— Na kilka chwil zmarszczył brwi, a potem zaproponował: — A może by tak nastawić naszego potwora, Eddie?

Eddie spojrzał bezradnie na Kathy, jakby błagał ją wzrokiem o zrozumienie. Ale wyczytał z jej miny, że nie chce go zrozumieć, więc odparł zniechęcony: „Oczywiście, Sy”, podszedł do ściany w głębi kuchni i ściągnął brezent okrywający stos sprzętu radiowego, ustawiony przy ścianie.

— Mały — zwrócił się Sy do Jeffa — to jest doktor Frankenstein. Przyjrzyj się, jak ożywia swojego potwora.

W rzeczywistości sprzęt radiowy nie przypominał potwora. Aluzja Sya nie była wszakże bezzasadna, bo tarcze, przełączniki, wskazówki i gałki pasowałyby do laboratorium naukowca. Eddie podszedł do aparatury i wcisnął guzik.

— No, dalej, popisz się przed małym — powiedział Sy. — Zdradz mu, na jakim paśmie rozmawia policja.

— Trzydzieści siedem przecinek czternaście megacy- J<la — odparł Eddie, zajęty strojeniem odbiornika.

— Tak jest, ma kiepełę ten nasz doktor — powiedział Sy. — Złowiłaś prawdziwy skarb, Kathy, prawdziwy skarb.

— Dlaczego wciągnąłeś w to mojego męża? — spytała napiętym głosem. — Dlaczego nie zostawiłeś go w spokoju?

— Wciągnąłem? Kto, ja? Przystał na to z ochotą, złotko. — Z odbiornika wydostał się wysoki przenikliwy pisk. — No i

widzisz, mały? Potwór przemówił.

— Ej, to naprawdę jest coś — powiedział Jeff. — Skąd go macie?

— Zbudowałem go — odparł Eddie.

— Nie buja pan? Kurczę, to musiało być trudne.

— Właściwie, to... — zaczął Eddie, walcząc z uczuciem przyjemności, a nie chcąc okazać przesadnej dumy. — Aż tak trudne to nie było.

— Dla mistrza nie ma nic trudnego, co, Kathy? — zagadnął Sy. — Z ciebie jest naprawdę genialny elektronik, no nie, Eddie? Dlatego ta kobitka tak cię kocha. A w dodatku nauczyłeś się tego wszystkiego w poprawczaku.

— Przestań — powiedziała Kathy.

— O co chodzi? Przecież chwalebę twój męża. Kiedyś, mały, Eddie pójdzie do normalnej szkoły, zostanie regularnym uczniem i pozna radio jak własną kieszeń. Mam rację, Eddie? Powiedz małemu.

— Owszem — odparł zakłopotany Eddie.

— To jest Thomas Alva Frankenstein, synku. Chcesz się nauczyć, jak budować takie aparaty, żeby się kochały w tobie wszystkie panie?

— No pewnie! — odrzekł Jeff.

— To ci powiem jak. Kiedy skończysz piętnaście lat, zrób napad na sklep spożywczy.

— Sy, co ty mówisz chłopcu! — naskoczyła na niego Kathy.

— O co chodzi? — spytał niewinnym tonem Sy. — Niepotrzebny ci nawet pistolet, mały, wystarczy, że włożysz rękę do kieszeni, tak jak zrobił Eddie. Kiedy cię złapią, to odeślą do izby dziecka, potem do sądu dla nieletnich, no a stamtąd do poprawczaka. Tak, Eddie?

— Tak. Jasne — odparł Eddie z jeszcze większym zakłopotaniem, kręcąc usilnie gałkami radia.

— W poprawczaku nauczą cię, jak się robi radia, prawda, Eddie? — zakończył Sy.

— Tylko jak je reperować.

— To nie jest temat do żartów, Sy — powiedziała Kathy.

— A kto tu żartuje? Uczę małego fachu. Mam mu powiedzieć

o wszystkim, czego nauczyłeś się w poprawczaku, Eddie? O innych fachach?

— A mów mu, cholera, co tylko chcesz.

— Te, te, uważaj, jak się wyrażasz przy dziecku — rzekł Sy. Uśmiechnął się i zmierzwił Jeffowi czuprynę. — Ja, mały, nauczyłem się tylko roboty w fabryce worków. Pracowałeś kiedyś przy jucie? To nigdy nie pracuj. Kręci cię w nosie. Wciska ci się do płuc. Wciska ci się nawet do tyłka. — Sy zaczął się śmiać. — Jak leci, doktorze?

— Dostrajam go — odparł Eddie i nagle z radia dobiegł wyraźny głos.

— ...trzyście. Wypadek na skrzyżowaniu Morrisona z Dziewięćdziesiątą Ósmą Północną. Wóz trzysta trzy, sygnał trzyście. Wypadek na skrzyżowaniu Morrisona z Dziewięćdziesiątą Ósmą Północną.

— Tu trzysta trzy. Dobra.

— Mają tuż pod nosem porwanie, a martwią się o uliczny korek — powiedział Sy.

— Hej, teraz mnie odwieziecie? — spytał Jeff.

— Jestem zajęty, mały.

Jeff obrócił się do Kathy.

— A pani? — Przez chwilę szczerze i poważnie patrzył jej w oczy. A kiedy już wyrobił sobie o niej zdanie, powiedział: — No cóż, pani jest dziewczyną. A co mogą dziewczyny?

Sy zaniósł się śmiechem.

— Zdziwiłbyś się, mały, ile — powiedział.

— Wóz dwieście siedem, wóz dwieście siedem — odezwał się dyspozytor policyjny. — Sygnał trzyście, dołącz do pomocy wozowi dwieście cztery w posiadłości Douglasa Kinga, w Smoke Rise, przy Smoke Rise Road, w pobliżu autostrady Rzecznej. Sygnał trzyście, dołącz do pomocy...

— Ej, słyszeliście? — zawołał Jeff, podniecony swoim odkryciem. — On mówił o .Douglasie Kingu!

— ...Smoke Rise, przy Smoke Rise Road, w pobliżu autostrady Rzecznej.

— Tu dwieście siedem. Dobrze.

— Długie ramię prawa zaczyna się wyciągać — powiedział Sy.

— A nie mówiłem ci? Poproś tylko te mendi, żeby nie wzywały glin, a zrobią to najpierw. — Ze smutkiem potrząsnął głową. — Dziś nikomu nie można ufać.

— Ty naprawdę liczysz, że ci to ujdzie na sucho? — spytała Kathy.

— No pewnie. A wszystko dzięki pomysłom doktora Frankensteina. Jeśli chodzi o moje hobby, to jest do niczego. Muzyka swingowa. Czy muzyka swingowa pomoże przy takim numerze? Czy Harry James wygrałby taką partię na trąbce? Ooo, ale hobby Eddiego to prawdziwy skarb, prawdziwy skarb. Radio. — Sy zagiął palce na kciuku i pocałował pięść. — Kocham je. Kocham radia. Kocham Eddiego. — Zamilkł. — Kocham nawet ciebie, Kathy. Naświetl jej sprawę, doktorze.

— Nie chce o niej słyszeć — odparł Eddie.

— Nie chce? — spytał zaskoczony Sy. — Co z tobą, dziecino, nieczuła jesteś, czy jak? Uwierz mi, ten numer przejdzie do historii. A wszystko dzięki temu, że Eddie zna się na radiu. W tej chwili podsłuchujemy gliny przez jego potwora. Ale potem... O rany, na myśl o tym planie dostaję gęsiej skórki.

— Sy, jej to nie interesuje — powiedział Eddie.

— Interesuje mnie wszystko, co robisz — odezwała się cicho Kathy.

— Jasne, że ją interesuje. Tę twoją małą kobitkę. No więc, zadzwoniliśmy po drodze do Kinga — powiedział Sy. — Powiedzieliśmy mu, że żądamy pięćset kawałków, kazaliśmy mu je przygotować na...

Jeff zamrugał oczami i spytał:

— Mówi pan, że zadzwonił do...?

— Cicho, mały. Powiedziałem mu, żeby je przygotował na jutro rano i że wtedy zadzwonimy do niego i damy znać, gdzie i kiedy przekaże forszę. A teraz najgenialniejszy detal planu, złotko. Słuchasz?

— Słucham.

— Dobra. Jutro rano przedryndamy znów do Kinga. Powiemy mu...

— Mówi pan o... — zaczął Jeff.

— Psiakrew, kazałem ci siedzieć cicho, mały, zapamiętaj to

sobie! — krzyknął Sy i spiorunował chłopca wzrokiem.

Jeff podparł się pod boki, przybrał buńczuczną minę i przyłączył się do zabawy, naśladowując najlepiej jak umiał głos filmowego twardziela.

— Za kogo ty się uważasz, wujek? — spytał.

— Zamknij się, mały, zanim cię spotka krzywda.

— Szukasz guza, kolego? — spytał Jeff, nie wypadając z roli.

— Powiedziałem ci, zamknij się! — Sy gniewnie odepchnął chłopca na bok.

Zaskoczony Jeff wbił w niego wzrok i zmarszczył brwi. Wszyscy zamilkli. A potem, w przeraźliwej ciszy, znów odezwało się radio.

— Uwaga wszystkie wozy. Uwaga wszystkie wozy. Podaję komunikat w sprawie porwania na Smoke Rise.

— Ej, słuchajcie — powiedział Eddie.

— Wypatrujcie ośmioletniego chłopca, blondyna, w jaskrawoczerwonym swetrze, granatowych drelichowych spodniach, białych skarpetkach, tenisówkach, bez czapki, bez rękawiczek, może mieć przy sobie dziecięcą strzelbę.

— Sławny jesteś, mały — powiedział uśmiechnięty szeroko Sy.

— Chłopiec nazywa się Jeffry Reynolds, reaguje na imię Jeff...

— Co takiego?! — wybąkał Eddie.

— On wymienił moje nazwisko — oznajmił zaskoczony Jeff.

— Cicho! — warknął Sy.

— ...jest synem Charlesa Reynoldsa, szofera Kingów.

Zaszła tu jakaś pomyłka, chłopcy, ale wiemy o tym tylko tyle, co wy. Zażądano pół miliona dolarów okupu, więc są szanse, że porywacze jeszcze nie wiedzą, kogo schwytali. Ja tego nie kapuję. W każdym razie tak brzmi ten komunikat, to wszystko.

— O czym on mówi, Sy? — spytał Eddie. Na twarzy rozlał mu się niczym biała farba popłoch. Wpatrzył się we współnika, wzrokiem domagając się od niego odpowiedzi, domagając się jej całą postawą.

— On wymienił moje nazwisko — powtórzył zdumiony Jeff.

— Kłamię — powiedział szybko Sy. — Próbują nas zażyć.

— Przez policyjne radio? Przecież nie wiedzą, że ich słuchamy.

— Nie, wiedzą tylko tyle, że chcą nas złapać, więc stosują tanią sztuczkę. I nie myśl, że nie macza w tym palców King. Fałszywy sukinsyn!

— Jak my mogliśmy porwać nie tego chłopaka? — jęknął Eddie.

— To jest ten chłopak!

— A co, jeśli nie ten? — spytała Kathy. — Znaczy to, że porwaliście go niepotrzebnie. Że za darmo jesteśmy w kłopotach.

Eddie spojrział na żonę, a potem na Sya.

— Ty... ty wierzysz w to, co ci mówi policja? — spytał. — Kathy, nie wolno ci im wierzyć.

— A ty komu wierzysz? Syowi?

— A dlaczego nie? — wtrącił Sy. — Ja twierdzę, że ten chłopak to Bobby King. I co ty na to?

— Ja? — spytał zaskoczony Jeff. — Ja nie jestem Bobby.

— Jeżeli piśniesz jeszcze słówko...

— Niech mówi — powiedziała Kathy. — Jak masz na imię, synku?

— Jeff.

— Kłamie! — krzyknął Sy.

— Nie kłamie! — odkrzyknął Jeff. Spojrział groźnie na Sya i powiedział: — Nie lubię pana, wie pan? Wracam do domu.

Ruszył do drzwi. Sy chwycił go za rękę i szarpnął w tył, omal nie przewracając. Stał tuż przy chłopcu. Z jego twarzy zniknął wszelki humor, a oczy już się nie śmiały.

— Jak się nazywasz? — spytał beznamiętnym, matowym głosem. — Jak ty się naprawdę nazywasz?!

Rozdział szósty

Po obu stronach wjazdu na posesję Kinga wznosiły się dwie kamienne kolumny z ozdobnymi oszklonymi latarniami z kutego żelaza. Stały one o mniej więcej metr od prywatnej drogi Smoke Rise Road, która biegła przez posiadłość, łącząc jak ogniwo Smoke Rise ze światem zewnętrznym. Pomiedzy kolumnami a zwirową drogą rosło pasmo trawy. Właściwie porastała ona obie strony drogi, obrębając jej szarą wstęgę naznaczoną paździenikiem zielenią.

Droga ta była zazwyczaj pusta, zwłaszcza w taką noc jak ta, gdy paździenik dokładał wszystkich sił, by być zwiastunem zimy. Znad rzeki Harb nadleciał chłodny wiatr, zaganiając pod dach wszystkich oprócz wściekłych psów, Anglików i policjantów. Być może pobudki kierujące tą trójcą nieco się od siebie różniły. O ile bowiem wściekłe psy pozostawały na dworze z powodu swego nieobliczalnego obłądu, a Anglicy za sprawą swojej powszechnie znanej w świecie flegmy, to policjantów trzymały tam obowiązki. Tego wieczoru nie znalazłoby się na tej drodze policjanta, który nie wołałby siedzieć w domu z dobrą książką, dobrą kobietą lub butelką dobrej brandy. Nie znalazłoby się też policjanta, który zamiast sterczeć na tej drodze, nie wołałby nawet złej książki, butelki złej brandy lub — mówiąc szczerze, choć nielojalnie — złej kobiety.

Tej nocy na owej drodze nie było kobiet — ani dobrych, ani złych.

Byli jedynie mężczyźni, a mężczyźni zajęci pracą są dla siebie — nawet przy ładnej pogodzie — nudnym towarzystwem.

— Jeszcze nie widziałem takiego zimna w paździeniku — powiedział detektyw Andy Parker. — Całe życie mieszkam w tym mieście, a takiego zimna nie widziałem. Mówię ci, powinni byli sprowadzić tu dziś Eskimosów. Dziś wszystko zamarza.

Detektyw Cotton Hawes skinął głową. Czuł, że mimo futrzanej rękawiczki, palce, w których ściska latarkę, ma

przemarznęte na kość. Oświetlał krążkiem światła kawałek trawy po drugiej stronie drogi, naprzeciwko kolumn przy wjeździe. Z technikiem laboratoryjnym, Peterem Kronigiem, który klęczał u jego stóp, Hawes miał niedawno małe spięcie. Nie potrafił powiedzieć, czy podoba mu się przyświecanie Kronigowi, który na czworakach przeszukiwał trawę, czy też nie. Miał świadomość, że kiedy ostatnio się widzieli, szpetnie mu dokuczył, czuł się więc nieswojo mając go tak blisko siebie. Oczywiście, kiedy zetknął się z Kronigiem po raz pierwszy, pracował w 87 posterunku dopiero od niedawna. I jak każdy nowy chłopak w dzielnicy, palił się, żeby udowodnić, co jest wart, miejscowym. W obecności Carelli, którego od razu uznał za najlepszego policjanta w ich gronie, naskoczył w laboratorium policyjnym na Kroniga. Carella opieprzył go potem, naturalnie w grzeczny sposób, Hawes zaś otrzymał ceną nauczkę, która brzmiała: „Nie rób sobie wrogów z techników laboratoryjnych”. Prawdę tę wziął sobie do serca. A ponieważ znów pracował z Kronigiem, zyskała ona od nowa na znaczeniu.

— Przesuń latarkę — powiedział Kronig. — W lewo.

Hawes przesunął latarkę.

— Jest tylko minus osiem stopni — powiedział Parker. — Dacie wiarę? A zimno jak przy minus trzydzieści, nie? A jest tylko osiem. Słyszałem przez radio. Cholera, ale ziąb! Co, Hawes?

— Tak — odparł Hawes.

— Nie jesteś rozmowny.

— Rozmawiam — odparł Hawes. Nie miał szczególnej ochoty tłumaczyć się Andy'emu Parkerowi. Nie znał go za dobrze, bo pracowali razem pierwszy raz, ale z kontaktów z nim na posterunku wyciągnął wniosek, że od Parkera lepiej trzymać się z daleka. Nie chciał jednak powtórzyć błędu, jaki zrobił w przypadku Kroniga. Nie chciał robić sobie wrogów tam, gdzie mógł zdobyć przyjaciół. — Tylko że mi zamarzyły zęby — dodał, licząc na to, że tym go ułagodzi.

Parker skinął głową. Był wysoki, prawie wzrostu Hawesa, i bosy mierzył metr osiemdziesiąt pięć. Ale podczas gdy Hawes

miał oczy niebieskie, a włosy, z wyjątkiem siwego pasma na lewej skroni, rude, to Andy Parker był śniadym brunetem z piwnymi oczami i ciemnym zarostem. Prawdę mówiąc, ci dwaj nie mogli się różnić od siebie bardziej, niż na to wskazywał ich wygląd. Hawes był policjantem, który wciąż jeszcze się uczył fachu. Parker policjantem, który dokładnie go znał.

— Ej, Kronig, czego tam, u licha, szukasz? — spytał Parker. — Zakopanego skarbu? Nie mamy tu nic lepszego do roboty, niż czołgać się w kółko na czworakach?

— Zamknij się — odparł Kronig. — To ja się czołgam. Ty tylko narzekasz na pogodę.

— A co, ty nie marzniesz? — spytał Parker. — Masz eskimoską krew? — Urwał. — Wiesz, że Eskimosi pożyczają żony?

— Wiem — odrzekł Kronig. — Poświeć tam, Hawes. Rusz się.

Przesunęli się parę metrów w górę drogi. Światło latarki zatańczyło po trawiastym skraju zwirowanego dojazdu.

— Wiesz, nie wiesz, ale to prawda. Kiedy Eskimos odwiedza Eskimosa, to ten pożyczka mu, jeśli tamten chce, na noc żonę. Żeby nie zmarł. — Parker pokręcił głową. — A my nazywamy siebie cywilizowanymi ludźmi! Pożyczylbyś mi na noc swoją żonę, Kronig?

— Tobie nie pożyczylbym nawet pięciu centów na kawę — odparł Kronig. — Tam, Hawes. Tam chyba coś jest.

Nagle się schylił.

— Ja nie prosiłem o pięć centów, ja pytałem o twoją żonę — powiedział Parker i uśmiechnął się szeroko w ciemności. — Żebyś ty widział jego żonę, Hawes! Jak gwiazda filmowa. No nie, Kronig?

— Odwal się — odparł Kronig. — Nie ma nic, Hawes. Przesuńmy się trochę.

— Czego szukasz? — spytał Hawes tak grzecznie, jak tylko potrafił.

Kronig przyglądał mu się przez chwilę, z ust buchały mu pióropusze, gejzery pary.

— Odcisków stóp, opon, nitek z odzieży, zapalek,

wszystkiego, co mogłoby stanowić dla nas wskazówkę.

— Cóż — rzekł grzecznie Hawes — nie chciałbym wtrącać swoich dwóch groszy. Znasz swoją robotę, a ja nie mam prawa niczego ci proponować.

— Tak? — spytał Kronig i spojrzał na niego podejrzliwie. — Zdaje się, że kiedy widzieliśmy się ostatnio, miałeś mnóstwo propozycji i mnóstwo gotowych rozwiązań. Balistykę masz w małym palcu, co? To była sprawa Annie Boone, prawda?

— Tak — odparł Hawes.

— Aha, a więc zrobiłeś się nieśmiały? Nieśmiałe chłopię z osiemdziesiątego siódmego posterunku?

— Nie mam nic do ciebie — powiedział Hawes. — Zachowałem się wtedy jak gówniarz.

— Tak? — spytał zaskoczony Kronig, wciąż patrząc na Hawesa, po czym dodał: — Co proponujesz? Nie jestem Bogiem.

— Ja też nie. Ale czy porywacz zaparkowałby samochód, zatrzymał się albo robił cokolwiek w tym miejscu, gdzie byłby widoczny? To znaczy, przy tej drodze?

— Chyba nie. A gdzie, twoim zdaniem, zaparkował?

— Tam dalej jest zakręt. Z pięćset jardów od tych kolumn. Taki mały leśny skrót. Dobrze osłonięty krzakami. Warto spróbować.

— To spróbujmy — powiedział Kronig.

— Jak gwiazda filmowa — powtórzył Parker. — Ta jego żona. Bufory sterczą jej dotąd. Takie, jak u jego żony, możesz zobaczyć tylko na srebrnym ekranie. Człowieku, nic nie przesadzam!

— Zamknij się, Parker — ostrzegł Kronig.

— Przecież ja podziwiam twoją żonę. Nie każda ma takie płuca. Człowieku, mógłbyś się w nich zagubić. Wpadłbyś w nie z nosem, z ustami, z całą głową, gdybyś...

— Zamknij się, Parker! — powtórzył Kronig. — Z tobą nie mam ochoty rozmawiać o przymiotach mojej żony, jeśli łaska.

— Coś ty? Nerwus? — spytał Parker.

— A tak, nerwus.

— Kurczę! A o Eskimosach mówi się, że są prymitywni —

powiedział Parker.

Policjanci w milczeniu poszli zwirowaną drogą. Noc była przejrzysta, kryształowa, jasna, krucha. Jak konie pociągowe człapiące wolno z wielkim ciężarem, dotarli do zakrętu, pozostawiając za sobą wilgotne smugi pary z oddechów.

— To tu? — spytał Kronig.

— Tak. Zwróciłem na niego uwagę, kiedy jechaliśmy w stronę domu — odparł Hawes.

— Nie za duży ten zakręt, jeżeli to zakręt — powiedział Kronig, kręcąc głową. — Myślę, że nie. Myślę, że w ogóle go tu nie planowano. Chyba powstał w trakcie używania drogi. Tam. Widzisz jakieś pogniecione krzaki?

— Nie — odparł Hawes. — Ale samochód mógł jednak tutaj czekać, nie sądzisz?

— Owszem, mógł. Poświeć mi.

Hawes zapalił latarkę. Ziemię oświetlił snop światła.

— Zamarznięte błoto — wycedził z obrzydzeniem Parker. — Jak we Włoszech podczas wojny. To już ponad piętnaście lat, a ja dalej tkwię po tyłek w zamarznętym błocie.

— Są jakieś ślady? — spytał Hawes.

— Jednego nienawidziłem — brnąć przez błoto — dodał Parker. — Przez cały dzień łąził człowiek w szlamie, a potem spał w nim całą noc, żeby następnego dnia wstać i znowu łązić w błocie. A zimno? Było tak zimno, że kiedy dotykałeś lufy browninga, to przymarzała ci ręka.

— Powinieneś był wstąpić do marynarki — rzekł cierpko Kronig. — Chyba coś tu mamy, Hawes.

— Co?

— Ślad po poślizgu. Ktoś wyrwał stąd w strasznym pośpiechu.

— To by się zgadzało. — Hawes ukląkł przy Kronigu. — Coś z tego będzie?

— Jest pokryty cienkim lodem. — Kronig w zadumie skinął głową tak, jakby nagle znalazł się tu sam. — Dobrze, zobaczymy, co się da z tym zrobić.

Otworzył czarną torbę, a Hawes oświetlił mu latarką jej wnętrze.

— Szelak, rozpylacz, talk, gips, woda, kubek gumowy, łyżka,

szpachla. Mogę zaczynać. Chciałbym wiedzieć tylko jedno.

— Co? — spytał Hawes.

— Czy mam spryskać lód szlakiem, czy też pokusić się o zdjęcie lodu, ryzykując, że uszkodzę odcisk opony?

— Dobre pytanie.

— Jednego nie możesz zrobić na pewno: zaczekać, aż lód się rozpuści. Zima chwyciła na dobre — rzekł Parker.

— Andy Parker, młody optymista — powiedział Kronig. — Nie przeszedłbyś się albo co?

— To właśnie chcę zrobić — odparł Parker. — Chcę wrócić do tego domu, gdzie kucharka poczęstuje mnie kawą. Ta kucharka ma bufory prawie tak duże jak twoja żona.

Mechanik z telefonów wyborował w drewnie jeszcze jedną dziurę, wręczył świder Reynoldsowi i wydmuchał z otworu trociny. Przykucnął nisko, zajrzał do dziurki jak kot czatujący na mysz i wstał.

— Dobra — powiedział. — Teraz kabel.

Ruszył przez salon, mijając Carellę, który rozmawiał przez telefon.

— Nie masz się pan co martwić — powiedział do Reynoldsa. — Dobrze się pan zastanów. Kiedy oni odkryją, że złapali przez pomyłkę pańskiego synka, to go wypuszczą, dobrze mówię?

— Ale do tej pory powinniśmy już chyba coś wiedzieć — odparł Reynolds.

— Panie, tylko bez nerwów — powiedział mechanik. — Kto się denerwuje, ten w połowie przegrał bitwę, tak czy nie?

— Co tam, do diabła, się zatkało? — powiedział Carella do słuchawki. — Połączycie mnie wreszcie z drogówką, czy nie? — Zamilkł. — To może z łaski swojej wyjmiecie sobie ołów z gaci! Tu porwano dziecko!

— Ma pan dzieci, panie Cassidy? — spytał Reynolds mechanika.

— Czwooro — odparł Cassidy. — Po parce. Miła rodzinka, co?

— Bardzo.

— Myślę, że dla zaokrąglenia warto by mieć jeszcze jedno, dobrze mówię? Pięć to okrągła liczba, mówię żonie. — Urwał.

— A ona na to, że dla niej czwórka jest wystarczająco okrągła.

— Wziął szpulę z kablem i zaczął go rozwijać na podłodze. — W tym cały sęk z dzisiejszymi kobietami. Powiedzieć panu coś?

— Co?

— W takich Chinach to kobiety rodzą dzieci na polach ryżowych, dobrze mówię? Odchodzą od soch i rodzą dzieci same, a potem wstają z ziemi i od razu wracają do orki, czy co tam się robi z tym ryżem. Tak czy nie?

— Czy ja wiem? A śmiertelność jest duża? — spytał Reynolds.

— O rany, nie wiem, jaka jest śmiertelność — odparł Cassidy, pomyślał, a potem rzekł: — Ale wiem na pewno, że bardzo mało umiera. — Znow zamilkł. — Dobrze mówię?

— Gdyby go wypuścili, to czy ktoś by go już do tej pory nie spostrzegł?

— Panie, przecież powiedziałem, żebyś się pan nie martwił. Więc nie martw się pan. Dzieciakowi już nic nie grozi, słyszy pan? To przecież nie ten chłopak, na miły Bóg. Więc co mu mogą zrobić, zabić?!

— No, najwyższy czas — powiedział Carella do słuchawki. — Co tam się wyrabia, rżnicie w tysiąca? — Słuchał przez chwilę, a potem powiedział: — Tu Carella z osiemdziesiątego siódmego. Jestem w Smoke Rise w związku z tym porwaniem. Pomyśleliśmy... Jak to, jakim porwaniem!!! Z kim ja rozmawiam, z drogówką czy z drogerią?! Przecież trąbią o tym przez radio w całym mieście!

— Jeżeli wypuszczą go na ulicę, to nie będzie wiedział, dokąd pójść — rzekł Reynolds. — Nie należy do dzieci, które łatwo orientują się w mieście.

— Panie, każdy dzieciak znajdzie drogę, dobrze mówię?

— W każdym razie pomyśleliśmy, że trzeba sprawdzić skradzione samochody, na wypadek, gdyby samochód użyty przy porwaniu był... — Carella urwał. — Co? Słuchaj pan! Jak pańskie nazwisko?... Dobra, detektywie Planier, znam już wszystkie kawały o porwaniach i wątpię, żeby były śmieszne w tej sytuacji. Co pan robi, kiedy natrafia pan na trupa w sosnowej trumnie, opowiada pan dowcipy o pudełkach? Porwano ośmioletniego chłopca, dlatego potrzebujemy wykazu skradzionych samochodów, więc nam go tu dostarczcie. Co?...

Nie, tylko z ostatniego tygodnia, dziesięciu dni. Dziękuję, Planier... Słucham? I nawzajem, też może się pan pocałować... Adres to dom Douglasa Kinga, w Smoke Rise. Przy Smoke Rise Road. Do widzenia, detektywie Planier. — Carella odłożył słuchawkę. — Mądrale — powiedział do Cassidy'ego. — Przerwałem im grę w tysiąca.

— Wiadomo coś nowego, panie Carella? — spytał Reynolds.

— Rozmawiałem tylko z drogówką — odparł Carella.

— Ach tak.

— Bardzo się martwi — wyjaśnił Cassidy. — Powtarzam mu, że nie ma o co. Na dobrą sprawę nawet zakładanie tego dodatkowego telefonu to strata czasu. Ten dzieciak wróci tu piorunem, dobrze mówię?

— Tak pan myśli? — spytał Reynolds Carellę.

— Wie pan... — zaczął Carella, lecz w tej chwili zadzwoniono do drzwi. Wstał od stolika z telefonem i poszedł je otworzyć.

Do salonu wszedł Parker, zabijając rękami dla rozgrzewki.

— HUUUU! — powiedział. — Biegun północny!

— Na dworze zimno?

— HUUUU! — powtórzył Parker. — A jak tutaj? Przyjemnie i ciepło, Steve? Spróbowałbyś być na dworze z tym kopniętym naukowcem.

— Co robi Kronig?

— Próbuje zrobić odlew śladu opony. A potem pewnie zdejmie odciski palców z całego dojazdu. Na widok tych z laboratorium aż mnie ściska w pupie. Cholerni zwariowani naukowcy. Dzieciak pewnie już i tak nie żyje.

Carella dał Parkerowi mocną sójkę w bok.

— Co jest? — spytał Parker.

Carella spojrział prędko na Reynoldsa, ale ten z pewnością nie dosłyszał uwagi Parkera.

— Kapitana nie widać? — spytał.

— Nie, nie widziałem go. Pewnie siedzi w domu, zwinięty w kłębek przy żonie — odparł Parker, patrząc na Cassidy'ego, który ciągnął przez salon długie kolorowe kable. — Co on najlepszego robi?

— Zakłada bezpośrednie połączenie z centralą telefoniczną.

— A to co? — spytał Parker wskazując na przyrząd obok telefonu.

— Doskonale wiesz, co to jest. Podśluch.

— Pic na wodę! — powiedział Parker. — Podśluch, bezpośrednie połączenie, pic na wodę! W życiu nie widziałem takiego zamieszania. Nie zdziwiłbym się, gdyby się tu zjawił sam szef detektywów policyjnych.

— Przypuszczam, że kapitan do niego zadzwoni — odparł Carella.

— A pewnie, ale po co? Ten z laboratorium czołga się tam na czworakach obwąchując odciski opon, a cała policja sprawdza pokoje umeblowane, hotele, motele i każdy zapchlony przytułek w mieście i na przedmieściach. Mamy detektywów na obu lotniskach, na wszystkich dworcach kolejowych, autobusowych i na przystankach trolejbusów. Pytam się ciebie, po co? Ci partacze złodzieje mają tylko dwa wyjścia.

— Naprawdę, Andy?

— A tak! Albo wypuścić chłopaka, albo go zabić na złość.

— Powinni wziąć tych wszystkich porywaczy i spalić ich na stosie — oświadczył Cassidy. — Człowiek tyra jak głupi, żeby zarobić na utrzymanie famułki, a jakiś lachmyta przychodzi i porywa mu dzieciaka.

— Pan... pan nie myśli, że oni... zrobią Jeffowi krzywdę, prawda, panie Carella? — spytał Reynolds. — Kiedy odkryją, że to nie ten, którego chcieli porwać?

— W dzisiejszych czasach nikt nie jest bezpieczny, nikt — powiedział Cassidy. — To dlatego, że gliniarze to banda...

Ugryzł się w język, najwyraźniej uświadamiając sobie, że znajduje się pośród policjantów. Jakby nigdy nic odchrząknął.

— Trzeba będzie sprawdzić ten telefon, hmm? — mruknął. Podniósł słuchawkę nowo zainstalowanego aparatu. Kilka razy niecierpliwie nacisnął widełki. — Halo? Halo?

— Idę do kuchni na kawę — oznajmił Parker. — Napiłbyś się kawy, Steve?

— Nie, dziękuję.

— Podśluchy, bezpośrednie połączenia — powtórzył z niechęcią Parker i wyszedł z salonu.

— Halo, mówi Cassidy... — powiedział Cassidy do słuchawki.
— Co?... Zostaw te dowcipy z Hopalongiem¹. Sprawdzam tę instalację w Smoke Rise. — Przez chwilę słuchał. — Tak... Dobra. Świetnie. W takim razie skończyłem. Co masz dla mnie jeszcze? — Zapisał pośpiesznie adres na bloczku. — Dobrze. Do widzenia. — Odłożył słuchawkę. — No, to wszystko.

— Skończył pan?

— Wystarczy podnieść słuchawkę i macie naszą centralę. Chcecie wyśledzić, skąd dzwoni, tak?

— Jeżeli w ogóle jeszcze się odezwie.

— Coś panu zdradzę, panie władzo. Ale niech pan tego nie rozgłasza. Jeżeli on zadzwoni z automatu, to za Boga nie dojdziecie, skąd telefonuje. Wie pan o tym?

— Wiem — odparł Carella.

— Aaa, wie pan. No to módlcie się, żeby użył łącznicy ręcznej. Głupia nazwa, nie? — Cassidy zaśmiał się, wyjął z kieszeni jakieś dokumenty i spojrział na zegarek. — Czy ci troje będą przez cały wieczór wtrajali kolację? Ktoś musi mi podpisać tę robotę.

— Niedługo powinni skończyć — odparł Carella.

— Nie ma drugiej takiej firmy, jeśli się rozchodzi o podpisy — powiedział Cassidy. — Chcesz, człowieku, iść do kibla, to musisz wpierw znaleźć kogoś, kto ci to podpisze, dobrze mówię? — Potrząsnął głową. — Jak Boga kocham, któregoś dnia ci z telefonów wypowiedzą wojnę Stanom Zjednoczonym.

— Nie było żadnych wieści, panie Carella? — spytał King, przechodząc przez łukowe drzwi do jadalni i z filiżanką kawy w ręku wszedł do salonu.

Tuż za nim weszli Diana i Cameron.

— Jeszcze nie, panie King — odparł Carella.

— Panie King, mógłby pan podpi... — zaczął Cassidy.

— No, a skąd to opóźnienie? — spytał King. — Pańscy ludzie na pewno go szukają? Mają rysopis chłopca?

— Tak, proszę pana, mają rysopis.

¹ Hopalong Cassidy — bohater licznych powieści westernowych Clarence'a E. Mulforda. Przydomek Hopalong można tłumaczyć jako „łazik”, „wiercipięta”, „pędziwiatr (przyp. tłum.).

— Podpisz mi pan to...

— Czy wiedzą, że będzie się błąkał po ulicach? Chyba nie oczekują, że porywacze odstawią go pod nasz...

— Tak, proszę pana, wiedzą o tym.

— Czy podpisze mi pan ten druczek, który...

— No, to dlaczego nikt go nie widział? Czy w komendzie jacyś ludzie przyjmują telefony od ludności? Bardzo możliwe, że jakiś obywatel...

— Zadbaliśmy o to, proszę pana.

— Panie King, zechce pan z łaski swojej podpisać mi, że założyłem instalację?

King obrócił się do Cassidy'ego w taki sposób, jakby właśnie odkrył w swoim salonie Marsjanina.

— Jaką instalację?! — spytał.

— Bezpośrednie połączenie — odparł Cassidy. — Z centralą.

— Co za bezpośrednie połączenie?

— Mówiłem panu o nim, zanim je założyliśmy, panie King — przypomniał Carella.

— Aha. A, tak. To o to chodzi.

— Najpierw muszę pana zapytać o parę rzeczy, panie King — powiedział Cassidy.

— Jakich?

— Czy to jedyny telefon w tym domu? Mówię o tym, który pan miał, zanim zainstalowałem linię bezpośrednią.

— Nie. Mamy dwa numery. Ten i mój osobisty telefon na górze.

— Mógłby pan mi je podać?

— Smoke Rise 8-72-14 i 72-15 — odparł King.

— I to wszystko, tak?

— Mam jeszcze telefon w samochodzie. Jego numer też panu podać? — spytał King.

— Nie. Tylko domowe. Telefon w samochodzie to oddzielna sprawa. Po prostu musimy rejestrować połączenia z zewnątrz, tak żeby nam się nie pieprzyły z... zresztą, nieważne. Zechce pan podpisać ten świstek?

Cassidy podał Kingowi formularz.

— Mnie wydaje się to stratą czasu — powiedział King

składając podpis. — Jak tylko wypuszczą chłopca...

— Zabezpieczamy się na wszelkie sposoby, panie King — powiedział Carella.

— Czy to dlatego przed sypialnią mojego syna stoi policjant?

— Tak. Widzi pan, nie wiemy, jak postąpią teraz porywacze.

— Wydaje mi się, że nie mają wielkiego wyboru.

King zwrócił podpisany formularz Cassidy'emu.

— Dziękuję — powiedział Cassidy. — Nie martw się pan, panie Reynolds. Za parę godzin będziesz pan go miał z powrotem. No, to na razie.

Podszedł do drzwi, skinął ręką, otworzył je, wyszedł na mróz i szybko zamknął je za sobą.

— Posił się, Reynolds — powiedział King. — Inga czeka na ciebie w kuchni z kolacją.

— Jakoś nie mam apetytu, panie King.

— Człowieku, ależ ty musisz jeść! Idź. Jeffry wróci, zanim się spostrzeżesz.

— Dobrze, proszę pana, dziękuję — odparł Reynolds i ruszył do wyjścia.

— Może pan tu przysłać detektywa Parkera, panie Reynolds? — poprosił Carella. — Powinien być w kuchni.

— Tak — odrzekł Reynolds.

Diana King zaczekała, aż szofer wyjdzie.

— Panie Carella — powiedziała — porywacze na pewno już wiedzą o pomyłce, prawda?

— Powinni, pani King. Poinformowały o tym wszystkie stacje radiowe i telewizyjne, a wszystkie popołudniówki wydały dodatki.

— W takim razie marnujemy czas, prawda?

— No...

— Prawda?

— Wolę nie prorokować, co zrobią porywacze — odparł Carella. — To tak, jak prorokować, co zrobią mordercy.

— Ale... chyba go nie skrzywdzą?

— Ależ skąd! — wtrącił King. — Dla nich jest to przecież interes, który nie wypalił, nic ponadto.

— Mogą go skrzywdzić, pani King — odparł chłodno Carella.

— Z tego samego powodu bandzior może zabić swoją ofiarę, jeśli przekona się, że ta nie ma przy sobie pieniędzy.

— Ale to nie miałyby najmniejszego sensu — zaprotestował King. — Jestem pewien, że wypuszczą go, jak tylko usłyszą wiadomość.

— Tak, to oczywiście jest możliwe — powiedział Carella.

— Ale ta druga ewentualność również, czy tak? — spytała Diana. — Że zanim go wypuszczą, zrobią mu krzywdę?

— Tak — przyznał Carella.

— To głupie rozwiązanie. A ja nie wierzę, żeby ci ludzie byli głupi.

— Porywacze nie muszą być mądrzy, panie King. Jedyne bezwzględni.

— O tym nie pomyśleliśmy, Doug. Że przed uwolnieniem mogą go skrzywdzić — powiedział Cameron. — Taka możliwość na pewno istnieje.

— Owszem — przyznał Carella. — Ale jest jeszcze trzecia.

— Nazywam się Jeffry Reynolds — powtórzył chłopiec.

— Kłamiesz — powiedział Sy chwytając go za sweter na piersi.

— Nie kłamię. Nazywam się Jeff Reynolds. Ej, niech pan puści sweter! Nie jest mój. Mam go...

— Jesteś małym zasranym kłamczuchem! — powiedział Sy i odepchnął chłopca.

Jeff przeleciał tyłem przez całe pomieszczenie i upadł.

— Sy! — krzyknęła Kathy i zrobiła krok w stronę chłopca.

— Nie ruszaj go — ostrzegł Sy, zastępując jej drogę.

— Ja... ja nie kłamię — powiedział Jeff. — Po co miałbym kłamać?

Troszkę się już wystraszył. Nie spuszczał Sya z oczu, nie chcąc, żeby znów go popchnął, ale nie wiedział, jak temu zapobiec. Mówienie prawdy wyglądało na złą taktykę. Nie wiedział jednak, jakie kłamstwo chce usłyszeć ten człowiek.

— Jak ma na imię twój ojciec? — spytał Sy.

— Ch-charles.

— A twoja matka?

— Mama nie żyje.
— Gdzie mieszkasz?
— W posiadłości pana Kinga.
— Nie nazywaj go panem Kingiem! — krzyknął Sy. — To przecież twój ojciec.
— Mój ojciec? Nie. Nie, to ojciec Bobby’ego.
Sy ponownie chwycił go za sweter.
— Ty mały sukinsynu, ze mną nie cwaniakuj!
— Ale ja mówię...
— Cicho! Wiem, że ty jesteś Bobby King, i nie muszę...
A to co?
— Co? — spytał Jeff, naprawdę przestraszony. — Co?
Co?
— Na swetrze. Tu. Zdejmij go.
Sy brutalnie ściągnął chłopcu sweter przez głowę i obrócił go w rękach. Na jego twarz wpełzł uśmiech.
— A więc jesteś Jeff jakiś tam, co?
— Tak.
— Pewnie. A na naszym miejscu stoi jak byk „Bobby King”! Ty kłamliwy mały...
— To sweter Bobby’ego! — krzyknął Jeff. — Pożyczyła mi go pani King.
— Gadaj prawdę!
— Ja mówię prawdę.
— Co robi twój ojciec?
— Jest szoferem.
— Co robiłeś w lesie?
— Bawiłem się z Bobbym.
— I na imię masz Jeff, co?
— Tak. Tak!
— To dlaczego nie wspomniałeś o tym przedtem? Dlaczego czekałeś na komunikat policji?
— Ja nie wiedziałem. Myślałem... Pan powiedział, że ma dla mnie strzelbę.
Sy skinął głową. Stał podparty pod boki — niski, dobrze ubrany mężczyzna z kilkudniowym zarostem — chłodno patrzył na chłopca i bez przerwy kiwał głową. Raptem zamachnął się ze

złością i wymierzył mu policzek.

— Łziesz jak najęty! — wrzasnął.

— Eddie, powstrzymaj go! — krzyknęła Kathy.

Sy przyskoczył do chłopca.

— Zaden szczył nie będzie mi mydlił oczu! — wrzasnął.

Jeff rzucił się w ramiona Kathy i w końcu się rozplakał, rozplakał się ze strachu i bezradności.

— Jestem Jeff Reynolds! — powtórzył łkając. — Jestem, jestem...

— Cicho! Jeszcze jedno słowo, a nie będziesz nikim! — zagroził mu Sy.

— Przestań, Sy — powiedział Eddie. — On się zląkł.

— A co mnie, cholera, obchodzi, że się zląkł? Myślisz, że pozwolę mu robić ze mnie balona...

— Powiedziałem: przestań.

Sy zmierzył współnika groźnym spojrzeniem, ale opanował się.

— Pokaż mi ten sweter, Sy.

Sy rzucił Eddiemu sweter. Eddie obejrzał naszywkę.

— Rzeczywiście jest tu napis „Bobby King”, Kathy — powiedział.

— Ale chłopiec twierdzi, że go pożyczył. Tak trudno przyjąć takie wyjaśnienie?

— A tak — odparł Sy. — Kiedy w grę wchodzi pół miliona, to, owszem, cholernie trudno.

— Odwieźcie chłopca z powrotem — powiedziała cicho Kathy.

— Zaraz! Zaraz, do jasnej cholery! Nie po to...

— To nie ten chłopiec, Eddie — dodała żałośnie Kathy. — Po co się narażać? Co na tym zyskacie?

— Posłuchaj, Eddie, tworzymy spółkę, tak? Pół na pół, tak? — spytał Sy. — No więc, spokojnie. Nie możemy wypuścić małego.

— Zamilkł, spoglądając na Kathy i na jej męża. — On przecież nas zna, jak pragnę Boga! Może zaprowadzić gliny prosto do nas!

— A kto mówi o jego uwolnieniu? — odparł Eddie.

— Nikt nie mówi, ale wybijcie to sobie z głowy — powiedział prędko Sy. — To przecież łatwiutka sprawa. Nie psujmy jej

dlatego, że jedna pani histeryzuje.

— Ja chcę tylko wyrobić sobie zdanie — rzekł Eddie.

— W porządku, nic w tym złego — powiedział Sy. — Ale wyrobić zdanie prawidłowe! Nasz plan jest dla dwóch.

— Wiem. Wiem.

— Dobra. A ten szczeniak jest dla nas wart pół miliona, pamiętaj o tym!

— Na razie kosztował nas tylko trochę czasu — powiedziała Kathy. — A ile jest wart dla rodziców?! Ile jest...

— Co do czasu masz rację, mała. Wiesz, ile byśmy zarobili za porwanie? Zakładając, że daliby nam krzesła? To nie to samo, co obrobienie kasy w sklepie!

— Tak — przyznał Eddie. — Kathy, on ma rację. Musimy zatrzymać chłopca. A przynajmniej aż do...

— Nie musimy! Możemy go natychmiast wypuścić!

— Pewnie! I trafić prosto do mamra! — zawołał Sy i obrócił się do Eddiego. — Twój udział w tej imprezie wynosi dwieście pięćdziesiąt tysięcy dolców, Eddie — powiedział kuszącym tonem. — Czy wiesz, ile to forsy?

— A komu ona potrzebna?! — krzyknęła Kathy. — Nam nie!

— Jasne, ona ich nie potrzebuje, pani Rockefellerowa. Chodzi w swetrze z wytartymi łokciami. Ona ich nie potrzebuje!

— Nie potrzebuje!

— Ale ja tak — powiedział cicho Eddie. — To kupa pieniędzy. Dlaczego mam z nich zrezygnować? — Podniósł głos. — Mam przez resztę życia wegetować jak byle śmieć? Dlaczego mam nie zgarnąć takiej forsy?! Chcę jej! Chcę tych pieniędzy.

— Więc nie daj jej się przekabacić — rzekł szybko Sy.

— Co, do diabła, czy ja urodziłem się w posiadłości Smoke Rise, jak ten mały?! A co miałem zamiast tego? Ulicę Dziewiętnastą Południową i Aleję Davida, Kathy. Starego, co grał na loterii, i starą, która chlała!

— Nie możesz winić tego chłopca za...

— Ja nikogo nie winię. Mówię tylko, że nie miałem nic i wciąż nic nie mam, nawet z tych wszystkich nędznych parszywych rabunków. Czy nigdy nie będę miał nic? Nigdy? Długo mam

jeszcze czekać na szczęśliwą okazję?

— To jest twoja okazja, Eddie. Wypuść tego chłopca. A potem będziemy...

— Co się z nami stanie? Pojedziemy do Meksyku? Z czym? Z nadzieją? Z miłością? I co tam będziemy robić po przyjeździe? To samo, co robię tutaj?

— Ćwierć miliona dolarów, chłopie — powiedział Sy. — Za to możesz kupić sprzęt radiowy, jaki tylko zechcesz, całe wykształcenie. Człowieku, możesz za to mieć całą rozgłośnię radiową!

— Nie. Wystarczy... wystarczy mi dom, może przy plaży, dla mnie i Kathy, w którym... w którym mógłbym osiąść... kapujesz... ocean, może mała łódź, czy ja wiem. — Eddie obrócił się do żony i wówczas dojrzała w jego oczach coś, czego jeszcze nie widziała. Patrzył tak, jakby się miał rozplakać. — Ale własny, Kathy! Mój własny! Dom, który należałby do mnie!

— I cadillac, chłopie, ze statecznikami, co sterczą do góry jak pletwy rekinów! Modne ciuchy, norki dla oblubienicy, co ty na to? Jasne norki! I kilometrowy sznur pereł!

— Jeśli tylko...

— Wszystko, Eddie! Czego tylko zapragniesz, chłopcze! Świat u twoich stóp! Ćwierć miliona dolców!

— Nie wolno nam z tego zrezygnować, Kathy. Nie wolno!

— Nareszcie gadasz do rzeczy — pochwalił go Sy.

— Ale... ale to przecież nie ten chłopiec! — powiedziała Kathy.

— Nie. Nie — odparł Eddie. — To on... on.

— Eddie, przecież wiesz, że nie on. Dlaczego...

— Kiedy człowiek przestanie się nad tym zastanawiać, to właściwie jaka to różnica? — spytał cicho Sy.

W kuchni nagle zrobiło się cicho.

— Co mówisz? — spytał Eddie.

— Jaka różnica, czy mamy tego, czy nie tego chłopca.

— Nie bardzo rozumiem.

— To proste. Chcieliśmy porwać małego Kinga, tak? W porządku, spróbowaliśmy. Możliwe, że się rąbnęliśmy. Ale co to zmienia? Chcemy przecież pięćset patoli. A czy jakiś marny szofer ma tyle pieniędzy?

— Nie, oczywiście, że on...

— No właśnie, a kto je ma? — Sy zaczął na odpowiedź, a potem sam jej udzielił. — Kto, jak nie King. Dobra. Dzwonimy jeszcze raz do Kinga, mówimy, że nie obchodzi nas, czy to jego dzieciak, czy szofera, czy nawet jego ogrodnika. Chcemy forsy!

— Zażądamy jej od Kinga?!

— A od kogo? Od tego szofera?

Eddie pokręcił głową.

— On nie zapłaci, Sy.

— Zapłaci, na pewno.

— Nie — powiedział Eddie, wciąż kręcąc głową. — Nie zapłaci. Może Kathy ma rację. Może powinniśmy...

— Bo jak nie zapłaci — przerwał mu Sy — to ten chłopczyk będzie miał grube nieprzyjemności. — Zamilkł i uśmiechnął się do Jeffa. — A wątpię, żeby pan King chciał go mieć na sumieniu.

Rozdział siódmy

Kiedy kapitan Peter Byrnes wychodził z biura detektywów 87 posterunku, telefony dzwoniły, jakby mieściła się tam nielegalna kolektura końskiego totka, przyjmująca zakłady przed Derby Kentucky. Dotarł do końca korytarza i zszedł schodami do dyżurki. Skinął głową sierżantowi Dave'owi Murchisonowi, który siedział przy wysokim biurku, i wyszedł na ulicę, gdzie czekał na niego wóz patrolowy z kierowcą. Było piekielnie zimno. Byrnes owinął szalikiem szyję i mocniej wcisnął na głowę filcowy kapelusz, jak gdyby to mogło go osłonić przed mroźnymi podmuchami wiatru, które pędziły przez Grover Park, smagając ponurą kamienną fasadę posterunku.

Posterunkowy wysiadł z wozu, podbiegł do krawężnika i otworzył przed Byrnesem drzwiczki. Byrnes podziękował mu skinieniem głowy, wsunął się na siedzenie i wbił ręce w kieszenie płaszcza. Funkcjonalnością przypominał turystyczne żelazko: był twardy jak stal, pod naciskiem każdej sytuacji reagował wyjątkowo gorąco i dostosowywał się do mnóstwa różnych prądów, przebiegających przez posterunek, którym dowodził.

— Dokąd, panie kapitanie? — spytał posterunkowy siadając za kierownicą.

— Do Smoke Rise. Na miejsce porwania — odparł Byrnes.

Porwanie — już samo to słowo jątrzyło go. Miał przecież dorosłego syna, znał więc przykrości i niepokoje związane z wychowywaniem dziecka i nie zgadzał się z tym fragmentem kodeksu karnego, który brzmiał: „Z tym zastrzeżeniem, że sędziowie przysięgli, uznawszy za winną osobę, która w innym przypadku otrzymałaby wyrok śmierci, zamiast jego wykonania, mogą zalecić jej uwięzienie”. Nie zgadzał się też z dalszymi sformułowaniami z paragrafu 1250: „A ponadto z zastrzeżeniem, że pomimo wymienionych wyżej postanowień tego paragrafu w sprawie kary śmierci, jeśli osoba porwana

zostanie uwolniona i zwrócona żywa przed rozpoczęciem rozprawy sądowej, kary tej nie można orzec ani wykonać...”

Albo kara śmierci była, albo jej nie było, do jasnej cholery! Porywacz był najnikczemniejszym z ludzkich bydłał, podniejszym nawet od handlarza narkotyków, a Byrnes miał szczególny powód nienawidzić handlarzy narkotyków, wszystkich bez wyjątku. Bo jeżeli coś mogło zapobiec zbrodni porwania cudzego dziecka, to takim czynnikiem odstrasającym była kara śmierci. Porwanie z samej swej istoty było przestępstwem z premedytacją. Do czynu tego dochodziło przeciw jego staranne zaplanowanie, do żądań wobec rodziców — precyzyjne granie na ich uczuciach, powolna tortura niepewności. Byrnes wolałby już, żeby to raczej mordercom, niż porywaczom, udawało się wykpić wyrokami więzienia. Bo jeżeli zabójstwo pierwszego stopnia dzieliła od zabójstwa umyślnego cieniutka granica premedytacji, to w przypadku porwania bardzo rzadko zdarzało się, żeby tej z gruntu nikczemnej zbrodni nie poprzedzało bardzo dokładne, szczegółowe jej zaplanowanie.

— Mam się zatrzymać gdzieś po drodze, panie kapitanie? — spytał policjant.

— A co tam jest przed nami?

— Coś się świeci, panie kapitanie.

— Zatrzymaj się tam.

— Tak jest.

Policjant zwolnił i zatrzymał wóz. Byrnes wysiadł i podszedł do przykucniętych nisko Hawesa i Kroniga.

— Cotton. Kronig. Jak się macie? — przywitał się.

— Dobrze, kapitanie — odparł Hawes.

— Robimy odlew — wyjaśnił Kronig. — Chyba będzie dobry.

— To świetnie. Ci dranie dzwonili drugi raz?

— Nic o tym nie wiem, Pete — odrzekł Hawes. — Jestem na dworze od dłuższego czasu.

— A gdzie reszta naszych?

— Carella i Parker są w domu. Meyer chyba wyskoczył na kolację.

— Dobra — powiedział Byrnes. — Zadzwoń do szefa

detektywów, ale może go nie być w biurze.

— Może go nie być? — spytał zaskoczony Kronig.

— Tkwi po uszy w tej aferze podatkowej, która wyszła na jaw wczoraj. Długo czekał, żeby wsadzić tego łobuza za kratki.

— A jednak porwanie... — zaczął mówić Kronig.

— Sęk w tym, że jedne przestępstwa nie liczą się przeważnie z drugimi. Żadne nie ma pierwszeństwa. W każdym razie, gdyby pojawił się szef, to będą... — Byrnes urwał.

Droga zbliżała się jakaś postać. Policjanci widzieli na tle nieba jej niezgrabny kształt. Byrnes wsunął rękę pod połę płaszcza. Zimą prawie wszyscy detektywi z 87 posterunku — z wyjątkiem garstki mańkutów i upartych — nosili pistolety w olstrach przypiętych do pasa u lewego boku. Dzięki temu nie tracili czasu na rozpięcie płaszcza, więc chociaż sięganie po broń na krzyż trwało dłużej, to jednak bardzo rzadko przydarzały się sytuacje jak z Dzikiego Zachodu, wymagające reakcji w ułamku sekundy. Z drugiej strony, zanim policjant rozpiąłby płaszcz na tyle, by chwycić pistolet, już by nie żył. Postać zbliżyła się, a Byrnes mocniej ścisnął kolbę swojej pistoletu kalibru 0,38.

— Czy to szef? — zawołano z ciemności.

Byrnes rozpoznał głos Parkera. Rozluźnił dłoni.

— Tak, o co chodzi? — spytał.

— O nic. Jakiś czas temu Carella pytał, czy pan przyjechał. Jak tam na posterunku? Zdaje się, że urwanie głowy.

— Rzeczywiście urwanie głowy.

Byrnes ponownie skupił uwagę na Kronigu, a potem przesunął wzrokiem po ziemi i zatrzymał go na dwóch dużych kamieniach, leżących na skraju zakrętu. Podszedł do nich i zawołał:

— Mógłbyś mi na chwilę poświecić, Cotton?

— Co tam jest, kapitanie?

— Jeżeli się nie mylę...

Światło latarki przesunęło się i oświetliło kamienie.

W salonie zadzwonił telefon.

— Ja odbiorę — powiedział King ruszając w stronę aparatu.

— Chwileczkę! — zawołał Carella. Wziął słuchawkę połączoną z aparatem podsłuchowym i obrócił się do Camerona. — Panie Cameron, proszę porozumieć się przez telefon połączony z centralą. Jeżeli to porywacz, niech pan im powie, żeby natychmiast zaczęli szukać, skąd dzwoni. Dobrze, panie King, niech pan odbierze.

King podniósł słuchawkę.

— Halo?

— King?

Carella skinął głową Cameronowi, który natychmiast podniósł słuchawkę aparatu połączonego bezpośrednio z centralą telefoniczną.

— King przy telefonie — powiedział King.

— Halo? — odezwał się Cameron do słuchawki. — Dzwoni porywacz. Zaczynajcie.

— Dobra, King, słuchaj. Nie obchodzi nas, czyj to dzieciak, zrozumiałeś? Słyszeliśmy przez radio, ale to nas nie obchodzi. Chłopak żyje i nic mu nie jest, a my nadal chcemy dostać forszę. Załatwisz ją na jutro rano, bo jak nie, to dzieciak nie doczeka wieczora.

— Chcecie... — zaczął King, ale połączenie przerwano z ostrym szczękiem.

Carella zdarł z głowy słuchawki.

— Nic z tego, rozłączył się. Cholera, tego właśnie się obawiałem — powiedział, podszedł do telefonu i zaczął wykręcać numer.

— Co się stało? — spytał Cameron, odkładając słuchawkę.

Zdezorientowana Diana spojrzała na męża.

— Czy... czy Jeffowi nic nie jest?

— Nie. Nie, czuje się dobrze — odparł King.

— Cześć, Dave, tu Steve — powiedział Carella. — Możesz dać mi zaraz kapitana?

— Jesteś pewien, że nic? — spytała Diana wpatrując się w męża.

— Tak, do diabła, nic mu nie jest!

— Powiem Reynoldsowi — odparła i ruszyła do kuchni.

— Diano!

— Tak?

— Oni... oni chcą, żebym ja zapłacił okup. Wiedzą, że porwali Jeffa, ale mimo to żądają pieniędzy ode mnie. Chcą, żebym to ja...

— Zrobimy wszystko, czego zażądatają — powiedziała Diana. — Dzięki Bogu, że Jeffowi nic się nie stało.

Wyszła z salonu. King patrzył za nią ze zmarszczonym czołem.

— Co? — powiedział Carella do słuchawki. — A jak dawno temu wyjechał? Rozumiem. A więc powinien już tutaj być. Sprawdź na zewnątrz. Jak wam tam leci? Można się zabić? Dobrze, dziękuję, Dave. — Odłożył słuchawkę. — Wychodzę z domu, postaram się znaleźć kapitana. Jeżeli zadzwoni telefon, proszę nie odbierać — powiedział i wziął płaszcz z szafy w przedpokoju. — Niedługo powinien wrócić detektyw Meyer. Proszę się zastosować do jego poleceń.

— Jeśli chodzi o to nowe żądanie, to myślę... — zaczął King.

— Najpierw chcę porozmawiać z kapitanem — przerwał mu Carella i szybko wyszedł z domu.

— Ten facet wiedział, że staramy się wysledzić, skąd dzwoni — powiedział Cameron. — Dlatego tak szybko się rozłączył.

— Owszem — przyznał King. Twarzy już nie marszczył, ale miał lekko oszołomioną minę. — Owszem.

— A to znaczy, że mamy do czynienia z zawodowcami. Ale dlaczego zawodowcy poszli na taki numer, żeby zażądać okupu od ciebie?

— Ja... nie wiem.

— Cholera, jeżeli im zapłacisz... to nici z twojej bostońskiej transakcji, prawda?

— Tak. Owszem.

Zadzwoniono do drzwi wejściowych. King ruszył w ich kierunku, ale otworzyły się, zanim do nich dotarł.

— Cześć, panie King — powiedział Meyer. — O rany, ale chwycił mróz.

Zdjął kapelusz, płaszcz i powiesił je w szafie.

— Detektyw Carella wyszedł odszukać kapitana — poinformował King. — Powiedział...

— Wiem. Spotkałem go po drodze. Skąd to poruszenie?

— Właśnie dzwonili drugi raz porywacze — odparł King.

— Tak?

— Chcą, żebym zapłacił okup.

— Jak to? Wiedzą, że porwali nie tego chłopca?

— Tak.

— I mimo to...?

— Tak.

— O takim numerze jeszcze nie słyszałem — powiedział Meyer kręcąc głową. — To przechodzi ludzkie pojęcie. Oznacza, że każdy łajdak może porwać dowolne dziecko, a potem zażądać okupu od najbogatszego gościa, jaki mu przyjdzie na myśl. — Znów pokręcił głową. — Czyste wariactwo. Ale kto powiedział, że porywacze muszą być normalni. — Jeszcze raz pokręcił głową. — Me- szuge! Czyste meszuge!

— Jakie są szanse na jego odzyskanie, panie Meyer?

— Trudno powiedzieć, panie King. Porwania nie zdarzają się codziennie. Chcę przez to powiedzieć, że raczej trudno jest podać konkretne liczby. Zapewniam pana jednak, że nasz wydział dwoi się i troi. Nawet policjanci z Sands Spit i policja z sąsiednich stanów dyżurują na okrągło.

— A co z FBI? — spytał Cameron.

— Oni przejmują takie sprawy po upływie tygodnia — odparł Meyer. — Carella na pewno to panu wyjaśnił, panie King.

— Tak.

— Ale są w pogotowiu.

— Pańskim zdaniem szanse chłopca są dobre?

— Nie wiem. Być może już nie żyje.

— Tego nie wolno nam zakładać — wtrącił szybko Cameron.

— Gdybyśmy założyli, że chłopiec nie żyje, nie miałoby sensu płacić okupu.

— Panie Cameron, oni mogli go zabić w pięć minut po porwaniu — odrzekł Meyer. — To już się zdarzało. Proszę tylko pomyśleć. Z punktu widzenia tych kryminalistów najbezpieczniejsza ofiara to martwa ofiara. Możemy przekazać

okup, a potem odnaleźć chłopca w jakimś rowie.

— Sądzi pan, że zapłacenie okupu pomogłoby temu chłopcu?

— spytał wolno King.

— Jeżeli żyje, to na pewno. Jeżeli nie, to nic mu nie pomoże. Ale banknoty z okupu mogą w końcu pomóc w schwyтaniu porywaczy.

— Rozumiem.

Z kuchni weszła do salonu Diana.

— Doug... — zaczęła mówić, lecz w tej chwili rozległ się dzwonek. — Ja otworzę — powiedziała, kierując się do drzwi.

— Doug, ten chłopiec nadal żyje — rzekł tonem perswazji Cameron. — Więc twoje pieniądze ocalą mu życie, pamiętaj!

Diana zamknęła drzwi i powróciła do salonu.

— Telegram, Doug — oznajmiła. — Zaadresowany do nas.

— Proszę mi go dać, zanim ktoś jeszcze go dotknie — powiedział Meyer. Rozłożył na dłoni chusteczkę i wziął od niej telegram. — Ma pan nóż do papieru, panie King?

— Tak. Leży na skrzydle biurka.

Meyer podszedł do biurka. Przytrzymując telegram przez chusteczkę, rozciął kopertę, usunął chustkę, okręcił nią dłoń i ze zręcznością chirurga sięgnął do koperty po depeszę. Wciąż korzystając z pomocy chustki rozłożył telegram, przeczytał go i schował chustkę do kieszeni.

— W porządku, panie King. Może pan go wziąć — powiedział.

Wręczył telegram Kingowi. Diana podeszła do męża i razem odczytali depeszę. Brzmiała:

PROSZĘ PRZYJAĆ WYRAZY NAJGŁĘBSZEGO
WSPÓŁCZUCIA Z POWODU WASZEGO NIESZCZĘŚCIA
JEŻELI PORYWACZE ZGODZĄ SIĘ NATYCHMIAST
UWOLNIĆ CHŁOPCA DOŁOŻYMY DO OKUPU TYSIĄC
DOLARÓW GOTÓWKĄ DEPEszUJCIE 27- -145 HALSEY
AVENUE CALM'S POINT
SCHAEFFEROWIE.

— Co to jest, Doug? — spytał Cameron, na co King wręczył

mu depeszę.

— Schaefferowie? Nie znam — powiedział i zamilkł. — Ale dlaczego przysłali ją nam? To nie naszego syna porwano.

— Połowa ludzi pewnie nadal sądzi, że porwano Bobby'ego — rzekł Cameron kładąc depeszę na biurku.

— Pozwól, że ja wezmę — powiedziała Diana. — Myślę, że Reynolds chciałby ją zobaczyć. On... spodziewał się, że wypuszczą Jeffa, a teraz... siedzi... siedzi w kuchni przy stole jak porażony. Pozwól, że mu ją pokażę. To taki wspianiały, taki ludzki dar.

King wziął depeszę i podał żonie.

— A potem wyślę im telegram z podziękowaniami za ich troskę — powiedziała Diana. Z depeszą w ręku ruszyła do wyjścia, ale zatrzymała się i zwróciła się twarzą do męża. — Doug, dzwoniłeś do banku? — spytała.

— Nie, jeszcze nie.

— Nie sądzisz, że...?

— Mamusiu!

Diana obróciła się ku schodom. Na podeście stał Bobby King w piżamie i szlafroku.

— Co się stało, kochanie? — zapytała.

— Dlaczego przy moich drzwiach stoi policjant? — spytał Bobby.

— Żeby mieć pewność, że wszystko jest w porządku.

— Z powodu tego, co się stało z Jeffem?

— Tak, Bobby.

— Tatusiu, odbierzesz im Jeffa?

— Słucham? Przepraszam, synku, nie usłyszałem...

— To mój najlepszy przyjaciel. Odbierzesz go?

— Tatuś wszystko załatwi — powiedziała Diana. — A teraz chodź, położę cię do łóżka.

— Chciałbym, żeby tatuś mię utulił — powiedział Bobby.

— Doug? Utulisz go?

— Oczywiście... — Pochłonięty myślami King podszedł wolno do schodów i wziął synka za rękę. — Chodź, Bobby.

— Biedny Bobby — powiedziała Diana, kiedy znikli z oczu. — Wciąż jeszcze nie całkiem rozumie, co się stało. Wie tylko, że

jego przyjaciel przepadł i chyba czuje się za to w jakimś stopniu odpowiedzialny. Tak jak ja.

— Nie masz powodu czuć się winna, Diano — powiedział Cameron. — Jak tylko Doug zapłaci okup...

— Tak, wiem, ale ja naprawdę czuję się winna. Czuję się prawie tak, jakby to mojego syna przetrzymywali ci ludzie. — Zamilkła. — Muszę pokazać Reynoldsowi tę depeszę. — Znów urwała. — Panie Meyer, czy zechciałby pan z nim porozmawiać, zapoznać go z grubsza z tym, co zrobiono? Jest tym wszystkim straszliwie przybity.

— Oczywiście — odparł Meyer. — Z przyjemnością. — A kiedy wychodził z salonu, zawołał przez ramię: — Gdyby zadzwonił telefon, niech pan mnie zawoła. Nie podnosi słuchawki.

— Dobrze — odparł Cameron.

Zostawszy w salonie sam, zapalił papierosa, szybko podszedł do schodów i spojrzał w górę, a potem prędko, spoglądając przez ramię w stronę kuchni, dopadł telefonu. W nerwowym pośpiechu wskazującym palcem wykręcił numer, nie spuszczając z oczu schodów prowadzących na piętro. Niecierpliwie zabębnił palcami w stolik.

— Halo? — odezwał się wreszcie. — Mogę mówić z panem Benjaminem? — Zamilkł. — Tu Pete Cameron. Tak, zaczekam, ale proszę się pośpieszyć.

Zerknął nerwowo na schody. Przestał bębnić palcami, w których trzymał papierosa i podniósł dłoń do ust. Zaciągnął się papierosem, wydmuchnął z ust gęstą smugę dymu, spojrzał jeszcze raz w stronę kuchni i już miał odłożyć słuchawkę, kiedy usłyszał w niej głos.

— Halo?

— George?

— George Benjamin przy telefonie.

— Pete Cameron. Muszę się streszczać. Stanowisko Douga jest nadal aktualne?

— Przecież ci je zaproponowałem. Jeżeli chcesz, dam ci to na piśmie.

— Chcę. Ta bostońska sprawa, o której ci wspomniałem wcześniej... dotyczy sprzedaży akcji. Doug kupuje ich

dziewiętnaście procent.

— Co takiego?!

— A ma ich już dwadzieścia osiem. Nie doceniłeś go, George.

— Dwadzieścia osiem... — W słuchawce przez dłuższą chwilę panowała cisza. — No, to jak możemy go wyrzucić? Jakim cudem?

— Nie możecie — powiedział Cameron. — Chyba że powiecie Staremu, że Doug kombinuje za jego plecami. Na jakiś czas przeciagnijcie Starego na swoją stronę. To jedyny sposób.

— A co to nam da? Jeżeli Doug załatwi tę transakcję, to będzie miał w ręku czterdzieści siedem procent akcji! Nawet z akcjami Starego go nie przegłosujemy. Cholera, może się nas pozbyć!

— Jeżeli transakcja dojdzie do skutku. Nie słuchałeś radia?

— O tym bzdurnym porwaniu? — spytał Benjamin. — A co to ma wspólnego...

— Bardzo wiele.

— Przecież to nie jego syn!

— Nie, ale porywacze mimo to żądają okupu od niego. Jeżeli im zapłaci, to z jego bostońskiej transakcji nici.

— A zapłaci?

— Na pewno. Ale na razie staram się dowiedzieć, z kim handluje w Bostonie. Możliwe, że załatwimy go na cacy.

— Łebski z ciebie chłopak, Pete — powiedział z podziwem Benjamin.

— Wiem o tym — odparł Cameron. — Zrób, jak ci radzę, George. Idź do Starego i podajcie sobie ręce. Jeżeli transakcja Douga nie wypali, a wy nadal będziecie chcieli się go pozbyć, to ta gazrurka, którą macie, wam nie wystarczy.

— Tak zrobię. I nie zapomnę ci tego.

— Liczę na to. Muszę kończyć, George.

— Dobra.

W słuchawce trzasnęło. Uśmiechnięty Cameron odłożył ją i zapalił nowego papierosa. Kiedy zadzwoniono do drzwi, wciąż jeszcze się uśmiechał. Spojrzał na schody, wzruszył ramionami i poszedł otworzyć drzwi. Stał za nimi drobny niski mężczyzna w czarnym palcie i meloniku. Na zgiętej ręce miał zawieszony

czarny parasol. Wyglądał cokolwiek tajemniczo, jak funkcjonariusz Scotland Yardu, pracujący nad sprawą Kuby Rozpruwacza. Miał co najmniej sześćdziesiątkę, może więcej.

— Słucham — powiedział Cameron.

— Pan King?

— Nie. Jestem jego zastępcą.

— Mam do niego sprawę.

— Jaką sprawę?

— Osobistą. Zechce pan go zawiadomić, że przyszedł Score. Adrian Score.

— Chwileczkę, panie Score. Zobaczę, czy nie jest zajęty. Proszę usiąść.

— Dziękuję — odrzekł Score.

Wszedł do salonu, ściskając w rękach parasol tak, jak bojaźliwy gracz ściska kij do palanta, kiedy stoi naprzeciwko gracza, który rzuca piłki nie do odbicia. Przyjrzał się jednemu z foteli z taką uwagą, jakby spodziewał się, że zbrukało go jakieś dzikie zwierzę, a potem przysiadł delikatnie na samym brzeżku.

Cameron podszedł do schodów i zawołał:

— Doug?

— O co chodzi?

— Przyszedł do ciebie jakiś pan Score. Ma sprawę.

— Nie znam żadnego Score'a! — odrzyknął King.

— Niech pan mu powie, że w sprawie osobistej — powiedział przez ramię Score.

— Mówi, że osobistą, Doug.

— Dobrze, zaraz zejść — odparł King.

— Proszę się rozgościć, panie Score — powiedział Cameron wchodząc do salonu.

— Dziękuję. Jaki piękny dom.

— Dziękuję.

— Dziękuję — powtórzył Score.

— No, o co chodzi, Pete? — spytał King, który zszedł po schodach.

Cameron wzruszył ramionami.

— Mówi, że to sprawa osobista — szepnął. — Pójdę się napić kawy — powiedział i ruszył w stronę kuchni.

- Telefon więcej nie dzwonił?
- Nie. Bobby zasnął?
- Tak.
- Będę w kuchni — powiedział Cameron i wyszedł.
- Pan Score?
- Pan King?
- Tak — odparł King, wyciągając rękę.

Score wstał, zdawkowo uściśnął mu dłoń i krótko skinął głową.

— Adrian Score, szanowny panie — przedstawił się. — Człowiek zawsze skory wiedzieć wszystko.

— Proszę usiąść, panie Score — powiedział King i gość usiadł.

— A więc, co pana do mnie sprowadza?

— Interesy, panie King.

— Nie sądzi pan, że jest odrobinę za późno na wizytę w interesach?

— Na interes nigdy nie jest za późno, prawda, panie King?

— To zależy. O jakim interesie pan mówi?

— O porwaniu, panie King.

W salonie zrobiło się cicho jak makiem zasiadł.

— I co... co z tym porwaniem?

— Chce pan odzyskać syna, panie King?

— Mnie nie porwano syna — odparł King.

— No, no, panie King — powiedział Score, grożąc mu parasolem — rozmawiamy ze sobą szczerze, hmm? Obaj jesteśmy ludźmi interesu, tak czy nie? Doskonale. Tym z gazet może pan mówić, co pan chce, ale w tej chwili ma pan do czynienia z Adrianem Score'em. Szczerze, zgoda? Zadałem panu pytanie.

— A ja dałem odpowiedź.

— Pan mi się podoba, panie King. Pan praktycznie podchodzi do interesów. Na pewno zadaje pan sobie w duchu pytanie, kto zacz ten Adrian Score. Kim jest ten człowiek, który zjawia się w moim domu w środku nocy i pyta, czy chcę odzyskać syna. I ma pan słuszne prawo o to pytać, panie King, najśluszniesze prawo. — Score zamilkł, skinął głową, wsadził parasol między nogi i rzekł: — No dobrze, powiem panu, kim jest Adrian Score.

Adrian Score to ten, który zamierza odzyskać pańskiego syna.

— Pan wie, gdzie jest syn Reynoldsa? — spytał King.

Score zaśmiał się i przyłożył palec do skrzydełka nosa.

— Dobrze, szanowny panie. Maksyma Score'a brzmi: nigdy nie sprzeczasz się z klientem. Jeśli pan woli, jest to syn pańskiego szofera, zaiste bardzo sprytny fortel, jeśli wolno mi się tak wyrazić. Ale obaj znamy prawdę, czyż nie? Tak czy owak, pragnie pan odzyskać tego chłopca?

— Co pan wie o porwaniu?

— No nie, panie King, zadałem panu pytanie. Chce pan, żeby ten chłopiec wrócił?

— Oczywiście, że tego chcemy!

— No, no, po co zaraz nerwy, panie King. Niech pan nie podnosi głosu. Jeżeli pan chce, żeby chłopiec wrócił, to Adrian Score to załatwi. — Score zamilkł. — Wiem, kto porwał chłopca, panie King.

W salonie znów zrobiło się cicho.

— Kto? — spytał King.

— To bardzo ważne pytanie, prawda? Kto? Cóż, Score zna odpowiedź, więc Score może go odzyskać, i co pan na to, szanowny panie? Odzyskać całego i zdrowego, hmm? Jak się to panu podoba?

— Bardzo mi się podoba. Kto...?

— Jestem na pańskie rozkazy, panie King. Wystarczy rozkazać, a Score rzecz załatwi. Zaprzęgnie swe talenty do dzieła odzyskania pańskiego syna...

— No, a kto...?

— Za symboliczną opłatą.

— Rozumiem.

— Tak, panie King, tak właśnie sądziłem.

— Ile?

— Czy bezpieczeństwo i dobro dziecka wolno mierzyć nieczułą gotówką, panie King?

— Ojciec tego chłopca jest szoferem. Półmilionowy okup znacznie przekracza jego...

— Ależ panie King, panie King — rzekł Score takim tonem, jakby nie mógł już dłużej zdzierżyć kłamstwa. — Bardzo proszę.

— Pochylił się w przód, zaciskając dłonie na rączce parasola, i ściszył głos do szeptu. — Jestem gotów — powiedział z przejęciem — nawiązać kontakt z porywaczami, których tożsamość jest mi znana, szanowny panie, i sprawdzić, czy chłopiec żyje i jest zdrow. Posłużyć za pośrednika pomiędzy stronami, pertraktować w sprawie zapłaty okupu, dopilnować, żeby wszystkie warunki umowy zostały ściśle dotrzymane...

— Ile, do diabła?!

— Pięć tysięcy, panie King.

— Jako dodatek do i tak już wygórowanego okupu?

— Myślę, że mógłbym... Ale nie, to byłoby za duże ryzyko.

— Co? — spytał skwapliwie King.

— Gdyby dał mi pan te pięć tysięcy z góry, to mógłbym odzyskać chłopca już teraz. Dziś. Bez konieczności dalszych wydatków.

— A jakże pan by tego dokonał?

— Obaj jesteśmy ludźmi interesu, panie King — powiedział z uśmiechem Score. — Czy Rockefeller spowiada się Rotszyldowi?

— Kto porwał chłopca?

— Do interesów, do interesów, panie King. Pieniązki z rączki do rączki, do wora Score'a.

— A jaką mam gwarancję, że pan go odzyska?

— Musi mi pan zawierzyć na słowo, panie King.

— W interesach, panie Score, nie zawieram niczyjemu słowu.

— Wspaniała cecha, niewątpliwie. Ale dobry biznesmen wie, kiedy go przyparto do muru, panie King. A z pewnością dostrzeże pan, że ma przed sobą człowieka godnego zaufania. Zdaje pan sobie sprawę, jak ja się narażam, prawda, szanowny panie?

Uwagę Kinga odciągnął na chwilę Meyer Meyer, który wszedł za plecami Score'a i zatrzymał się w sklepionym przejściu wiodącym z jadalni do salonu. Score najwidoczniej nie zauważył zmienionej miny Kinga. Radośnie nieświadom obecności policjanta, wiódł dalej swój monolog.

— Z pewnością docenia pan skalę mojego zagrożenia, z

pewnością. Gdyby ci bezwzględni ludzie nabrali podejrzeń, że chcą odebrać im chłopca, moje życie w jednej chwili znalazłoby się w niebezpieczeństwie. Ci ludzie to zatwardziali przestępcy, szanowny panie, bandyci, którzy nie zawahaliby się nawet przed...

— Jacy ludzie, Score? — zawołał Meyer.

— Słucham? — spytał Score i obrócił się nagie w fotelu, żeby spojrzeć na sklezione przejście.

— O jakich to ludziach mówisz, Score?

— Wątpię, czy mam przyjemność pana znać — oświadczył Score, pilnie przyglądając się Meyerowi.

— Jak udało ci się prześlizgnąć przez naszych ludzi przy bramie?

— Panie King, zechce mi pan łaskawie przedstawić tego dżentelmena. Zdaje się, że bierze mnie za...

— Sam ci się przedstawię, Score, mimo że się znamy. Detektyw drugiego stopnia Meyer Meyer z osiemdziesiątego siódmego posterunku. Wiesz już, w jakim kościele dzwonią?

— Nie, ale przyjemnie posłuchać — rzekł Score.

— Widzę, że nadal przebierasz się za pijawkę.

— Słucham?

— To jeden z największych oszustów w branży, panie King, a jego specjalność to żerowanie na ludzkiej rozpacz. Jeżeli brak przez godzinę czyjogoś dziecka, to można się założyć, że Adrian Score zjawi się na miejscu z gotowym planem jego odzyskania. Za symboliczną opłatą, naturalnie.

— To nedorzeczne, panie King. Dwaj biznesmeni mają chyba prawo...

— Wynoś się stąd do wszystkich diabłów, ty parszywa mendo! Wynoś się stąd, zanim cię aresztuję za współudział w porwaniu!

— Współudział w...?

— Tak, współudział! — krzyknął Meyer. — Ten, kto celowo udziela nieprawdziwych informacji dotyczących porwania, wiedząc, że są fałszywe, jest współnikiem!

— Nieprawdziwych... nieprawdziwych informacji? — pisnął Score.

— Wynoś się, Score! Ostrzegam cię!

— Doprawdy, panie King. Jestem pańskim gościem, poważnym biznes...

— Won! — ryknął Meyer.

Score natychmiast wstał i wręczył Kingowi mały biały prostokącik.

— Moja wizytówka, szanowny panie — powiedział, a wycofując się do drzwi dodał: — Proszę do mnie dzwonić, dzwonić o każdej porze. Nazywam się Score. Adrian Score.

Otworzył drzwi wejściowe, rzucił szybkie spojrzenie Meyerowi, krzyknął „Mogę odzyskać pańskiego syna!” i zamknął drzwi.

— Obrzydliwa pijawka! — warknął Meyer.

— Nazwał siebie i mnie ludźmi interesu — powiedział King. — A przecież to zwykły oszust!

— Jeden z najgorszych. Ludzkie uczucia nic dla niego nie znaczą. Ale niech pan poczeka, panie King. Score to dopiero początek. Wkrótce posypie się lawina żądań zapłacenia okupu. Wszelka najgorsza swołocz żerująca na ludzkim nieszczęściu przystąpi do akcji natychmiast, jak tylko obmyślą jakieś wykręty. Dżungla zaroi się od porywaczy. Nie odróżnimy prawdziwych łotrów od fałszywych.

— A skąd wiadomo, że mamy do czynienia z prawdziwymi? — spytał King.

— Nie wiadomo. Możemy tylko przypuszczać. — Meyer zamilkł i pokręcił głową. — Jedno jest pewne.

— Co?

— Że za nic nie chciałbym być w tej chwili na posterunku i odbierać telefonów.

— Osiemdziesiąty siódmy posterunek, detektyw Willis

— Allo, pan wie porwanie?

— Kto mówi? — spytał Willis.

— Kto pan? — spytał kobiecy głos.

— Detektyw Willis. Czym mogę pani służyć?

— Nazywam się pani Abruzzi — odparła kobieta. — Widziała

mały chłopaka.

— Tego porwanego?

— Ano, ano. Był w barze z dwa mencyzny. Oba nie golony, rozumie? Mały chłopaka, nie?

— Tak, zgadza się. — Willis urwał. — Kiedy go pani widziała?

— Kiedy pan myśli?

— No, nie wiem. Proszę mi powiedzieć.

— W to rano.

— Aha, ale ten chłopiec zaginął dopiero po południu.

— Rozumię — odparła pani Abruzzi i nie spiesząc dodała: — Siedziała na kanapie, a te dwa przyszedli z ten chłopaka. Więc zara pomyślała, to ten mały, co porwali. Tak patrzyła, co oni...

— Tak, pani Abruzzi, bardzo pani dziękuję — powiedział Willis i odłożył słuchawkę. — Boże święty, czegoś takiego jeszcze nie widziałem — krzyknął do Artura Browna. — Myślałby kto, że rozdajemy złote dolarówki wszystkim, którzy dzwonią pod Frederic 7-80-24.

— Wszyscy chcą pomóc — odparł Brown. — Sęk w tym... — Na jego biurku rozdzwonił się telefon, więc szybko podniósł słuchawkę. — Osiemdziesiąty siódmy, detektyw Brown przy telefonie.

— Chciałbym mówić z kapitanem, panie Brown.

— Nie ma go. A kto mówi?

— Gdzie jest?

— Z kim rozmawiam? — spytał Brown.

— Mówi Cliff Savage. Jestem reporterem. Kapitan mnie zna.

— Tak czy owak, nie ma go, panie Savage. Czym mogę służyć?

— Chodzi o to porwanie.

— Tak?

— Czy to prawda, że porywacze zażądali okupu od Kinga? Chociaż wiedzą, że porwali nie tego chłopca?

— Nie wiem, co się tam dzieje, panie Savage. Przykro mi.

— No, a od kogo mam się tego dowiedzieć?

— Proszę zadzwonić później.

— Gdzie jest kapitan? W domu Kinga?

— Radzę tam nie dzwonić, panie Savage. Pewnie chcą mieć wolne linie ze względu na prawdopodobny kontakt z...

— Czytelnicy mają prawo wiedzieć, co się dzieje!

— Proszę pana, chce pan ze mną dyskutować?

— Nie, ale...

— Więc niech pan tego nie robi. Mam wrażenie, jakbym pracował w centrali automobilklubu w wieczór, kiedy ciężarówka rozsypała na autostradzie cały ładunek papiaków. Przez te przeklęte telefony mam już ucho jak kalafior, a pan bynajmniej mi nie pomaga.

— Ma pan numer telefonu domowego Kinga?

— Nie.

— I tak go znajdę.

— A do tego kłopoty, panie Savage. Na pańskim miejscu nie telefonowałbym tam. Może pan opóźnić śledztwo.

— Dzięki, Brown. Kiedyś się panu za to odwdzięczę.

— Nie mogę się doczekać — powiedział Brown i odłożył słuchawkę. — Skurwysyn! Czy to nie on namieszał przy zabójstwie Reardona i Fostera? I Busha? Czy to nie przez niego omal nie zginęła żona Steve'a?

— Omal to za słabe określenie — powiedział Willis. — Jeżeli jego noga postanie na tym posterunku, to kapitan utopi go w łyżce zimnej wody. Gdzie Miscolo? Muszę się napić kawy. Miscolo? Hej, Miscolo!

— Czego? — odkrzyknęto z kancelarii.

— Zrób kawy.

— Cholera, myślisz, że co tu jest? — odkrzyknął Miscolo. — Kawiarnia u Ritza?

— Tu jest lepsza kawa — odparł przypochlebnie Willis.

— Pewnie, pewnie — wymruczał Miscolo, ale usłyszeli, jak otwiera szufladę, żeby wyjąć puszkę z kawą.

Na biurku Willisa zadzwonił telefon.

— Daj spokój, rozłącz się, co? — powiedział Willis patrząc na telefon.

Telefon jednak wciąż dzwonił.

— Przestań, przestań dzwonić.

Przeraźliwe dzwonki telefonu wypełniały cały pokój.

— Dobra, dobra, dobra — powiedział Willis i podniósł słuchawkę. — Osiemdziesiąty siódmy posterunek, Willis.

Słucham? Widział pan tego chłopca?... Tak, blondyn... Tak, około ośmiu lat... Tak, w czerwonym swetrze... Tak, proszę pana. Tak, na pewno podobny... Tak, proszę pana, a gdzie go pan widział?... Gdzie?... W kinie? W jakim kinie?... Rozumiem. Siedział na widowni, tak?... Nie? W takim razie... — Willis urwał, minę miał zdumioną. — Widział go pan na filmie? — spytał. — To znaczy, że on w nim grał? Na ekranie? Czy to znaczy, że widział pan tego chłopca w filmie?! Och, panie, nie zwracaj pan głowy, mam dość zmartwień. — Gwałtownie odłożył słuchawkę. — Dzwoni, żeby mi powiedzieć o filmowej gwiazdzie. Mówi, że to wyjątkowy zbieg okoliczności. Jak pragnę...

Telefon znów zadzwonił.

— Nagram swój głos na płytę — oświadczył Willis. — Tekst będzie brzmiał: „Osiemdziesiąty siódmy posterunek, detektyw Willis. Widział pan tego chłopca? Gdzie? Kiedy? Dziękuję”. Zaoszczędzę gardło na występy w operze. — Podniósł słuchawkę. — Osiemdziesiąty siódmy posterunek, Willis... Tak, proszę pani, wydział kryminalny... Tak, proszę pani, zajmujemy się porwaniem Jeffa Reynoldsa... Tak, proszę pani...

Na biurku Browna rozdzwonił się telefon.

— Osiemdziesiąty siódmy posterunek, detektyw Brown przy telefonie...

— Osiemdziesiąty siódmy posterunek, Di Maeo...

— Osiemdziesiąty siódmy posterunek, detektyw Willis...

— Osiemdziesiąty siódmy posterunek, Hernandez...

— Osiemdziesiąty siódmy posterunek, sierżant Murchison...

— Osiemdziesiąty siódmy posterunek, major r-rick...

— Komenda miejska, kapitan Vinnick...

— Wydział podpaleń, detektyw Hopkins...

— Widział pan tego chłopca?

— Chłopiec był w towarzystwie trzech mężczyzn, proszę pani?

— Widział pan chłopca...

— Kiedy, proszę pana?

— Jaka to była ulica, proszę pana?

— Gdzie, proszę pana?

- Gdzie, proszę pani?
- Gdzie?
- Gdzie?
- Gdzie?!

Kapitan Byrnes wszedł do salonu Douglasa Kinga i chuchnął w dłoń.

— Cześć, Steve — powiedział. — Jak leci?

— Dobrze, kapitanie — odparł Carella. — Panie King, to kapitan Byrnes.

— Witam — powiedział Byrnes i uściśnął Kingowi rękę.

— Jak się sprawy mają, panie kapitanie? — spytał King.

— Tak sobie. Czy drogówka dostarczyła już ten wykaz, Steve?

— Nie.

— A niech to cholera! Dowiedziałem się, że zażądali od pana pieniędzy, panie King. Przykra sprawa. — Byrnes westchnął. — Ale tam, na dworze, być może nam się poszczęściło.

— To znaczy, Pete?

— Mam dobry odlew śladu opony i...

— A czy to coś da? — spytał King.

— Zwykle pomaga. Wzory opon bardzo łatwo jest wytropić. W komendzie mamy katalog takich wzorów, więc kiedy odlew jest dobry, to dla nas pół zwycięstwa. Z doświadczenia wiemy, że samochód ma z reguły jednakowe opony na wszystkich kołach, zwłaszcza nowy. A kiedy się zużywają, to — choć na pozór fakt ten może się wydawać dziwny — właściciele wymieniają je na opony tej samej marki. Stąd markę samochodu odgadujemy przeważnie na podstawie wzoru opon. A w tym przypadku mamy jeszcze jeden trop.

— Jaki? — spytał King.

— W pobliżu miejsca, gdzie znaleźliśmy ślad opony, leżą na ziemi dwa kamienie. Kierowcy tego samochodu prawdopodobnie bardzo się śpieszyło, bo uderzył bokiem wozu w jeden z nich. Zebraliśmy z niego całkiem przyzwoitą ilość lakieru. Kronig już pojechał z nim do laboratorium. Przy odrobinie szczęścia określimy markę i rok produkcji tego

samochodu. Przy odrobinie szczęścia. Właśnie dlatego tak bardzo chcę mieć ten wykaz skradzionych wozów.

— Rozumiem — powiedział King.

— Pana Reynoldsa chyba tutaj nie ma? Chcę, żeby wiedział na bieżąco, co robimy w tej sprawie. Najgorsze przy wszystkich porwaniach jest to, że w opinii rodziców zawsze staramy się za mało.

— Jest w kuchni, Pete — powiedział Carella. — Mam go sprowadzić?

— Nie, pójdę do niego za kilka minut.

Zadzwoniono do frontowych drzwi. Carella podszedł do nich i otworzył szarpnięciem. W progu stał policjant w mundurze.

— Chcę mówić z detektywem Carellą — powiedział.

— To ja.

— To pan dzwonił niedawno do drogówki?

— Tak.

— Przysłali mnie z tym. — Policjant wyciągnął rękę z brązową kopertą. — Wykaz skradzionych samochodów.

— Dziękuję — powiedział Carella.

— Co słyhać w sprawie tego chłopca?

— Jak dotąd, nic nowego.

— No, tak. — Policjant potrząsnął głową. — W każdym razie ma pan ten wykaz.

— Dziękuję.

— To tyle.

Carella zamknął drzwi.

— Daj mi spojrzeć, Steve — powiedział Byrnes. Otworzył brązową kopertę i przeczytał uważnie pokrytą maszynowym pismem kartkę. — Nie najgorzej. Razem kilkadziesiąt samochodów. Miejmy nadzieję, że chłopcy z laboratorium znajdą coś, co pasuje do któregoś na tej liście.

— I co to panu da, kapitanie? — spytał King.

— Słucham?

— Wie pan, na przykład, że korzystali z kradzionego samochodu. W jaki sposób pomoże to panu w znalezieniu chłopca?

— Będziemy mieli czego szukać. Na wszystkich drogach

wylotowych są blokady, panie King. Gdybyśmy poznali kształt, wielkość i kolor poszukiwanej igły, ułatwiłoby to nam sprawę, nie sądzi pan?

— Jeżeli byli na tyle cwani, żeby użyć skradzionego samochodu, to byli też pewnie na tyle cwani, żeby się go natychmiast pozbyć.

— Chyba że nadal muszą z niego korzystać — odrzekł Byrnes.

— W takim razie prawdopodobnie go przemalowali.

— Jeżeli mieli na to czas. Domowe malowanie bardzo się rzuca w oczy, panie King. A rzucać się w oczy, to ostatnia rzecz, jakiej pragną porywacze.

— Rozumiem — powiedział King.

— Wiem, że nie przekonałem pana, ale tutaj nie mamy wiele do roboty, a liczy się każdy najmniejszy szczegół. Po przekazaniu tym ludziom pieniędzy, będziemy poszukiwać banknotów z okupu. A kiedy odzyskamy chłopca, być może powie nam coś o porywaczach. Chyba że uda nam się złapać ich wcześniej.

— Możliwe, że chłopiec już nie żyje — powiedział prosto z mostu King.

— Tak. To też jest możliwe. Wtedy dalsze starania nie miałyby sensu.

— Najmniejszego — powiedział King.

— Chcę z panem porozmawiać o okupie, panie King. Nie możemy oznaczyć tych pieniędzy, a na spisanie numerów i serii nie starczyłoby nam chyba czasu. Zaznaczyli, żeby banknoty nie miały kolejnych numerów seryjnych, prawda?

— Tak. Ale...

— To po to, żeby utrudnić spisanie numerów. Jednak część z nich będziemy w stanie zanotować, a dobrze jest mieć choćby i niepełną listę. Ci ludzie muszą kiedyś wydać te pieniądze. — Byrnes urwał. — Pan jeszcze nie dzwonił do banku, prawda?

— Nie, nie dzwoniłem.

— Dobrze. Jeżeli pan pozwoli, to chciałbym z nimi porozmawiać, kiedy pan to zrobi. Żeby powiedzieć im, w jaki sposób pomogą nam najbardziej. Jeżeli sprawę przejmie FBI, to będą musieli...

— Niestety, nie będę w stanie panu pomóc, kapitanie — powiedział King.

Byrnes spojrział na niego zdezorientowany.

— Nie rozumiem — rzekł. — Nie chce pan, żebym rozmawiał z pańskim bankiem?

— Nie, nie w tym rzecz. Ja również nie będę z nimi rozmawiał.

— Słuch...?

— Nie zapłacę tego okupu.

— Pan... — W pokoju zrobiło się cicho. Byrnes spojrział na Carellę. — No...’to oczywiście zależy wyłącznie od pana. Nikt nie może pana zmusić.

— Co też pan mówi, panie King — powiedział Carella, marszcząc twarz. — Pan... pan musi zapłacić okup! Ten chłopiec...

— Daj spokój, Steve — powstrzymał go Byrnes.

— Ależ musi! Ten chłopiec nie ma szans, jeżeli...

— Nic nie muszę! — oświadczył zwięźle King. — Wyjaśnijmy to sobie, panowie. Mówię to wam, powiem porwaczom, jeżeli zadzwonią, i powiem wszystkim, którzy zechcą słuchać: nie zapłacę tego okupu! — Zamilkł. — Nie zapłacę!

Rozdział ósmy

W kuchni domu na farmie w Sands Spit paliło się tylko jedno światło — stojąca lampa przy rozłożonej do spania kanapie, która rzuciła świetlisty krąg na gołe deski podłogi. Na środku posłania spał Jeff Reynolds. Przekręcił się na bok mamrocząc i z ramienia zsunął mu się koc. Kathy Folsom podeszła do kanapy i przykryła go. Eddie Folsom zapalił papierosa, a potem zgasił zapalną potrzęsając nią.

— Śpi? — spytał.

— Tak.

W łazience Sy Barnard śpiewał na całe gardło. Jego koszula, krawat i olstro wisiały na poręczy fotela. Radio, stanowiące część skomplikowanej aparatury stojącej przy ścianie, trajkotało monotonicznie głosami rozmawiających policjantów.

— ...jedź do rogu Cambrii z Newbridge. Chcemy zablokować to skrzyżowanie. Do pomocy dostaniesz trzysta jedenaście, zrozumiałeś, trzysta siedem?

— Zrozumieliśmy.

— Wóz trzysta jedenaście, wóz trzysta jedenaście, jedź do skrzyżowania Cambrii z Newbridge, żeby pomóc trzysta siedem w blokadzie ulic.

— Tu trzysta jedenaście, zrozumiałem. Wiadomo już coś o tym samochodzie?

— Nie.

— Dobra.

— Sy! — zawołał Eddie. — Ej, Sy, słyszałeś?

Sy, z połową twarzy pokrytą pianą, wyszedł z łazienki. Był tylko w podkoszulku. Ręce i ramiona porastały mu grube, zmierzwiłone, zbite włosy.

— Co jest? — spytał.

— Blokady ulic wyrastają jak grzyby po deszczu. Jakim cudem będziemy mogli użyć tego samochodu?

— Co się denerwujesz? No więc blokują ulice. I co z tego?

— Nie rozumiesz? Zatrzymują wszystkie samochody na tej

trasie. Rano musimy skorzystać z tego samochodu. W jaki sposób...

— Ile razy mam ci to powtarzać? To ja nim pojadę, tak? Sam, tak? Nędznym starym fordem, który nie rzuca się w oczy. Dajmy na to, że mnie zatrzymują. A kto ja jestem? Facet, który jedzie do roboty. Mam prawo jazdy i jeżeli go zażądata, to im pokażę. I co z tego? Wiedzą, że jadę kradzionym samochodem? Po czym to poznają? Przecież zmieniliśmy tablice, tak czy nie? Dlatego nikt się do mnie nie przyczepi. Dlaczego więc, jak pragnę Boga, przejmujesz się ich głupimi blokadami?

— A co będzie, jak dostaniemy forszę? — spytał Eddie. — Jak stąd odjedziemy? Przecież w dalszym ciągu będą pilnować.

— A my w dalszym ciągu nie mamy się o co martwić, bo małego z nami już nie będzie. Dla glin będziesz facetem z żoną, w towarzystwie szwagra. Nie ma strachu. Daj mi dokończyć golenie, co? Bo czuję się jak ostatni łachudra.

Sy wszedł do łazienki. Kathy odczekała, aż zamknie za sobą drzwi.

— Eddie... co się stanie z chłopcem, kiedy Sy dostanie pieniądze? — zapytała.

— Zostawimy go tutaj. Zadzwonimy do Kinga i powiemy mu, gdzie jest mały.

Kathy skinęła głową.

— To... bardzo ryzykowne, prawda?

— Nie sądzę.

— Eddie, uciekajmy stąd. Uciekajmy, zanim nie jest za późno!

— Och. kochanie, przestań, proszę cię.

— Wóz dwieście trzydzieści cztery, wóz dwieście trzydzieści cztery, stoisz jeszcze przy wlocie do tunelu? — odezwało się radio.

— Tu dwieście trzydzieści cztery. Tam właśnie stoimy, przystojniaku.

— Dobra, dobra.

— Posłuchaj ich — powiedziała Kathy.

— Sy mówi, że nie mamy się czym martwić. I musimy mu co do tego wierzyć, Kathy. Wie, co robi. — Eddie podszedł do popielniczki i zgasił papierosa. — Odkąd go znam, ani razu nie

wystawił mnie do wiatru. To dobry kumpel, Kathy.

— Tak, tak, mucha nie siada — powiedziała z sarkazmem.

— Bo tak jest. Wiele mnie nauczył.

— O tak, na pewno wiele cię nauczył.

— Bo mnie nauczył, do cholery! — Eddie zamilkł. — Nie musiał się wiązać z takim jak ja. Sy to naprawdę ktoś!

— Ktoś?! To oprych! — odparła Kathy.

— Nie mów tak o nim. Miał kilka przykrych wpadek, i tyle. Ale jest w porządku. Myślisz, że łatwo zaplanować taki numer? Czy ty wiesz, ile on ma na głowie?

— Jemu w głowie tylko jedno, Eddie.

— Tak? Co?

— Chce zabić tego chłopca.

— O rany, przestań, dobrze?! Chce zabić tego chłopca! On ma trzeźwy handlowy łeb. Ani myśli być wmieszany w morderstwo. Chce tylko dostać swoją dolę.

— A ty?

— Co ja?

— Czego ty chcesz?

— Tego samego. Dwustu pięćdziesięciu tysięcy dolarów.

— I do czego się posuniesz, żeby je zdobyć?

— O czym ty, do diabła, mówisz?! — spytał Eddie. Podszedł do kredensu po papierosy, wziął pudełko, a potem zmiął je, kiedy przekonał się, że jest puste.

— Jak bardzo zależy ci na tych pieniądzach, Eddie?

— Strasznie mi zależy. Masz papierosa?

Kathy otworzyła torebkę i zajrzała do niej.

— Nie, nie mam — odparła. Zatrzasnęła torebkę. — Eddie, kiedy byliśmy dziećmi, to mieliśmy taką zabawę. Nazywała się „przypuścmy”, a my mówiliśmy: „Przypuścmy, że ktoś zaproponowałby ci milion, to co byś za niego dał? Odciałbyś sobie duży palec u nogi? Oddałbyś jedno oko? Oplułbyś krzyż?” Tym podobne. Fajnie było słuchać odpowiedzi. Każdy dzieciak miał inną, własną cenę za ten milion.

— Do czego zmierzasz? — spytał Eddie. — Sy! Ej, Sy!

— Tak?

— Masz papierosy?

— Co? — spytał Sy, wystawiając głowę przez drzwi.

— Masz papierosy?

— W marynarce. Pozwolisz, że skończę się golić? — odparł Sy i cofnął się do łazienki.

Eddie podszedł do jego marynarki i przeszukał kieszenie.

— W marynarce nie ma! — zawołał zniechęcony. — Sy, nie masz papierosów.

— W samochodzie jest karton! — krzyknął Sy. — Przestań mi przeszkadzać.

— Gdzie?

— W schowku na rękawiczki. Człowieku, dasz mi się spokojnie ogolić?

Eddie ruszył do drzwi wejściowych.

— Jaka jest twoja cena, Eddie?!

— Nie wiem, o czym mówisz, Kathy.

— Oddałbyś rękę... ale nie oko? Bierzesz udział w porwaniu... ale nie dopuścisz się morderstwa?

W kuchni zapadła cisza.

— Co dziecięce zabawy mają wspólnego z prawdziwym życiem? — spytał wreszcie Eddie.

— Sy zamierza zabić tego chłopca — powiedziała Kathy.

— Oszalałaś.

— Tak to zaplanował. Nie zaryzykuje zostawienia przy życiu chłopca, który go rozpozna. — Zamilkła. — A ja muszę wiedzieć, jak jest z tobą.

Eddie westchnął.

— Jak jest ze mną? A może tak byś się odczepiła?

— Nie, Eddie, muszę wiedzieć.

— Dobrze. Dobrze, posłuchaj. Byłaś dzieckiem i bawiłaś się w dziecięce gry, a... a ja też byłem dzieckiem. A kiedy nim byłem, nie miałem nic. Wiesz, Kathy? Nic. Nic! Ja... ja... mówisz o Meksyku... mówisz, że chcesz jechać do Meksyku. Fajnie, ja też chcę tam jechać. Naprawdę chcę pojechać do Meksyku i... chcę mieć kupę forsy, chcę, żeby kelnerzy grzecznie mnie traktowali... chcę coś z tego mieć! Nie zawsze i ciągle nic. Ja... nie chcę być dłużej śmieciem, rozumiesz?

— Rozumiem. Ale...

— Więc nie pytaj mnie, kochanie, co ze mną. Nie łam sobie mną głowy. Nie chcę myśleć o tym, co robię i dlaczego to robię. Inaczej nie mogę, uwierz mi. — Eddie zamilkł, a kiedy znów się odezwał, to dziwnie strapionym tonem. — Inaczej nie umiem.

— Właśnie, że można inaczej — powiedziała stanowczo Kathy. — Eddie, możemy w tej chwili odejść. Sy jest w łazience. Jeżeli się pospieszymy... Eddie, możemy uciec, wypuścić gdzieś tego chłopca i być wolni. Myślisz, że policji będzie potem na nas zależało? Naprawdę myślisz, że będą nas ścigali, jeżeli chłopiec powróci bezpiecznie jeszcze przed zapłaceniem okupu? Moglibyśmy pojechać do Meksyku. I byłibyśmy razem, nie musielibyśmy wciąż uciekać.

— Ja... nie wiem. Muszę zapalić.

— Eddie, odpowiedz mi.

— Kathy, daj mi spokój! — krzyknął i zamilkł. — Wychodzę.

— Dokąd idziesz?

— Do samochodu po papierosy i... a potem chcę się przejść.

— Pójdę z tobą.

— Nie chcę towarzystwa. Zostaw mnie! — odparł i otworzył drzwi.

— Jeszcze mi nie odpowiedziałeś, co z tobą, Eddie. Chcę wiedzieć...

Na te słowa zatrzasnął za sobą drzwi. Pełna wątpliwości Kathy stała na środku kuchni, przysłuchując się jego krokom, oddalającym się po żwirze. Podeszła do drzwi, przekreśliła klucz, oparła się o nie i ciężko westchnęła. Raptem z łazienki dobiegł znów śpiew Sya. Zbliżyła się do okna, wyjrzała przez nie na skraj ciemności, przez chwilę stała w zamyśleniu, obróciła się, oparła o ścianę, wpatrzyła się w zamknięte drzwi łazienki, a potem przeniosła wzrok na śpiącego chłopca. Podjęła decyzję, co natychmiast uwidoczniło się na jej twarzy i ciele, które nagle zeszywniało. Po raz ostatni spojrzała na zamknięte drzwi łazienki i szybko, zdecydowanym krokiem podeszła do kanapy.

— Jeff! — szepnęła, chwytając chłopca za ramię. — Obudź się, Jeff!

Jeff prawie natychmiast usiadł na posłaniu.

— O co chodzi? — spytał. — Co? Co?

— Ciiii — ostrzegła go. Zaczekała, nie spuszczać wzroku z łazienki. — Bądź cicho i rób, co ci powiem. — Znów zamilkła. — Zabieram cię stąd.

— Zabiera mnie pani do domu? — spytał z ożywieniem.

— Ciii! Na miłość boską, mów ciszej. — Kathy spojrzała w stronę łazienki, a potem na drzwi wejściowe. Sy głośno śpiewał. Z podwórza nie dochodził żaden dźwięk. — Nie mogę zabrać cię do domu, ale mogę cię zabrać stąd — powiedziała. — Gdzieś cię zostawię. Ktoś cię znajdzie. Trafisz do domu. Ale musisz mi pomóc, musimy poruszać się cicho i szybko. Rozumiesz?

— Tak — odpowiedział szeptem Jeff. — Czy oni... czy oni chcą mnie zabić?

— Nie wiem. Ale nie dajmy im okazji.

— Eddie to pani mąż?

— Tak.

— Nieszczęśliwy — powiedział Jeff.

— To mój...

— Ale nie wygląda na takiego, co mógłby mnie skrzywdzić — dodał prędko.

Śpiew w łazience nagle ucichł. Kathy spojrzała bystro na zamknięte drzwi. Do pogrążonej w ciszy kuchni docierało ciurkanie wody.

— Pani jest ładna — powiedział Jeff.

— Dziękuję. Gdzie masz płaszcz?

— Nie mam płaszcza. Tylko sweter Bobby'ego.

— Będzie ci potrzebny. Na dworze jest bardzo zimno. Gdzie on jest?

— Tam, na krześle.

Kathy szybko i cicho podeszła do krzesła. Wzięła sweter i zaczęła go wciągać chłopcu przez głowę.

— Pójdziemy prosto do drogi — powiedziała. — Kiedy tam dojdziemy, zaczniesz biec, rozumiesz?

— Dobrze biegam — pochwalił się Jeff.

— A więc chodźmy.

Prędko nałożyła płaszcz i wzięła chłopca za rękę. Razem przeszli na palcach do drzwi wejściowych. Kathy otworzyła je, z

ostrożnością włamywacza przekręcając klucz w zamku. Spusty szczęknęły, więc się zawahała. A potem wolno i ostrożnie uchyliła drzwi. Ich skrzypnięcie zabrzmiało w cichym pomieszczeniu jak wystrzał. Wyrzała na podwórze i ponownie wyciągnęła rękę w stronę Jeffa.

— Chodź — powiedziała.

— Niech pani zaczeka! — odparł, wyrwał się jej nagle i popędził w głąb kuchni.

— Co...?

— Moja strzelba! — wyjaśnił, podbiegając do stołu, na którym leżała nie nabita dubeltówka. — Przecież mi ją dał.

— Tak... prędzej! — ponagliła go szeptem.

Jeff chwycił dubeltówkę za lufę, zaczął ją ściągać ze stołu, wprawiając w obrotowy ruch i jednocześnie rzucił się do drzwi. Łożysko strzelby zaczęło o coś na stole, a kiedy chłopiec szarpnął, uderzyło w popielniczkę i popchnęło ją tak, że przesunęła się na skraj stołu, przechyliła się, ześlizgnęła po jego krawędzi i ciężko spadła na podłogę. Trzasnęło. Rozpryśnięte kawałki szkła odbiły się od podłogi, rykoszetując jak odłamki ręcznego granatu. Stojąca przy drzwiach Kathy o mało co nie krzyknęła. Zakryła usta dłonią i przygryzła kostki palców. Jeff zamarł.

— Myśli pani...?

— Ciii! — powiedziała Kathy.

Czekali milcząc. Drzwi łazienki pozostały zamknięte. Kathy szybkim ruchem otworzyła drzwi wejściowe i znów wyrzała.

— W porządku, chodźmy — powiedziała i w tej chwili drzwi łazienki otwarły się.

Nie spostrzegła tego. Wyglądała właśnie na podwórze i sięgała za siebie ręką, czekając na Jeffa, nieświadoma, że do kuchni wszedł Sy i podparłszy się pod boki, z miną świadcząca, że w lot pojął wszystko, zatrzymał się przy drzwiach łazienki.

— Pędź, pędź — ponagliła chłopca, przywołując go ruchem dłoni, a kiedy spostrzegła, że nie podchodzi, obróciła się ze słowami „Jeff, czy mógłbyś...”, zobaczyła Sya i w jednej chwili zbladła.

— No, no, no — powiedział Sy. — A ty dokąd?

— Wyprowadzałam chłopca — odparła.

— A, wyprowadzałaś. — Sy rozejrzał się po kuchni. — Gdzie Eddie?

— Wyszedł się przejść.

Sy podszedł szybko do drzwi wejściowych i zamknął je na klucz.

— Czy ten gnojek próbuje mnie wyrolować? — spytał.

— Nie. On o niczym nie wie. Poszedł do samochodu po papierosy.

— A więc wykombinowałaś sobie, że to najlepsza okazja do zerwania spółki, tak? Kurczę, i zostaw tu sprawę babie. Szpasów co niemiara, a zawsze wypróbuje któryś na tobie. Zdejmij płaszcz!

Kathy zawahała się.

— Zdejmij, zanim go z ciebie zedrę! — krzyknął.

Zdjęła płaszcz i rzuciła go na kanapę.

— Mały też. Nie potrzebuje tego swetra. Nigdzie nie pójdzie.

Kathy podeszła do Jeffa i pomogła mu zdjąć sweter.

— Co za komitywa! Doborowa parka, ty i ten mały.

Sy sięgnął do kieszeni, a kiedy wyjął rękę, na dłoni trzymał zamknięty sprężynowy nóż. Nacisnął przycisk na rękojeści, błysnęło ostrze. Wolno zbliżył się do stojących przy kanapie Kathy i chłopca.

— Posłuchaj, ty mała dziwko — powiedział. — Jeszcze jeden taki numer, a będzie ci potrzebny chirurg plastyczny, rozumiesz? Nieważne, co mówi twój kochany Eddie. Osobiście wypruję temu małemu sukinsynowi serce! Zapamiętaj to sobie! Zapamiętaj!

— Nie boję się ciebie, Sy — odparła.

— Nie boisz? — Sy uniósł nóż, zbliżając ostrze do jej szyi. — Radzę ci od tej chwili uważać... jak się do mnie odzywasz, kotku. Radzę ci, bądź dla mnie od tej chwili bardzo miła, a może zapomnę ci ten numer. Od tej chwili bądź dla mnie bardzo miła.

Trzymając ostrze przy szyi Kathy, Sy woina ręką pogładził jej rękę. Wyrwała mu się raptownie. Zachrobotała klamka i Kathy ruszyła do drzwi.

— Ej, otwórz — zawołał przez drzwi Eddie.

Sy skinął głową w kierunku drzwi. Nacisnął ostrze noża, zamknął go i schował do kieszeni. Kathy przekręciła klucz w zamku. Do środka wszedł Eddie.

— Widzę, że znalazłeś papierosy — powiedział z uśmiechem Sy.

— Owszem. — Eddie zaciągnął się mocno okurkiem. — Kurczę, tak ładnie na dworze. Zimno, ale bardzo pogodnie. Pełno gwiazd.

— To znaczy, że jutro będzie piękny dzień — rzekł Sy. — Nawet pogoda nam sprzyja. Nic nam nie popsuje roboty. — Spojrzał Kathy w oczy. — Nic — powtórzył.

— Dlaczego chłopiec wstał? — spytał Eddie.

— Ten mały drań nie może spać. Martwi się, co z nim będzie jutro.

— Myślisz, że wszystko się uda?

— Musi — odparł Sy i znów obrócił się w stronę Kathy. — Słyszysz, Kathy? Musi się udać. Wszystko pójdzie jak ta lala i nic nam nie przeszkodzi. Będziemy bogaci. W życiu więcej nie wsiądę do tego zasranego metra. Będę nosił jedwabną bieliznę. Wiecie, że niektórzy goście chodzą w jedwabnej bieliźnie? Ja też! Będę jednym z nich. — Zdecydowanie kiwnął głową. — Opowiedz jej o wszystkim, Eddie. Opowiedz jej, jak to przygotowaliśmy. Twoja żona myśli, że to zabawa.

— Słuchaj, po prostu zróbmy to — powiedział Eddie. — Po co mamy jeszcze o tym gadać?

— Chcę, żeby wiedziała, bo to piękny plan, dlatego.

Cholera, co z tobą jest? Wstydzisz się go? To cholernie dobry plan.

— Tak. wiem, ale...

— Rano zadzwonimy do Kinga, podamy mu instrukcje, gdzie ma zostawić forszę, i nie przeszkodzi nam w tym żaden glina w mieście, mało tego, żaden nas nie odnajdzie! — Sy urwał.

— I co ty na to, Kathy?

— Bardzo sprytnie — odparła głucho Kathy.

— Tak, bardzo sprytnie. Cholernie sprytnie! Nawet King nie będzie wiedział za cholere, gdzie zostawić forszę, więc nikt nie

zawiadomi glin, nawet gdyby chciał. Bo będzie wiedział tylko tyle, że my na nią czekamy. — Sy zauważył zdezorientowaną minę Kathy. — Tak jest — powiedział. — Tak jest! I to się uda. A wszystko dzięki potworowi Eddiego. — Wskazał aparaturę radiową przy ścianie. — Jak myślisz, po co tak tyraliśmy włamując się do tych sklepów radiowych? Żeby Eddie miał się czym bawić?

— Myślałam, że potrzebujecie radia do podsłuchiwania rozmów policji — odparła Kathy, jeszcze bardziej zdezorientowana.

— Do takiego numeru? Żeby podsłuchiwać gliny? Wiesz, co to za metalowe puszkki? To oscylatory. A to duże za nimi? To nadajnik. Tak, Eddie?

— Tak. Widzisz, Kathy, to, co chcemy zrobić...

— To, co chcemy zrobić, tak zaskoczy Kinga i gliniarzy, że im gacie pospadają — powiedział Sy. — Kiedy King wyruszy, tylko on jeden będzie wiedział, co ma robić Ani gliny, ani nikt. Nikt prócz niego i nas. Jak tylko wyjedzie z domu z forszą w rękę...

— Jeżeli w ogóle wyjedzie — przerwała mu Kathy. — Jeżeli w ogóle zapłaci okup.

— Powiem ci coś w tajemnicy, najmilsza — powiedział Sy — Lepiej, żeby wyszedł z domu, lepiej, żeby zapłacił okup.

Błyskawicznie sięgnął ręką do kieszeni i w jego rękę znów pojawił się sprężynowiec. Przycisk nie wydał najłżejszego dźwięku, kiedy go nacisnął. Ostrze wyskoczyło z leciutkim szelestem. Spojrzał na stojącego przy kanapie Jeffa, z którego oczu wycierał wielki strach.

— Lepiej, żeby zapłacił ten okup — powtórzył cicho Sy.

Rozdział dziewiąty

Laboratorium policyjnym kierował Sam Grossman.

Dla postronnego widza laboratorium było sterylnym pomieszczeniem z długimi białymi stołami i wysokimi zielonymi szafami. Stoły tonęły we fluoryzującym, ultrafioletowym świetle, szafy zaś zapełniały znaczki pralni, pistolety, wzory opon, wykresy analityczne, próbki szkła, trawy, bagna, dosłownie wszystko, co mogło być użyte do porównania z dowodami rzeczowymi. Każdego dnia i o każdej porze do laboratorium nadchodziło bardzo wiele dowodów rzeczowych. Było tu wszystko — od szkła reflektorów samochodowych znalezionych na autostradzie po wypadku, którego sprawca zbiegł, po zakrwawioną rękę, zawiniętą w kilka stron niedzielного wydania „New York Timesa” z ogłoszeniami kupna i sprzedaży nieruchomości. Obcowanie z paczuszkami pozostawionymi na progu laboratorium niczym sieroty w śnieżną wigilię świąt Bożego Narodzenia nie zawsze było przyjemnym zajęciem. Zdarzało się, że praca laborantów nabierała cech upiornych i wielu ze słabymi żołądkami natychmiast pisało prośby o przeniesienie do miejskiego Biura Identyfikacji Przestępców, a choćby i do kostnicy któregoś z tutejszych szpitali. Bo zajmowanie się gwałtownymi i nagłymi zgonami czynnie i bezpośrednio to, moi państwo, jedna sprawa, a całkiem inna sprowadzanie śmierci do naukowego wzoru — obcowanie z odrąbanymi kończynami, wędrującymi komórkami spermy, tępyimi narzędziami oblepionymi ludzkimi włosami, nabojami splaszczonymi w zderzeniu z kośćmi. Wyobraźnia pracowała jak szalona w obliczu tych przerażających, niemych produktów ubocznych zbrodni i morderstw. Długi jasny włos przylepiony do ostrego, tnącego ostrza siekiery przemawiał do niej głośniejsz niż trup kobiety spoczywający na stole w kostnicy. Niedomówienie — subtelna broń od zarania literatury — stało się kamieniem szlifierskim w codziennej pracy laborantów, na którym stępiali swoje uczucia.

Sam Grossman, człowiek z natury uczuciowy, z zawodu niewrażliwy, zarządzał swoim laboratorium z surowością afrykańskiego misjonarza. Wiedział, że często może ono skrócić pracę policjantów w terenie. Że jego wyniki mogą doprowadzić przestępców przed oblicze sprawiedliwości. A jeżeli mógł się do tego przyczynić, miał poczucie, że nie marnuje życia. Czasem jego zadanie było nadzwyczaj ciężkie. Czasem zaś, jak w przypadku odlewu, z którym wrócił Kronig, wyjątkowo łatwe. Po prostu sięgnął do kartoteki i w niespełna pięć minut odnalazł właściwy wzór opony. Karta z rejestru wyglądała tak:

*Nazwa firmowa TIRUBAM
Amerykańska Korporacja Opon Gumowych
1719, Carter Avenue, Isola'*

*1948 — General Motors Corp.
1949, 1950 — Ford Motor Company
1954 — Chrysler Motors*

Tak więc opona nazywała się Tirubam i wyprodukowała ją Amerykańska Korporacja Opon Gumowych, której biura w tym mieście znajdowały się na Carter Avenue 1719 na Isoli. Opona ta należała do standardowego wyposażenia samochodów wyprodukowanych przez General Motors w 1948 roku. W latach 1949 i 1950 używał jej w całej swej produkcji Ford. A Chrysler wyposażył w te opony swoje samochody w roku 1954. A zatem pole poszukiwań wyglądało na bardzo duże.

Jednakże z odlewu wynikało, że opona ma rozmiar 670 x 15. Ten szczęśliwy traf od razu wykluczył wyprodukowane przed 1949 rokiem, gdyż do tego czasu wieńce kół miały średnicę szesnastu cali, a zmieniono ją w całym przemyśle samochodowym w roku 1949. Rozmiar opony także wykluczał wszystkie większe wozy wyprodukowane przez fabryki Forda i Chryslera w latach, w których stosowały one takie ogumienie. Na przykład model Mercury miał opony 710 x 15, a Lincoln z 1949 opony 820 x 15. Stąd też pole poszukiwań zawężyło się do najmniejszych wozów produkowanych przez te firmy w

domniemanych latach.

Znaleziona farba usunęła wszelkie wątpliwości. Pracownicy Grossmana, poddawszy jej próbki badaniom spektrograficznym, mikroskopowym i analizie mikrochemicznej, ustalili dokładnie, z czym zacz mają do czynienia. Porównali wyniki tych badań z faktami już zgromadzonymi, skatologowanymi i czekającymi w aktach. Karty rejestracyjne powiedziały im, że:

1. Farbę wyprodukowały zakłady Forda.
2. Firma nazwała jej kolor „szara brzoza”.
3. Firma używała jej do malowania samochodów w roku 1949.

4. W roku 1950 zrezygnowano z niej na korzyść odrobinej innego odcienia, który nazwano „szarość doverska”.

Sam Grossman zapoznał się z tymi faktami. Zapoznał się z nimi, patrząc na nie chłodnym, nieskłonny do wzruszeń, bezstronnym okiem naukowca. Z twarzą szorstką i prostą niczym oblicze farmera z Nowej Anglii, szczerym wzrokiem przyjrzał się przez okulary danym i łagodnie skinął głową. Poszukiwanym samochodem był szary ford z 1949 roku. Pozostało już tylko zadzwonić do domu Kinga i przedstawić fakty. Teraz mieli się nimi zająć inni policjanci. Sam Grossman zdjął okulary, zamknął oczy i potarł je kciukiem i palcem wskazującym. Nałożył okulary z powrotem i wykręcił numer posiadłości Kinga.

*

Jego telefon odebrał w salonie Meyer. W czasie gdy zapisywał wiadomości z laboratorium, Douglas King, który siedział w fotelu przy kominku, wpatrywał się w ruchliwe płomienie. Niczym nie zdradzał, że przysłuchuje się rozmowie przez telefon. Ogień oświetlał wyraziste fragmenty jego twarzy i połyskiwał w jego posiwiałych na skroniach włosach.

— Zapisalem, Sam — powiedział Meyer. — Świetna robota. Co?... Cóż, po tej stronie nie wygląda to szczególnie, ale mamy teraz czego szukać... Tak, zaraz rozesłemy tę wiadomość. Wielkie dzięki, Sam. — Meyer odłożył słuchawkę i zwrócił się do Kinga. — To szary ford, rocznik czterdzieści dziewięć. Nim

jechali. Muszę znaleźć kapitana. Zechce to porównać z wykazem skradzionych samochodów. — Przez chwilę w milczeniu bacznie przyglądał się gospodarzowi. — Nad czym pan tak myśli, panie King? — spytał.

— Nie myślę o niczym ważnym, panie Meyer — odparł King.

— Uhm. Wychodzę z domu, może uda mi się znaleźć kapitana. Niech pan mnie wezwie, gdyby zadzwoniono.

— Wezwę — przyrzekł King.

Meyer nałożył płaszcz i wyszedł z salonu. King nie podniósł głowy, kiedy lekko zamknęły się za nim drzwi. Wciąż wpatrywał się w płomienie, jakby w nich była jego dusza, jakby chciał z tych skaczących czerwieni i żółci zrozumieć siebie. Nie podniósł głowy nawet wówczas, gdy do salonu weszła jego żona. Podeszła wprost do niego i stanęła przed nim, zasłaniając sobą płomienie.

— Więc to tak — powiedziała ledwie dosłyszalnym głosem. — Pete mi powiedział. — Zamilkła. — Nie mówiłeś tego poważnie.

— Poważnie, Diano.

— Nie wierzę.

— Nie zapłacę. Radzę ci w to uwierzyć. Nie zapłacę.

— Musisz zapłacić.

— Nic nie muszę.

— Oni zażądali tych pieniędzy od ciebie!

— Owszem, zażądała ich szajka bandziorów. A dlaczego to oni mają mi narzucać reguły gry? Dlaczego to ja mam grać według ich reguł?

— Grać? Według reguł? Tu chodzi o małego chłopca.

— Chodzi o coś znacznie więcej niż tylko o małego chłopca — odparł King.

— Chodzi wyłącznie o małego chłopca — powiedziała Diana.

— Jeżeli im nie zapłacisz, zabiją go.

— On już może nie żyć.

— W żadnym razie nie wolno ci dopuszczać takiej możliwości.

— A to dlaczego? Wolno mi dopuszczać wszystko, co dotyczy tej przekłętej sprawy. Zażądano ode mnie zapłacenia pół miliona za chłopca, który dla mnie absolutnie nic nie znaczy. Mam wszelkie prawo rozważyć możliwości. A jedną z nich jest

ta, że on już nie żyje.

— Powiedzieli ci, że żyje. Dobrze o tym wiesz. Nie możesz tłumaczyć się tym, że...

— A następna możliwość to ta, że zabiją go, nawet jeśli im zapłacę. Zapytaj policjantów... No proszę, sprawdź, co oni...

— Jeżeli nie zapłacisz, zabiją go na pewno!

— Niekoniecznie.

King wstał z fotela, odszedł niechętnie od ognia i skierował się do barku w drugim końcu salonu.

— Napijesz się brandy? — spytał.

— Nie, nie napiję się brandy.

Diana przyglądała się, jak mąż napełnia kieliszek. Prawą ręką trzymał butelkę za szyjkę. Bursztynowy płyn wypełnił koniakówkę. King zamknął butelkę, wrócił do fotela i delikatnie obrócił kieliszek w dużych dłoniach. Diana nie spuszczała z niego wzroku.

— Doug, nie masz prawa narażać życia Jeffa — powiedziała w końcu.

— Nie? A kto ma większe prawo? Od kogo zażądali pieniędzy? Co robi Reynolds, żeby odzyskać syna? Siedzi na tyłku, tak jak siedział całe życie. Z jakiej racji miałbym zapłacić za jego syna?

— Doug, walczę z sobą, żeby nie krzyczeć. Staram się o to z całych sił.

— Proszę, krzycz, jeśli ci to ulży. Chociaż właściwie nie ma o co. Nie ode mnie powinni żądać zapłacenia okupu, dlatego nie zapłacę, koniec i kropka. Jeżeli o mnie chodzi, sprawa jest zamknięta.

— Ale to przecież dziecko! Dziec-ko!!!

— Nie obchodzi mnie, kim on jest. Ze mną nie ma nic wspólnego. — King zamilkł, jakby szukał przygwazdzają- cego argumentu, a po chwili dodał: — Ja go nawet nie lubię, wiesz o tym?

— A niech cię diabli, jest dzieckiem!

— Dobrze, dzieckiem. Ale co ma jedno do drugiego? Czy ja za niego odpowiadam? Jakże ja mogę za niego odpowiadać, wszystko jedno, czy jest dzieckiem, dorosłym, czy stworem z

głębin? Jak mogę za niego odpowiadać, do diabła?!

— Przecież oni chcieli porwać Bobby'ego — przypomniała Diana. — Dlatego właśnie odpowiadasz za Je...

— Tak, ale przecież go nie porwali. Zawalili sprawę. Porwali Jeffa. — King urwał. — Kochanie, kiedy służyłem w wojsku i ginął żołnierz obok mnie, nie czułem się odpowiedzialny za jego śmierć. Zwyczajnie, ogromnie się cieszyłem, że ta kula nie trafiła mnie. Nie czułem się winny ani odpowiedzialny. Ręce miałem czyste. I teraz też mam czyste.

— To co innego — odparła Diana. — Nie jesteś taki głupi, żeby nie widzieć różnicy.

— Wcale nie jestem głupi. Skąd, do diabła, wezmę im tyle pieniędzy?! Nie sądzisz, że dałbym je, gdybym je miał?

— Ależ ty je masz! Nie kłam, Doug. Na miłość boską, nie udawaj.

— Do zawarcia tej transakcji potrzebny mi jest każdy cent. Siedemset pięćdziesiąt tysięcy dolarów. Jak mogę oddać dwie trzecie tej sumy? Nie rozumiesz?

— Tak, rozumiem doskonale. Życie chłopca za transakcję handlową.

— Nie! Życie chłopca za moje życie! — krzyknął King.

— Doug, bierzesz mnie za idiotkę?! Od tego byś nie zginął. Nie mów mi o twoim życiu, tak jakby...

— Za moje życie, moje życie! — powtórzył z uporem King. — Właśnie za nie! Za wszystko, na co pracowałem, odkąd pamiętam. To przedsiębiorstwo to część mnie. Diana, czy ty nie zdajesz sobie z tego sprawy?

— Do diabła z przedsiębiorstwem! — odparła ostrym tonem. — Nie obchodzi mnie wcale, czy zdobędziesz Obuwie Grangera na własność! Po prostu nie obchodzi! Gdybyś był właścicielem Grangera, gdybyś był właścicielem koncernu United States Steel i zdobył je za cenę śmierci dziecka...

— Chodzi o moje życie, moje życie!!!

— I o jego śmierć! Twoje życie za jego śmierć!

— Nie baw się ze mną w słówka — powiedział gniewnie King. Postawił kieliszek na stoliku do kawy, wstał i zaczął chodzić po salonie. — To także moja śmierć. Co się ze mną stanie, jeżeli

zapłacę ten okup? Powiem ci, co się stanie. Benjamin i jego przekłete szakale zawrą sojusz ze Starym i wyrzucą mnie na bruk. Martwiłaś się tym, co zrobiłem z Robinsonem, tym, że nie znajdzie sobie pracy. Dobrze, a wiesz, co oni zrobią ze mną? Będę skończony dla wszystkich w branży. Nieudana próba przechwycenia władzy! Myślisz, że jeszcze jakaś firma mi po tym zaufa? Myślisz, że drugi raz zdołam tyle osiągnąć? Byłbym skończony, Diano. Skończony!

— Mógłbyś zacząć od nowa. Mógłbyś...

— Gdzie? Od czego bym zaczął? I jak daieko zaszedł? Do diabła, nawet gońcy pilnowaliby, żebym już nigdy nie urósł za duży! Byłbym przykuty do biurka. Czy tego dla mnie pragniesz? Czy to jest życie?

— Tak, to jest życie. Setki mężczyzn są przykute...

— Ale nie ja! Nigdy! — King zamilkł. — No, a co z tobą, Diano? Pomyśl o sobie. To wszystko przepadłoby. — Zaczął wymachiwać rękami. — Dom, samochody, styl życia, nawet to, co jemy!

— Stawałoby mi w gardle! — odparła Diana. — Każdy kęs stawałoby mi w gardle, gdybyś pozwolił Jeffowi zginąć!

— No, to kto ma umrzeć? Ja? To ja mam umrzeć zamiast niego? A kim on dla mnie jest?

— Człowiekiem. Po prostu drugim człowiekiem. Dawniej troszczyłeś się o...

— Owszem, ja też jestem człowiekiem. Lecz co, do diabła, jestem winien ludzkości, tej wielkiej bezimiennej masie, którą powołały do istnienia szlachetne umysły naszych czasów? Co ludzkość, ta anonimowa ludzkość kiedykolwiek mi dała? Nic! Kułem swój los sam, wykuwałem go w litej skale, aż mi krwawiły ręce. Skąd możesz wiedzieć o tym ty, Diano, jakim cudem, co ty w ogóle możesz o tym wiedzieć? Chodziłaś do prywatnej szkoły, kiedy ja harowałem jak wół w magazynach Grangera. Pracowałem na to przedsiębiorstwo całe życie, nie rozumiesz? Całe życie! I tylko dlatego, że patrzę w przyszłość, kiedy nadejdzie czas...

— Nie chcę tego słuchać. Jeżeli jeszcze raz wspomnisz o przedsiębiorstwie, to... uderzę cię. Przysięgam, że cię uderzę!

— Dobrze, nie mówmy o przedsiębiorstwie. Tylko powiedz mi, dlaczego to właśnie ja mam zapłacić. Iluż ludzi ma więcej pieniędzy, niż ja będę miał kiedykolwiek? Jestem biedny, na miłość boską! W porównaniu z nimi jestem biedakiem. Wiele lat czekałem na chwilę, by mnie było stać na taką transakcję. Są ludzie, którzy podobne interesy załatwiają codziennie, podnoszą słuchawkę i finalizują sprawy mówiąc „tak” lub „nie”. Dlaczego od żadnego z nich nie nadeszły szczodre propozycje? Dlaczego to oni nie zapłacą tego przekłętego okupu?

— To małżeństwo z Calm’s Point zaofiarowało ci tysiąc dolarów, Doug. A są pewnie biedniejsi, niż ty byłeś.

— Jasne, tysiąc dolarów. A jaki to procent oszczędności ich całego życia? Ile jeszcze mają poza tym w banku?! Pięć tysięcy? Dobrze, no to oddepeszujmy im i zażądajmy tej sumy, całych pięciu tysięcy, nie tylko części w postaci tego tysiąca, który zaofiarowali. Niech oddadzą oszczędności całego życia, bo w przeciwnym razie chłopiec zginie. Co planowali zrobić z tymi pieniędzmi, Diano? Chcieli nabyć za gotówkę domek na wsi? Nowy samochód? Wybrać się na wycieczkę do Europy? Co? Zażądaj od nich, żeby zrezygnowali ze swoich planów i marzeń dla chłopca, który jest dla nich nikim. No, zażądaj tego od nich. Zażądaj od kogokolwiek na świecie! Zażądaj od swojej miłej kochającej ludzkości! Zażądaj od niej, żeby popełniła samobójstwo w zamian za życie bliźniego!

— To od ciebie zażądano okupu — odparła Diana. — Nie zwalaj tego na innych.

— Wiem, że ode mnie, i twierdzę, że to niesprawiedliwe. Idiotyczne! Twierdzę, że takich żądań nie wolno stawiać nikomu!

Diana niespodziewanie usiadła u jego stóp. Wzięła go za ręce i zajrzała mu w twarz.

— Posłuchaj — powiedziała łagodnym tonem — gdyby... gdyby Jeff tonął, a ty... ty stałbyś na brzegu... to przecież odruchowo wskoczyłbyś po niego do wody, prawda? Uratowałbyś go. Tylko o to cię proszę. Uratuj go, Doug. Proszę cię, uratuj go, proszę cię, pro...

— Ale dlaczego ja? — spytał żałośnie King. — Dlatego że

zadalem sobie trud i nauczyłem się pływać? Dlaczego nie nauczyłeś się pływać Reynolds? Z jakiej racji miałby do mnie przyjść i poprosić: „Uratuj mi syna! Ja nigdy nie zadbałem o to, żeby nauczyć się pływać”?

— Winisz Reynoldsa za to, co się stało?

— Nie pleć głupstw. Jak mogę go za to winić?

— No, to za co? Za to, że jest szoferem? Że nie ma pięciuset tysięcy dolarów?

— Owszem, ja mam pięćset tysięcy, ale nie zdobyłem ich siedząc z założonymi rękami. Więc gdzie tu sprawiedliwość? Zapracowałem ciężko na wszystko, co kiedykolwiek...

— Reynolds też ciężko pracował!

— W takim razie nie dość ciężko! Nie aż tak ciężko! Gdyby tak właśnie pracował, nie musiałbym płacić okupu za jego syna! To niezgula, Diano. A wszystkie niezguly chcą mieć coś za nic. Główną wygraną! To wspaniały kraj programów quizowych, w których płacą tysiące dolarów za bezużyteczne wiadomości! Chcesz milion dolarów? Jasne, że chcesz, no to idź i go wygraj! Bzdura! Idź i zarób go! Haruj jak bydlę, aż ci ręce...

— Przestań, przestań — powiedziała Diana.

— A co mi mówi Reynolds? Mówi: „Pomóż mi, jestem bezradny”. A ja nie chcę pomóc. Chcę pomóc wyłącznie sobie.

— Nie mówisz tego poważnie — powiedziała Diana, wypuszczając jego dłonie. — Nie możesz.

— Mówię jak najpoważniej. Czy nie przyszło ci do głowy, że ja również jestem już zmęczony, Diano? Że też chciałbym sobie posiedzieć?!

— Nie wiem, co mam myśleć. Przestałam cię rozumieć.

— Nie musisz. Wystarczy, jeśli będziesz rozumiała, że walczę o swoje życie.

— No, a co z życiem Jeffa? — spytała, nagie podnosząc się z podłogi. — Chcesz, żeby go zabili?

— Oczywiście, że nie chcę! — krzyknął.

— Nie krzycz na mnie, Doug! Zabiją go. Wiesz, że go zabiją!

— Nie wiem! To nie mój kłopot. Nie mam nic wspólnego z tym chłopcem. To nie mój syn!

— Porwano go z powodu twojego syna! — krzyknęła Diana.

— Bardzo mi przykro, ale to nie moja...

— Wcale ci nie przykro! Nie obchodzi cię, co z nim zrobią. Mój Boże, guzik cię obchodzi, co się stanie z tym...

— To nieprawda, Diano. Wiesz przecież, że ja...

— Wszystko jedno, ale co się stało z tobą? — spytała. — W kogo się zmieniłeś? Gdzie się podział Douglas King?

— Nie wiem, o czym...

— Może nie powinnam była biernie patrzeć na to, przez tyle lat nie kiwnąwszy palcem. Tak, przebijales się, moj Boże, jakże ty się przebijales w zyciu, a ja wmawialam sobie, że to wspaniala, pozadzana cecha. Oto prawdziwy mężczyzna, mówiłam sobie, mężczyzna, którego kocham. Nawet kiedy zrozumiałam, jak postępujesz z ludźmi, usprawiedliwiałam cię, mówiąc sobie, że taki już jesteś. Przekonywałam siebie, że nie jesteś okrutny, bezwzględny i...

— A co to wszystko ma wspólnego z bezwzględnością? Czy instynkt samozachowawczy nie jest ważniejszy od...

— Milcz i wysłuchaj mnie! — przerwała mu Diana. — Tyle lat, Boże, tyle lat, i do tego doszedłeś! Do tego!!! Przyglądałam się, jak rozprawiasz się z Di Angelo, żeby zostać kierownikiem królestwa, przyglądałam się, jak wykańczasz pół tuzina ludzi w tej fabryce, żeby wleźć na szczyt, przyglądałam się, jak niszczysz Robinsona, i byłam gotowa patrzeć na tę transakcję w Bostonie wiedząc, że wysadzisz z siodeł Starego, Benjamina, a wielu innych wywalisz na bruk! Podaliby się do dymisji, Doug? Pozwoliłbyś im na złożenie rezygnacji? O mój Boże!

Ukryła twarz w dłoniach, nie chcąc się rozpłakać, nie chcąc okazać choćby najmniejszej oznaki słabości.

— To zupełnie inna sprawa — powiedział King.

— Nie, to jedna i ta sama przeklęta sprawa! Według tej samej sztancy. Wciąż i wciąż od nowa. Ty już w ogóle przestałeś się liczyć z ludźmi, prawda? Nie obchodzi cię już nic oprócz siebie samego!

— To nieprawda, Diano! Przecież wiesz. Czy nie dawałem ci wszystkiego, czego zażądałeś? Czy nie byłem dobrym ojcem dla Bobby'ego? Dobrym mężem dla...

— A co ty w ogóle kiedykolwiek dałeś mnie i Bobby'emu?

Dach nad głową? Jedzenie? Błyskotki? Co ty w ogóle z siebie dałeś, Doug?! Kiedy to znaczyłam dla ciebie więcej niż twoje interesy? Czy jestem dla ciebie czymś więcej niż dobrą partnerką do łóżka?

— Diano...

— Bądź wobec siebie szczerzy! Powiedziałeś, że to przedsiębiorstwo jest twoim życiem, i rzeczywiście tak myślisz! Cała reszta guzik cię obchodzi! A teraz jesteś gotów zamordować tego chłopca! Po tylu latach doszedłeś do samego końca! Jesteś gotów zamordować niewinnego małego chłopca!

— Zamordować, zamordować — rzucasz tym słowem, jakby...

— Bo to jest morderstwo! Nic innego! Nazywaj to sobie jak chcesz, ale to jest morderstwo! Szykujesz się do niego, ale tym razem ja nie będę na to patrzeć!

— Co masz na myśli? Co chcesz przez to powiedzieć?

— Mam na myśli tylko jedno, Doug. To, że zapłacisz porywaczom.

— Nie. Nie zapłacę, Diano. Nie mogę.

— Możesz, Doug, i zapłacisz. Bo w przeciwnym razie będziesz musiał wybrać pomiędzy swoimi interesami i czymś jeszcze oprócz życia Jeffa.

— Czym?

— Jeżeli im nie zapłacisz, odejdę.

— Odej...

— Zabieram Bobby'ego i wyprowadzam się z tego domu.

— No nie, Diano, ty nie wiesz, co mówisz. Ty...

— Wiem dobrze, co mówię, Doug. Zapłać tym ludziom, bo jeżeli nie zapłacisz, to nie chcę mieć z tobą nic wspólnego. Nie chcę mieć nic wspólnego z czymś, co się stało plugawe i wstrętne.

— Diano...

— Plugawe i wstrętne — powtórzyła. — Jak te maszyny w twojej fabryce. Obrośnięte brudem...

— Kochanie, kochanie — powiedział i wyciągnął do niej rękę.

— Nie możesz...

— Zostaw mnie! — krzyknęła i wyrwała się mu. — Nie tym razem, Doug! Tym razem nie zaciągniesz mnie do łóżka i w ten

sposób wszystko naprawisz. Nie chcę, żebyś mnie dotykał. Tym razem popełniasz morderstwo, a ja mam tego... potąd!

— Nie zapłacę — powtórzył. — Nie możesz mnie o to prosić.

— Ja cię nie proszę, Doug — odparła chłodno. — Ja cię tylko ostrzegam. Kiedy oni zadzwonią jutro rano, radzę ci, żebyś miał dla nich pieniądze. Radzę ci je mieć gotowe i czekać na ich instrukcje. Radzę ci, Doug.

— Nie dam im pieniędzy — odrzekł. — Diano, ja nie mogę im zapłacić. O to nie możesz mnie prosić.

Ale jego żona już wyszła z salonu.

Rozdział dziesiąty

Ranek.

Miasto drzemie. Przenikliwy chłód aż prosi się o spanie do późna. Ciemność, która towarzyszy mu za oknem, czyni z łóżka ciepłutkie schronienie. Podłogi w tym mieście są zimne i nikomu nie pilno dotknąć ich gołymi stopami.

Budziki rozzwaniają się, gdy wciąż jest ciemno. Na razie ani widu słońca. Gwiazdy zaczynają czmychać z nocnego sklepienia nieba, ale po jego wschodniej stronie, na horyzoncie nie świecą najmniejsze iskierki ciepła. Ranek wypełniają ciemności, a budziki przeszywają pomrokę terkotem dzwonek i wytrwałym buczeniem, swoją mechaniczną regulowaną muzyką: „Dzień dobry, Ameryko, pora wstawać”.

„Pal to diabli!” Ręce sięgają, by uciszyć nieustannie czuwające głosy czasu. „Pal to diabli!” Ramię zawija się w ciepły koc, ciało dotyka ciała.

„George, czas wstawać!”

„Mrrmmbbb”.

„George, kochanie, czas wstawać!”

George'owie z tego miasta wysuwają się spod koców, zostawiają ciepłe łona małżeńskich łóż, palcami dotykają lodowatych podłóg. George'owie z tego miasta trzęsą się i szybko ubierają, a woda z kranu (bez różnicy, zimna czy ciepła) zda się płynąć wprost z lodowatego górskiego strumienia. Golenie to katorga. Światło w łazience jarzy się dziwnym zimnym blaskiem. Żona i dzieci jeszcze śpię — jest coś sprzecznego z naturę w fakcie, iż jest się jedyną rozbudzoną osobą w mieszkaniu, jednym z miliona George'ów, którzy już nie śpią w tym mieście, dokonując porannej toalety. W domu jest nadal zimno, ale zaczynają już pohukiwać kaloryfery, a wkrótce zasyczy para i rozejdzie się przejmujący zapach ciepła. W kuchni zaczyna wrzeć kawa, a jej wspaniały aromat już niedługo zawładnie mieszkaniem. Teraz nawet woda z kranu wydaje się cieplejsza. Ale najlepsze ze wszystkiego to, że wstaje

słońce.

Wstaje bez kłopotów. Śmiało spogląda ponad krawędzią nocy, w aureoli, która unosi czaszę nieba i szybko ją odpycha, złote kolce promieni kłują granat nieboskłonu, pomarańczowa ognistość śmiało przepędza noc i dźwiga się, dźwiga jak nagle wstający olbrzym. Słońce dotyka nieba na wschodzie, zniecka obrysowuje na żółto domy, ozłaca rzekę Harb, zalewa ciepłem ulice. Nie zna kłopotów, nie zna przeszkód, po prostu wstaje, po prostu świeci. „Dzień dobry, Ameryko, pora wstawać”.

Neonowe latarnie mrugają, oślepięone przemożną potęgą słońca. W pustych kanionach miejskich ulic monotennie migają światła sygnałowe. Nie ma ruchu; kolory czerwony i zielony nic nie znaczą. Brakuje przechodniów reagujących na „idź” i „stój”. Czerwone i zielone błyski. Pojedyncze gorące oko słońca odbija się w szklanych źrenicach ulicznych światel sygnałowych, zapala okna wysokich budynków, tak że błyszczą od wschodu setkami rozpalonych blasków.

Po chodniku, stukając laską, idzie ślepiec.

Rzeka ożywia się. Georgowie z tej rzeki budzą się, by wachać zapachy słonej wody i smażonego bekonu. Z łukowatych nabrzeży zewsząd dobiegają gwizdki. Na okręcie wojennym z głośników rozbrzmiewa pobudka.

Gasną uliczne latarnie.

Świeci już tylko słońce.

Posterunkowy kontynuuje cichy obchód, naciska klamki magazynów, nachyla się ku oszklonym drzwiom i zagląda do wnętrz sklepów. Patrzy na zegarek. Za kwadrans szósta. Za kilka godzin zmienią go na posterunku.

Noc była długa i zimna.

Lecz już nastał ranek.

Diana pakowała się w milczeniu w skąpanej słońcem sypialni. Pyłki kurzu wspinały się po snopie słonecznego światła, obrysowując jej postać, kiedy metodycznie zapełniała torbę podróżną. Zwinięta na szezlongu stojącym przy łóżku Liza

Bellew przyglądała się jej, popijając małymi łykami kawę.

— Tak wcześnie na nogach nie byłam od tamtego ranka, kiedy w akademiku chłopcy zrobili nalot na nasze figi — powiedziała Liza.

— Pamiętam — odparła Diana.

— Gdzieżeś ty, płomienna młodości? W akademiku chłopcy zrobili nalot na figi, za to Harold robi naloty wyłącznie na naszą lodówkę.

— Wszyscy w końcu kiedyś dorastamy, Lizo — powiedziała Diana. Otworzyła szufladę w komodzie, wyjęła stos halek i przeniosła je na łóżko.

— Naprawdę? — spytała Liza. — A kiedy ty dorosniesz, kochana? Dla mnie to wielka dziecinada.

— Tak?

— A tak. Chyba że korci cię samobójstwo. — Liza skrzywiła się i łyknęła kawy. — Zawsze miałam cię za trzeźwo myślącą dziewczynę. A teraz żądasz od Douga, żeby zrujnował siebie i ciebie przy okazji. To bez sensu.

— Bez sensu?

— Tak. — Liza zmarszczyła brwi. — Może byś tak przestała powtarzać końcówki moich zdań i zamieniać je w pytania. To brzmi jak naśladowanie Hemingwaya.

— Przepraszam. — Diana wygładziła halkę, złożyła ją i schowała do torby. — Przypuśćmy, że porwano by któreś z twoich dzieci, Lizo, co wtedy?

— Odcięłabym sobie rękę, żeby je uratować — odparła bez wahania Liza.

— A gdyby to był mój syn, Bobby, a oni zażądałiby pieniędzy od ciebie?

Liza pociągnęła długi łyk kawy. Było jeszcze bardzo wcześnie, więc się jeszcze nie umalowała, ale i bez makijażu była piękna, a spojrzenie miała bystre.

— Kocham cię jak siostrę — odparła. — Zawsze cię kochałam, i to nie tylko z powodu wspólnych wspomnień z uczelni. Ale nie jestem pewna, czy oddałabym pięćset tysięcy, żeby uratować twojego syna. Zwyczajnie nie wiem, Diano. A jeżeli to jest świństwo, to trudno, niech będzie.

— Zaskakujesz mnie — powiedziała Diana.

— Dlaczego? Bo też jestem matką? Tak, ale tylko matką trójki małych potworków, które roznoszą mi dom na wzgórzu. Nie, jestem matką całej ludzkości, dzięki Bogu. — Liza zamilkła. — Trzy ciężce mi wystarczą.

Przez jakiś czas milczały. Liza dopiła kawę i odstawiła pustą filiżankę. Diana wciąż się pakowała.

— To ładnie, że zaproponowałaś mi, żebym zatrzymała si^u was, Lizo — powiedziała.

— Bynajmniej — odparła serdecznie Liza. — Ale jeżeli Doug spyta mnie, co sądzę o tym wszystkim, to powiem mu całkiem szczerze, że ci odbiło.

— Nie musisz mówić. On właśnie tak myśli.

— Jesteś pewna, że odchodzisz z powodu tego porwania? — zapytała Liza. — Nie z innego? Rozmawiasz z cicią Lizką, kochanie, więc nie bój się... — Urwała. — Jest nadal dobry w łóżku?

— Tak, bardzo dobry.

— Więc co z tobą jest, do diabła? Rozpakuj tę torbę, zejdź na dół i pocałuj go, na miłość boską.

— Lizo, przez szesnaście godzin na dobę jego nie ma w łóżku — odparła chłodno Diana.

— Kochanie, nie możemy być zachłanne — powiedziała Liza, unosząc brew.

— Nie żartuj, Lizo, proszę cię. Mnie to nie bawi.

— Przepraszam.

— W nocy trzy razy pukał do drzwi — powiedziała Diana. — Za trzecim miałam wrażenie, że chyba płacze. Wyobrażasz sobie Douga płaczącego? — Zamilkła. — Za nic nie otworzyłabym mu drzwi. Musi wiedzieć, że ja nie żartuję. Musi wiedzieć, że jeżeli nie zapłaci tego okupu, odejde.

— A może byś tak od razu zażądała od niego, żeby palnął sobie w łeb? — zapytała Liza.

— Proszę go tylko, aby zrobił to, co na jego miejscu zrobiłby każdy człowiek.

— Kiedy mówisz o magnatach przemysłowych, to nie wspominaj o ludziach — powiedziała Liza. — Magnaci to

osobny gatunek.

— W takim razie nie chcę mieć nic wspólnego z magnatem przemysłowym. Jeżeli w życiu liczą się tylko pieniądze i władza...

— To tylko skromna część cech magnata — powiedziała Liza.
— Magnackość to choroba. My, laicy, nazywamy takich wiercickimi. Tacy jak Doug i Harold nie usiedzą w miejscu, nawet gdyby ich przybić do krzesel. Muszą być w ruchu, coś robić. Skazać ich na bezczynność to tyle, co wypuścić z nich krew.

— Czy magnackość obejmuje także zanik litości i współczucia wobec bliźnich? — spytała Diana. — Tak, Lizo?

Ktoś zapukał do drzwi sypialni.

— Kto tam? — spytała Diana.

— To ja. Pete.

— Otworzysz, Lizo?

Liza Bellew przeciągnęła się wstając z szezlonga i podeszła do drzwi.

— Dzień dobry — powiedziała otwierając je.

Cameron spojrzał na nią zaskoczony.

— Nie spodziewałem się tu ciebie — rzekł. — Do głowy mi nie przyszło, że szanowna pani tak wcześnie wstaje.

— Zawsze wstaję wcześnie — odparła Liza. — I zawsze rześka. Jak się spało, panie Cameron?

— Dobrze, pani Bellew. Zważywszy okoliczności.

— A więc jeszcze dochrapałeś się statusu magnata. Kiedy go osiągniesz, też będziesz nocami układał plany.

Cameron uśmiechnął się.

— Wszystkie plany układałem w dzień, Lizo — odparł.

— Mhm, na pewno — odparła. — A najskuteczniej pracujesz w nocy.

Popatrzyli sobie w oczy. Pakująca się Diana chyba tego nie zauważyła.

— Co cię sprowadza do damskiego buduaru? — spytała Liza.

— Pewien kłopot. Mam w kieszeni czek Douga, Diano. Co mam zrobić? Pojechać z nim do Bostonu? Czy podrzeć?

— Musisz jego o to zapytać.

— Powiniennem podrzeć — rzekł Cameron. — Doug zapłaci ten okup. Jestem pewien.

— A skąd masz taką pewność?

— Musi zapłacić, nie rozumiesz?

— Niestety, nie.

— No więc, powiedzmy, że jadę do Bostonu sfinalizować tę transakcję. Douglas King zdobywa władzę w Obuwia Grangera. Ale gazety obsmarowują go stąd aż do Chin i z powrotem. Douglas King, obecny szef Obuwia Grangera, to człowiek, który odmówił uratowania życia małego chłopca, napiszą. A taka reklama zrujnuje go! Myślicie, że ktoś kupiłby buty od Grangera po czymś takim?

— Nie, na pewno. O tym nie pomyślałam.

— Oczywiście — zapewnił Cameron. — I bądź pewna, że Doug rozważy w tej chwili tę stronę sprawy. Dlatego jestem przekonany, że zapłaci.

— Gdyby to był jedyny powód zapłacenia... — zaczęła mówić Diana.

— O której mają zadzwonić? — przerwała jej Liza.

— Porywacze? Nie powiedzieli.

Liza potrząsnęła głową.

— A kiedy zadzwonią, to zadadzą to najdroższe pytanie. Uważam, że już bardziej humanitarne są quizy telewizyjne, a ty? Tam przynajmniej zostawiają człowiekowi tydzień na decyzję.

Pod drzwiami sypialni ktoś zakaszłał. Cała trójka obrociła się. W progu stał Douglas King w piżamie i szlafroku. Był nieogolony, miał zaczerwienione oczy, ale z jego postawy była zimna, nieubłagana stanowczość. Stał w drzwiach jak raptem zmaterializowane widmo. Kaszlnął jeszcze raz, ale nie odezwał się, a tylko stał i patrzył.

— Dzień dobry, Doug — powiedział Cameron. — Dobrze spałeś?

— Nie, nie spałem dobrze.

— Boże, wyglądasz fatalnie — powiedziała Liza.

— Tak jak powiniennem, nie wiesz o tym? Gryzą mnie moje grzechy. Jestem okrutnym, pozbawionym serca draniem. —

King zamilkł. — A co ty tu robisz o tej porze?

— Wczoraj wieczorem zadzwoniłam do niej — wyjaśniła Diana. — Zabieram tam Bobby'ego.

— Wszystko gotowe na wielką scenę z tonącym okrętem, co? Kobiety i dzieci najpierw. — King obrócił się do Camerona. — Kiedy wreszcie wyjedziesz, Pete?

— Słucham?

— Pytam, kiedy wyjedziesz?

— Właściwie... nie wiem.

— Co to znaczy, nie wiesz? Jakim samolotem lecisz?

— Nie zrobiłem rezerwacji — odparł Cameron.

— Dlaczego?

— Myślałem...

— Ty nie jesteś od myślenia. Kazałem ci zarezerwować biiet? Dałem ci czek, żebyś go dostarczył?

— Tak, ale... Nie wiedziałem, że nadal chcesz, żebym to zrobił.

— Nic się nie zmieniło. Zejdź na dół i zadzwoń na lotnisko.

Cameron skinął głową i wyszedł z sypialni.

— Najlepiej zrobię, jeżeli dokończę pakowania, Lizo — powiedziała z rezygnacją Diana.

King przyglądał się jej przez chwilę, a potem opuścił sypialnię i zszedł na dół. Cameron rozmawiał już przez telefon.

— Z liniami Eastern, proszę. Halo? Chciałbym zarezerwować miejsce w najbliższym samolocie do Bostonu. Rannym. — Cameron zamilkł. — Tak. Dziś rano. Zaczekam. — Przykrył dłonią mikrofon słuchawki i obrócił się do Kinga. — Sprawdzają, Doug — wyjaśnił.

— Powinieneś był załatwić to wczoraj wieczorem.

— Dopuszczasz, żeby zabili tego chłopca, Doug? — spytał Cameron.

King otworzył usta, gotów mu odpowiedzieć, ale Cameron znów obrócił się do telefonu.

— Halo? Tak? O dwunastej? Chwileczkę. — Ponownie zakrył dłonią mikrofon. — Najbliższy lot jest o dwunastej. Na inne brak miejsc.

— Zarezerwuj bilet — powiedział King.

— Dobrze, proszę mnie wpisać na listę — rzekł Cameron do

słuchawki. — Pete Cameron. C jak Charlie, a-em- -e-er-o-en. Cameron. Mam kartę kredytową, czy byłaby pani uprzejma... Tak, wystawioną na Obuwie Grangera... Tak, Granger przez „g”... O której zgłosić się na lot?... Dobrze, dziękuję. — Cameron odłożył słuchawkę i stanął twarzą do Kinga. — W porządku, właśnie odrąbaliśmy głowę Jeffowi Reynoldsowi.

— Przestań.

— Przecież to prawda.

— Powiedziałem przestań!

— Zabijasz ośmioletniego chłopca, może nie?

— Tak, tak, zabijam ośmioletniego chłopca. Jesteś zadowolony? Piję krew dzieci. Nie podoba ci się moje postępowanie? Jeżeli nie, to pakuj się razem z resztą i wynoś się do diabła!

— Zaraz, zaraz, Doug. Nie masz powodu...

— Nie potrzebuję powodów do niczego! Jestem zwyczajną bezwzględną, obrośniętą brudem maszyną, a jeżeli nie odpowiada ci mój zapach, to możesz odejść z całą resztą!

— Wyrażasz się bardzo jasno.

— A pewnie, wyrażam się cholernie jasno. Więc się decyduj.

— A jednak, moim zdaniem, to morderstwo — odparł Cameron.

— W porządku. Skoro tak myślisz, to dobrze. Nie potrzebuję przy sobie ludzi, którzy...

— Doug, posłuchaj. Jeżeli nasza przyjaźń cokolwiek dla ciebie znaczyła, to wysłuchaj mnie, na miłość boską! Odsuść sobie tę transakcję! Uratuj chłopca. To mały, bezbronny dzieciak! Nie możesz tak po prostu...

— A od kiedy to ty tak kochasz małe, bezbronne dzieci?

— Och, Doug, wszyscy kochają dzieci! Mój Boże, przecież nie możesz być aż takim...

— A zwłaszcza Pete Cameron, co? Wielki miłośnik dzieci. Nie rozumiesz, że ta bostońska transakcja przyniesie korzyść także tobie? Z pewnością o tym wiesz, Pete. Czyżby moja bezlitosna przenikliwość nie udzieliła ci się przez tyle lat współpracy?

— Jasne, że rozumiem. Ale...

— Ale to nieważne, co? Za bardzo kochasz dzieci, prawda?

Kochasz tego smarkacza Jeffa Reynoldsa tak bardzo, że twoja kariera się nie liczy. Wiesz, to ciekawe. A nawet bardzo ciekawe.

— Ja nie twierdzę, że jest dla mnie ważniejszy od mojej kariery, Doug. Twierdzę...

— No, co takiego twierdzisz, do jasnej cholery! — krzyknął King i w salonie zrobiło się cicho.

— Twierdzę...

— No?!

— Twierdzę, że życie chłopca jest ważne.

— Ważniejsze niż ta transakcja, tak?

— Nie, nie ważniejsze, ale...

— To w końcu ważniejsze czy mniej ważne?

— Skoro tak stawiasz sprawę, to sądzę...

— Jeżeli zapłacę ten okup, to transakcja upadnie na zbity pysk. A więc chcesz, żeby do niej doszło, czy nie? O co chodzi, Pete? Pierwszy raz widzę, żeby ci zabrakło języka w gębie. Przeraza cię morderstwo?

— Nie, nie, tylko że...

— Chcesz, czy nie chcesz, żeby ta transakcja upadła z braku forsy? Odpowiedz.

— Nie, nie chcę — odparł Cameron.

— To dlaczego tak bardzo obchodzi cię los Jeffa Reynoldsa? Kiedy obudził się w tobie ojcowski instynkt? Ciekawe, od kiedy jesteś takim wzorowym tatusiem?

— To z powodu tego chłopca — powiedział Cameron. — Jak możemy przyglądać się beczynnemu i pozwolić, żeby to małe, bezbronne...

— Jeżeli jeszcze raz poczęstujesz mnie tą bzdurą o małym, bezbronnym dziecku, to się porzygam! O co chodzi, Pete? Co się za tym kryje? — King urwał, a oczy błysnęły mu przebiegle.

— Kombinujesz coś na własną rękę? O to chodzi?

— Co? Ja? Coś na... Ja?

— No tak — powiedział King i z zimnym uśmiechem zbliżył się do Camerona. — No tak! Ciepło, ciepło, co?

Ciepło...

— Doug, nie pleć głupstw.

— Po co dzwoniłeś wczoraj do Benjamin? Daruj sobie tę bujdzę o Far Eastern Brocade! Co z nim planujesz?

— Ja? Nic. Nie bądź śmieszny, Doug. Z Benjaminem nie planowałbym niczego.

— Az kim?

— Z nikim. — Cameron zaśmiał się niepewnie. — Z nikim, Doug.

— Powiedziałeś Benjaminowi o bostońskiej transakcji?

— Bostońskiej? Skądże. Nie.

— No to po co do niego dzwoniłeś?

— W sprawie dostaw dla Far Eastern Brocade. Już ci mówiłem. W sprawie rozmów handlowych...

— Mógł to załatwić twój sekretarz! Dlaczego osobiście dzwoniłeś do Benjamin?

— Chciałem... chciałem to załatwić sam. Pomyślałem, że poczuje się urażony, jeżeli...

— Tak? Mów, mów.

— Pomyślałem... że poczuje się urażony, to wszystko.

King przez kilka długich sekund przyglądał się swojemu zastępcy. A potem podszedł do telefonu i zaczął wykręcać numer.

— Co robisz? — spytał Cameron.

King nie odpowiedział. Ze słuchawką przy uchu stał na przeciwko niego i czekał.

— Rezydencja Benjaminów — usłyszał głos.

— Chcę mówić z panem Benjaminem — powiedział.

— Kto mówi?

— Douglas King.

— Chwileczkę, panie King.

— Po co do niego dzwonicz? — spytał Cameron. — Mówiłem ci przecież...

— Halo? — rozległ się w słuchawce głos.

— George? — odezwał się miłym tonem King. — Mówi Doug.

— O co chodzi, Doug?

— Jak się masz, George?

— Dobrze. Trochę za wcześnie—nie sądzisz? — na wymianę...

— George, wiele myślałem o twojej propozycji — przerwał

mu King, wpatrując się w Camerona, który usiadł niepewnie na brzegu fotela.

— Myślałeś? — spytał Benjamin.

— Tak. Wydaje mi się nie najgorsza.

— Tak? — odparł zadowolony z siebie Benjamin. — No, no, no.

— Myślę, że mógłbym się do was przyłączyć, George.

— O, mógłbyś?

— Tak, w końcu muszę myśleć nie tylko o sobie. Jest bardzo wiele osób, które całe lata wiernie mi służyły. Dla nich byłaby to poza tym duża sprawa.

— Jesteś taki dobry i miłosierny, Doug.

— Cóż, wiem, że wczoraj zachowałem się nieładnie, ale, tak jak mówię, wiele przemyślałem. Odrzucenie twojej propozycji byłoby nieuczciwe wobec moich współpracowników.

— Powinieneś był to przemyśleć trochę wcześniej, Doug — odparł triumfalnie Benjamin. — Powinieneś był to przemyśleć, zanim to porwanie przekreśliło ci transakcję w Bostonie.

Mina Kinga zmieniła się. Przyglądając się uważnie Cameronowi, rozciągnął usta w wąską cienką linię, a jego spojrzenie nagle zlodowaciało.

— Transakcję w Bostonie? — powtórzył.

Cameron zamarł.

— Tak, tak. Wiem o niej wszystko, więc nie strugaj niewiniątka — odparł Benjamin.

— No, to było po prostu...

— To było coś, co przypadkiem nie wyszło! No i wielka szkoda, panie King, zagrał pan wprawdzie w karty, ale zawałił rozgrywkę. Wycofuję swoją propozycję. Prawdę mówiąc, możesz zacząć szukać pracy. Będziesz jej potrzebował, jak tylko zwołamy zebranie zarządu.

— Rozumiem — powiedział cicho King.

— Mam nadzieję.

— Wiem, kiedy nie mam wyjścia, George. Ale liczę na to, że nie wpłynie to na twój stosunek do moich bliskich współpracowników. Wierz mi, Pete nie miał pojęcia o moich planach. Bardzo nie chciałbym, żeby płacił za moje błędy. To

dobry pracownik, George, i inteligentny.

— Nie martw się o Pete'a! — odparł ze śmiechem Benjamin.

— Zajmiemy się nim.

— Ale go nie wyrzucisz?

— Wyrzucę?! — Benjamin zaśmiał się jeszcze głośniej. — Wyrzucę, jego?! Wyrzucę twojego zaufanego, lojalnego zastępcę? Żartujesz, Doug. — Śmiech zamilkł. — Pozwolisz, że zakończę rozmowę, jestem spóźniony na golfa. Żegnaj, Doug.

W słuchawce trzasnęło. King wolno ją odłożył.

— Ty skurwysynu! — powiedział do Camerona.

— Słucham.

— Powiedziałeś mi o Bostonie.

— Tak.

— Wygadałeś mi wszystko.

— Tak.

— Wszystko, ty sukinsynu!

— Tak, tak! — potwierdził Cameron wstając z fotela i nie mając już nic do stracenia wybuchnął mściwie: — Tak, powiedziałem mi wszystko! A ty wylecisz! Wylecisz!

— O, a więc o tym myślisz, kochaneczku!

— Ja to wiem, kochaneczku. Benjamin pozyskał dla swojej grupy Starego. Pan wylatuje, panie King, a ja odwrotnie. Ja! Przyjrzyj mi się dobrze. Ja!!!

— Przyglądam ci się, sukinsynu!

— Patrz długo i bardzo uważnie! Bo następnym razem spojrzysz z samego dołu!

— Patrzę! Patrzę, ty podły...

— Nie podlejszy od ciebie, koleżko. Uczyłem się w twojej szkole. Myślałeś, że już zawsze będę ci się kłaniał i potakiwał? Myślałeś, że Pete Cameron już do Końca życia będzie pomagierem pomywacza butelek? Nie ja, przyjacielu. Nauczyłem się. Nauczyłem się szybko!

— Jasne, że się nauczyłeś! Powinienem cię udusić, draniu!

— A to dlaczego? Co widzisz, Doug? Siebie? Siebie dziesięć lat temu?

— Siebie dziesięć...

— Przyjrzyj mi się lepiej. Ja nie jestem tym, kim byłeś ty

dziesięć lat temu. Ja jestem tobą, ale jutro! Bo ty jutro wylądujesz w rynsztoku. Ty wylecisz, a ja zajmę twoje miejsce. Jutro!

— Nie zajmiesz, jeżeli załatwię transakcję w Bostonie!

— Nie odważysz się zabić tego chłopca!

— Nie? Ale ciebie na to stać, co, Pete? Więc dlaczego nie mnie? Jesteśmy jak dwie krople wody, no nie? Ta sama szkoła, prawda? Bracia złączeni przysięgą krwi, tak? Obaj skurwysyny, mam rację?

Nagle schwycił Camerona za klapy garnituru i pchnął go przez pokój.

— Won z mojego domu! — krzyknął.

— Z przyjemnością, panie...

— Won! Wynoś się!

Cameron podszedł do szafy i szybko zdjął z wieszaka płaszcz. Sięgnął do kieszeni spodni, wyjął czek Kinga, zmiażdżył go w kulkę i rzucił przez pokój.

— Wynoś się! — wrzasnął King. — Wynoś się, wynoś, wynoś!

Kiedy krzyczał, za Cameronem zatrzasnęły się drzwi, on jednak ciągle powtarzał:

— Wynoś się, won, won!!!

Rozdział jedenasty

Chłopiec marzył.

Kathy dała mu płaszcz, ale i tak skarżył się na zimno w tym pełnym przeciągów domu. Chciał się napić kakao, czegoś gorącego, ale mieli tylko kawę i skondensowane mleko. Kiedy słońce zabarwiło brzaskiem zimowe niebo, usiadł na brzegu kanapy, wyraźnie się trzęsąc i dusząc w sobie płacz.

Przy aparaturze radiowej spoczywały dwa rozłożone plany miasta, które jej towarzysze umiejscowili tak, żeby łatwo było na nie patrzeć i odczytywać. Pierwszy plan był szczegółową mapą Isoli, ze Smoke Rise, z zaznaczoną czerwonym ołówkiem posiadłością Kinga. Czerwona kręta linia biegła ulicami, podążając przez miasto do Black Span Rock. Przekroczywszy most, wpadała na autostradę przecinającą Sands Spit, przechodziła przez punkt o- znaczony niebieską gwiazdą i docierała do samego koniuszka półwyspu. Wiła się bez celu nie bardzo wiadomo dokąd. Ze Smoke Rise pędziła kapryśnie, potem prosto jak strzała śmigająca przez most po to tylko, żeby po dotarciu do autostrady w Sands Spit znowu podjąć swój kapryśny bieg. Tocząc się dalej jak pijana, mijała miejsce oznaczone niebieską gwiazdką i prostowała się spiesząc zdecydowanie w stronę oceanu. Nie bez znaczenia było może to, iż szerokim łukiem omijała kropkę opatrzoną napisem „Farma”.

Trzymając w ramionach dygoczącego chłopca Kathy próbowała powiązać w sensowną całość plany miasta z aparaturą radiową i podsłuchanymi urywkami rozmów Sya z mężem. Wiedziała, że aparatura odgrywa w ich planie kluczową rolę, ale nie mogła pojąć, w jaki sposób chcą ją wykorzystać. Plany też były ważne, jednak i w tym przypadku nie potrafiła w żaden sposób znaleźć związku pomiędzy radiem a rozłożonymi przed nim mapami. Aparatura radiowa składała się ze wspomnianych przez Sya oscylatorów i nadajnika, a nadto mikrofonu oraz tarczy z numerami, i mało przypominała jakikolwiek znany jej sprzęt radiowy.

Z rozmowy mężczyzn wynikało, że zanosi się na kolejny telefon do Kinga, tym razem po to, by upewnić się, czy ma pieniądze, i przekazać mu wskazówki, jak i gdzie ma je dostarczyć. Kathy wiedziała więc, że Sy ma wyjechać z domu samochodem, a Eddie zostać. Lecz nic ponadto.

Mocno tuliła w ramionach rozdygotanego chłopca i zastanawiała się po raz może pięćdziesiąty, jak to możliwe, żeby jej ukochany wplątał się w zbrodnię, którą uważała za haniebną. Słowo „haniebna” nie przyszło jej na myśl, bo w ogóle go nie znała. Porywanie dzieci było jednak dla niej czymś niewymownie strasznym, prawie nieludzkim, więc zastanawiała się, co takiego siedzi w Eddie’ m, jaki popęd, co za żądza pieniędzy, potrzeba sprawdzenia się. że posunął się aż do takiej skończonej niktzemności. Była to oczywiście jej wina. Zrozumiała to natychmiast. Odgadła to intuicją pokrewną intuicji Kleopatry zatrzymującej Antoniusza, Heleny wszczynającej wojnę trojańską. Sprawami mężczyzn rządziły kobiety. Podpowiedział jej to nieomylny instynkt wszystkich kobiet. Dlatego też, jeśli Eddie wziął udział w porwaniu, a teraz uczestniczył w ostatnich fazach kradzieży dziecka, to część winy za to spadała na nią.

W swojej postawie wobec przestępstwa dostrzegła osobliwą dwutorowość. Zaaprobowała na przykład wczorajszą wyprawę, bo sądziła, że Eddie z Syem jadą obrabować bank. Sam koncept był prawie zabawny. Odegrany przez dobrych aktorów byłby pewnie przednim satyrycznym skeczem. „I ty mi to robisz — skarży się współniczka powracającemu ze skoku aktorowi, który gra rolę gangstera. — Po tym, jak poświęciłam ci swoje najlepsze lata? Idziesz obrabować bank, a zamiast tego przywozisz mi dziecko?” Bardzo śmieszne. Ha, ha! Ale Kathy to nie bawiło, bo w jej przypadku zdarzyło się naprawdę. Wierząc, że Eddie chce obrabować bank, udzieliła mu na to swojego błogosławieństwa. Wobec faktu porwania dziecka nie szczędziła mu jednak swojej pogardy.

Nie mogła też z ręką na sercu powiedzieć, że starała się usilnie odwieść go od przestępstw. Jako podrostek miał kłopoty, trafił do poprawczaka, gdzie pod fachowym

kierunkiem silniejszych i bardziej doświadczonych delikwentów wyuczył się sztuczek, o których mu się nie śniło. Poznała go, gdy miał już dwadzieścia sześć lat, do tego czasu zaś przestępstwa stały się dla Eddiego Folsoma czymś tak nieodrodnym jak własne nerki. Co ją w nim głównie pociągało? Niezależność posunięta do najdalszych granic? Antyspołeczne poglądy, wobec których beatnicy wydawali się członkami angielskiej drużyny krykietowej? Może, ale tak naprawdę nie wierzyła w to.

Eddie Folsom w oczach Kathy Foisom, jego żony, nie był złoczyńcą. Zapewne trudno to zrozumieć, zważywszy należący do naszej kulturowej spuścizny podział na dobrych i złych, wpojony nam wraz z ideałem rycerza bez skazy na białym rumaku, przekonaniem, że tylko złe dziewczyny idą do łóżka, i fetyszycacją rozciętej sukienki jako oznaki wyuzdania. Są ludzie dobrzy i źli, do licha, wszyscy o tym wiemy. Oczywiście. Ale czy złoczyńca w ogóle uważa się za złego? Kiedy gangster ogląda gangstera w filmie, to czy sympatyzuje z policją, czy z Humphreym Bogartem?

Eddie Folsom był przecież mężczyzną.

Krótko i zwyczajnie, co łatwo zrozumieć. Mężczyzną.

M-ę-ż-c-z-y-z-n-ą. Dla Kathy był mężczyzną, kochała go jak mężczyznę i myślała o nim jako o mężczyźnie, który utrzymuje się z kradzieży. Ale to nie czyniło go przecież złoczyńcą. Naturalnie, odróżniała słuszne od niesłusznego, prawo od anarchii, dobro od zła. Ale to nie czyniło przecież jej męża złoczyńcą. Złoczyńcą był sprzedawca u rzeźnika, który przy ważeniu kotletów jagnięcych naciskał kciukiem szalę. Złoczyńcą był taksówkarz, który kiedyś w Filadelfii wydał jej za mało reszty. Złoczyńcami byli ludzie rządzący związkami zawodowymi. Złoczyńcami byli najemni mordercy. Złoczyńcami byli ludzie stojący na czele wielkich koncernów.

Niestety, złoczyńcami byli też dla niej ludzie, którzy planowali i dokonywali porwań dzieci.

I być może właśnie dlatego tak się gryzła postępkami męża. W jeden dzień, w ciągu kilku godzin, Eddie Folsom przestał być dla niej kimś, kto utrzymuje się z kradzieży, i zamienił się

w złoczyńcę. Jeżeli taki był finał, jeżeli ktoś tak sympatyczny, miły i kochający jak Eddie mógł się stać złoczyńcą, to czy nie była to wina jego żony? A jeśli jej wina, to w którym momencie sprzeniewierzyła się ideałowi, kiedy podział na dobrych i złych przestał cokolwiek znaczyć, kiedy uznała, że kradzież to nie przestępstwo? Przecież nie takiego życia pragnęła dla swojego męża.

Czyż nie dlatego właśnie chciała jechać do Meksyku? Żeby Eddie przestał kraść, zajął się radiem, robił z nim to, czego zawsze pragnął, i żeby potrzeby codziennego życia — najzwyczajniejsze, jak jedzenie, ubranie, dach nad głową — można było zaspokoić bezpiecznie i tanio? Obrobienie banku — ostatni duży skok. Dość ukrywania się, dość uciekania. Meksyk — słoneczne ulice, niebo błękitne jak poniedziałkowy ranek. Bezpiecznie. Czyż pragnęła dla siebie i swojego mężczyzny czegoś więcej?

Tuląc do piersi dygoczącego ośmiolatka Kathy Folsom doznawała całkiem nie znanych jej uczuć. Trzymając w ramionach chłopca, który nie był jej dzieckiem, i przysłuchując się pianom, o których szeptali mężczyźni w drugim końcu kuchni, pragnęła już nie tylko bezpieczeństwa. Chciała, żeby powróciło dobro, a zło przepadło. Dygot tego dziecka wyzwolił w niej ukryty gdzieś głęboko instynkt, źródło prastare jak pramatka Ewa. W jednej chwili pojęła, że wymyślony podział na dobrych i złych jest legendą, przeznaczoną, by podnosić człowieka na duchu, nie zaś zwodzić. Pojęła też, gdzie popełniła błąd sprowadzając na swojego męża obecne kłopoty. W Eddie'm było dobro, bardzo dużo dobra. Wyrządziła temu dobru niedźwiedzią przysługę, doraźnie przystając na zło. Miała chęć wypowiedzieć kwestię, którą deklamował każdy złodziej w każdym drugorzędnym melodramacie. Miała chęć wykrzyknąć słowa padające z ust wszystkich filmowych gangsterów, którzy leżą zalani krwią w rynsztoku. Miała chęć wyszlochać słowa, które dobywa z siebie prosty przestępca, będące ostatnią, piorunującą kwestią kończącą film:

— Litości, mam dość.

W filmach złodzieja natychmiast zakuwa się w kajdanki i

zakrwawionego odprowadza do więzienia. Na telewizyjnym ekranie z rozszerzonych oczu przestępca wyziera błaganie: „Mam dość, zlitujcie się. Dajcie mi jeszcze jedną szansę”. A ponury funkcjonariusz policji z Los Angeles pyta: „A ty mu ją dałeś?”

Ale w życiu nie padają takie kwestie.

Kathy Folsom pragnęła, by się nad nią zlitowano, by jej dano jeszcze jedną marną szansę.

A dzięki kobiecej intuicyjnej logice pojęła, że od wyniku tego porwania zależy nie tylko życie Jeffa Reynoldsa, ale życie znacznie większej liczby ludzi.

— Eddie — powiedziała.

— Słucham, kochanie? — spytał, odwracając się od nadajnika.

— Chłopcze wciąż jest zimno.

— I co z tego? — burknął Sy. — Co my tu prowadzimy, jak rany? Przedszkole?

— Musi się napić czegoś gorącego — powiedziała Kathy. — Pojechałbyś coś kupić, Eddie?

— Nigdy przenigdy nie zrozumieję kobiet! — oświadczył zdumiony Sy. — Do najbliższego sklepu jest z dziesięć mil, Bóg jeden wie, ile glin szwenda się po drogach, a ty chcesz go posłać po coś gorącego do picia! Jesteś nie do pobicia, Kathy!

— Pojedziesz, Eddie?

— Nie wiem. To znaczy...

— Przecież jeden z was i tak pojedzie dzwonić — powiedziała.

— A, podsłuchiwała! Rzeczywiście jeden z nas musi wyjechać. Ale jeżeli pojedę ja, to na pewno nie do sklepu spożywczego, żeby kupić coś do podgrzania. — Sy zamilkł — I ty też nie, Eddie. Za duże ryzyko.

— Ryzyko będzie jeszcze większe, jeżeli chłopiec zachoruje — odparła.

— I tak, jak tylko weźmiemy forszę, więcej go nie zobaczymy — powiedział Sy.

— Co chcesz przez to powiedzieć?!

— Nie denerwuj się! Znaczy to, że zostawimy go tutaj. Wy jedziecie do Meksyku, a ja diabli wiedzą dokąd. Więc co z tego,

jeśli zachoruje?

— Zanim go odnajdą, może minąć jakiś czas — odparła Kathy. — Jeżeli zachoruje... jeżeli mu się coś stanie...

— Ma rację, Sy — poparł żonę Eddie. — Po co pogarszać sprawę? Spójrz na chłopca. Trzęsie się.

— Bo się boi.

— Nie boję się — odparł cienkim głosem Jeff.

— Przecież i tak musicie pojechać do sklepu, żeby zadzwonić.

— Owszem, ale...

— Czy nie będzie wyglądać mniej podejrzanie, jeżeli wejdiesz coś kupić, a potem przy okazji zadzwonisz?

Sy przyglądał się jej ze skwaszonym podziwem.

— Niezły pomysł — zawyrokował. — Jak myślisz, Eddie?

— Tak.

— Dobrze. Jak już zadzwonisz, to kup małemu co trzeba.

— To ja mam jechać? — spytał Eddie.

— A czemu nie?

— Nic, nic. Pojadę.

— Wiesz, co robić? Najpierw dowiedz się, czy ma forszę. Potem każ mu wyjechać z domu — Sy spojrział na zegarek — punkt dziesiąta. Każ mu iść prosto do samochodu, cadillaca z tablicami DK-74. Koniecznie to zaznacz, Eddie. Musi pojechać tym samochodem. Jeszcze mógłby użyć thunderbirda żony.

— Dobra — odparł Eddie.

— Więc powiedz mu o cadillacu. Każ mu iść prosto do samochodu i wyjechać ze Smoke Rise. Powiedz mu, że po drodze skontaktuje się z nim ktoś z dalszymi wskazówkami. Koniecznie zaznacz, że ktoś się z nim skontaktuje!

— Kto pojedzie na spotkanie z nim? — spytała Kathy. — Ty?

— Nikt — odparł Sy i uśmiechnął się. — Powiedz, że będziemy śledzili każdy jego krok i że jeżeli pojedzie za nim policja, zabijemy małego. To wszystko. A potem szybko wracaj. Jest dopiero ósma, więc dojazd do sklepu, rozmowa i powrót tutaj nie powinny ci zająć więcej niż czterdzieści minut. Zostanie nam więc sporo czasu.

— Dobra — powiedział Eddie. — Co mam kupić, Kathy?

Podszedł do szafy i nałożył płaszcz.

— Paczkę czekolady do picia i trochę mleka. Weź też jakieś ciastka albo babeczki, co będą mieli.

Podszedł do niej i pocałował w policzek.

— Niedługo wrócę — powiedział.

— Uważaj na siebie.

— Powodzenia, chłopcze — powiedział Sy.

Eddie ruszył do drzwi i przystanął.

— Numer telefonu Kinga — rzekł.

— A, tak. — Sy otworzył portfel i wręczył Eddiemu karteczkę

— Ten? — spytał.

— Tak.

— Odczytasz moje hieroglify?

— Tak.

— Dobra, jedź.

Eddie jeszcze raz podszedł do Kathy, ponownie ucałował ją w policzek, ona zaś powtórzyła „Uważaj na siebie”.

Sy otworzył mu drzwi kluczem i Eddie wyszedł. Usłyszeli jego kroki na żwirze, a potem trzask zamykanych drzwiczek i odgłos ruszającego samochodu. Sy odczekał, aż wóz wyjedzie z podwórza i ucichnie hałas silnika.

Potem zamknął drzwi na klucz, uśmiechnął się i powiedział:

— No, no, więc nareszcie sami.

W pamięci Steve’a Carelli tkwiły wspomnienia, które ciążyły mu w głowie jak kamienie. Były to sprawy związane z policyjną robotą, które zapamiętał na zawsze i które nieustannie czały się mu pod czaszką, czekając na przywołanie, świeże i boleśnie żywe. Wiedział, że jednym z tych wspomnień stanie się obraz Charlesa Reynoldsa rozmawiającego z Douglasem Kingiem. Już w chwili gdy zobaczył szofera, miał ochotę wyjść z salonu, uciec od tej sceny, zanim zarejestruje ją jego podświadomość, zanim dołączy ona do innych przyczajonych widm.

Na zawsze zapamiętał zapach whisky w sklepie monopolowym tej nocy, kiedy prowadził śledztwo w sprawie zabójstwa Annie Boone, szlak z potłuczonych butelek i nieruchome ciało dziewczyny z włosami pływającymi w

alkoholu, przyciśnięte do drewnianej podłogi.

Na zawsze zapamiętał własny wstrząs i zaskoczenie, kiedy stanął naprzeciwko chłopca z pistoletem, chłopca, który — jak święcie wierzył — nie strzeli, nagle zobaczył strugę ognia, usłyszał huk, poczuł wypełniający mu piersi ból i pojął, że chłopak naprawdę nacisnął spust, a potem ziemia rozplynęła mu się przed oczami i zaczął się osuwać, osuwać. Na zawsze zapamiętał ów chłodny dzień w parku, chociaż nazwisko chłopca, który do niego strzelił, wyleciało mu z pamięci.

Na zawsze zapamiętał, jak przed ślubem z Teddy wpadł do jej mieszkania, zastał w nim mordercę, nasłanego tam w dosłownym sensie przez reportera Cliffa Savage'a. i bez zastanowienia strzelił z biodra, zanim tamten mógł starannie wycelować swoją czterdziestkę piątkę. Na zawsze zapamiętał zapach i dotyk Teddy w swoich ramionach, kiedy było po wszystkim. Takie zdarzenia zapamiętywał.

Teraz zaś słuchając Charlesa Reynoldsa pragnął zatkać sobie uszy, zamknąć oczy, wykreślić tę scenę, bo miał pewność, że będzie go ona prześladować przez resztę życia.

Szofer wszedł do salonu przez łukowe drzwi z jadalni i zatrzymał się w przejściu czekając, aż Douglas King go zauważy. King trzęsącymi się rękami przypalał właśnie papierosa, a obserwujący go Carella, — który siedział przy aparacie podsłuchowym, raptem uświadomił sobie, że w progu salonu stoi Reynolds. Na jego twarzy malowała się bezmierna rozpacz, odbijająca się w całej jego postawie. Był zgarbiony, ręce wisiały mu bezwładnie przy bokach. Cierpliwie, jak bez życia, stał w drzwiach i czekał, aż King się obróci, czekał, aż właściciel domu, jego chlebobdawca, raczy go zauważyć.

King odszedł od stolika do kawy, wydmuchnął niecierpliwie chmurę dymu, powiedział: „Oni prawdopodobnie wcale nie zadzwonią...” i spostrzegł Reynoldsa. Stanął jak wryty, zaciągnął się papierosem i rzekł:

— Przestraszyłeś mnie, Reynolds.

— Przepraszam. — Reynolds zamilkł. — Proszę pana, ja... chciałbym z panem porozmawiać. — Znowu urwał. — Panie King, chciałbym z panem porozmawiać.

Po tych pierwszych słowach Carella zorientował się, że będzie to przykra rozmowa i chciał wyjść z salonu.

— Reynolds, czy moglibyśmy... — zaczął King i zawahał się.

— A zresztą, o co chodzi? Czego chcesz?

Reynolds wszedł do salonu, robiąc krok w przód, jakby tylko na tyle był gotów, jakby ten pojedynczy krok był i tak przekroczeniem zasad, jakie sobie narzucił przed wejściem. Garbił się, ręce wisiały mu niezdarnie.

— Chcę pana prosić, żeby zapłacił pan okup za mojego syna, panie King — powiedział.

— Nie prosź mnie o to — odparł King i odwrócił się do niego plecami.

— Ja pana proszę, panie King — powtórzył Reynolds i wyciągnął rękę, jakby chciał powstrzymać oddalającego się Kinga. Nie ruszył się jednak z łukowatego przejścia. Stał z wyciągniętą ręką i błagał Kinga, który wreszcie obrócił się i spojrzał na niego z drugiego końca pokoju. A potem, przedzieleni kilkunastoma metrami salonu, oddaleni od siebie o Bóg wie ile mil, dwaj mężczyźni spojrzeli sobie w twarze jak dwaj rycerze tuż przed atakiem kopiami. Carella zaś poczuł się jak widz, który nie ma swojego faworyta.

— Ja muszę pana prosić, panie King — powiedział Reynolds.

— Pan to rozumie, prawda?

— Nie. Nie rozumiem. Proszę cię, Reynolds, doprawdy czuję się...

— Nigdy w życiu o nic nie błagałem, ale teraz błagam pana — powiedział Reynolds ze skrzepowaniem. — Proszę, panie King. Proszę, niech pan odzyska mojego syna.

— Nie chcę tego słuchać — odparł King.

— Pan musi mnie wysłuchać, panie King. Zwracam się do pana jak mężczyzna do mężczyzny. Jak jeden ojciec do drugiego ojca. Błagam pana, żeby pan mi uratował syna. Boże, Boże, proszę, niech mi pan uratuje syna!

— Zwracasz się pod niewłaściwym adresem, Reynolds! Nie mogę ci pomóc. Nie mogę pomóc Jeffowi.

— Nie wierzę panu, panie King.

— Taka jest prawda.

— Ja... ja nie mam prawa prosić. Wiem, że nie mam prawa. Ale do kogo mam pójść? Do kogo innego mam się zwrócić?

— Czy zdajesz sobie sprawę, o co mnie prosisz? — spytał King. — Prosisz mnie, żebym siebie zniszczył. Mam to zrobić? Do diabła, Reynolds, ja bym cię o coś takiego nie poprosił!

— Ja muszę pana prosić! — odparł Reynolds. — Czy mam inne wyjście, panie King? Mam dokąd pójść, gdzieś, gdzie dadzą mi pół miliona dolarów? Dokąd? Niech pan powie. Pójdę. Ale gdzie? Nie mam dokąd pójść. — Potrząsnęła głową. — Przychodzę do pana. Proszę o to pana. Proszę, proszę...

— Nie!

— Niech pan powie, co mam zrobić, panie King? Niech pan to wymieni. Ja to zrobię, wszystko, co pan każe! Będę pracował do końca życia, będę...

— Nie pleć bzdur. Co ty w ogóle mógłbyś...

— Mam przed panem uklęknąć, panie King? Mam klęknąć i błagać pana?

Ukląkł, na co Carella wzdrygnął się i odwrócił. Przedzieleni kilkunastoma metrami szerokiego dywanu mężczyźni wpatrywali się w siebie — Reynolds na kolanach, ze złożonymi dłońmi, King z ręką schowaną w kieszeni szlafroka, w drugiej trzymając papierosa, który drżał.

— Wstań, na miłość boską — powiedział King.

— Padłem przed panem na czworaki, panie King — odparł Reynolds. — Ja pana błagam. Błagam! Proszę, proszę, proszę...

— Wstań, wstań! — powiedział King łamiącym się głosem. — Boże Święty, człowieku, czy nie możesz...

— ...niech pan uratuje mi syna!

— Reynolds, proszę cię. — King odwrócił się, ale Carella zdążył dostrzec, że mocno zaciska powieki. — Proszę, wstań. Proszę cię, człowieku. Proszę cię. Czy możesz... możesz dać mi spokój? Możesz? Możesz z łaski swojej to zrobić? Proszę cię.

Reynolds wstał. Z wielką godnością otrzepał spodnie na kolanach. Nie powiedział więcej ani słowa. Odwrócił się i sztywno wyszedł z salonu.

Upokorzony King wpatrzył się w drzwi.

— Czuje się pan jak wielka Świnia, panie King? — spytał

Carella.

— Proszę milczeć.

— A powinien pan. Bo tym właśnie pan jest.

— Do licha, Carella, nie chcę słuchać...

— To idź pan do diabła, panie King! — przerwał mu gniewnie Carella. — Do diabła!

— Co się z tobą dzieje, Steve? — spytał Byrnes, schodząc po schodach. — Dosyć tego.

— Przepraszam — powiedział Carella.

— Właśnie dzwoniłem z telefonu na górze — powiedział Byrnes. — Sprawdzalem wykaz skradzionych samochodów i jak należało się spodziewać, ten nasz w nim jest. Stary ford z tysiąc dziewięćset czterdziestego dziewiątego. Dalekopisy już wystukują wiadomość o nim. Wątpię, czy tablice rejestracyjne ma te same co w wykazie, a ty?

— Ja też, kapitanie.

— Wystarczy tego, Steve — powiedział Byrnes.

— Czego, kapitanie?

— Tego gotowania się.

— Ja się wcale nie...

— Właśnie, że się gotujesz, nie kłam, a pamiętaj, że mamy tu obowiązki, których nie wypełnimy, jeśli wszyscy będą chodzić, jakby ich w tyłek... — Byrnes urwał.

Na schodach pojawiła się Liza Bellew z walizką w jednej ręce, drugą trzymając za rączkę Bobby'ego Kinga.

— Dzień dobry — powiedziała. — Nie odezwali się?

— Nie, proszę pani — odparł Byrnes.

— Tatusiu?

— Słucham, synku?

— Jeff jeszcze nie wrócił?

— Nie, synku. Nie wrócił.

— Myślałem, że go odebrałeś.

Zapadło długie nieprzyjemne milczenie. Carella obserwował obu Kingów i gorąco pragnął, żeby jego syn Mark nigdy nie miał w przyszłości takiej miny, jak w tej chwili Bobby.

— Bobby, magnatowi nie zadaje się pytań tak wcześnie rano — powiedziała z werwą Liza. — Na razie przynosi się do mnie,

Doug. — Mrugnęła porozumiewawczo. — Wszystko się ułoży.

— Gdzie Diana?

— Na górze, kończy się szykować.

— Czy ty...?

— Rozmawiałam z nią. — Liza potrząsnęła głową. — Nic z tego. Ale daj jej czas. — Obróciła się do Byrnese. — Otrzymam eskortę policyjną, kapitanie?

— Jak najbardziej.

— Niech to będzie ten wysoki rudowłosy policjant — powiedziała. — Ten z siwym pasmem we włosach.

— Detektyw Hawes?

— Tak się nazywa? Owszem, on.

— Sprawdzę, czy to możliwe.

— Jest tuż za drzwiami, kapitanie, wietrzy się. Widziałam go z okna na piętrze. Mam mu powiedzieć, że potrzebuję jego asysty?

— Tak, tak — odparł Byrnes ze zdezorientowaną miną. — Tak, proszę mu powiedzieć.

— Powiem. Chodź, Bobby, poznamy przystojnego policjanta.

Liza poprowadziła chłopca do wyjścia. Przy drzwiach Bobby odwrócił się.

— Nie odbierzesz go, tato?! — spytał z naciskiem.

Liza pociągnęła go za sobą przez otwarte drzwi i zawołała:

— Ju-huuu! Panie Hawes! Ju-huuu!

Drzwi zamknęły się za nimi.

— Chyba powinienem jasno postawić sprawę, panowie — rzekł King i chrząknął. — Wiem, że z pozoru moja odmowa...

Zadzwoił telefon.

King zamilkł. Byrnes spojrział na Carellę, a ten pośpieszył do aparatu podsłuchowego.

— Powiadom centralę, Pete! — powiedział, na co Byrnes podbiegł do drugiego telefonu i podniósł słuchawkę, gotów mówić.

— Proszę odebrać, panie King — polecił Carella. — Jeżeli to porywacz, niech pan przedłuży rozmowę.

— Co... co mam mu powiedzieć? — spytał King przy dźwięku dzwoniącego telefonu.

— Niech pan z nim mówi o czymkolwiek. Niech pan przedłuży rozmowę.

— A... pieniądze?

— Niech pan mu powie, że je pan ma — powiedział Byrnes.

— Pete...

— To nasza jedyna szansa, Steve. Muszą myśleć, że gramy z nimi uczciwie.

— Proszę odebrać, niech pan odbierze!

King zawahał się przez chwilę i podniósł słuchawkę.

— Halo?

— Pan King?

Był to inny głos, nie ten, który King słyszał poprzednio.

— Tak, tu King — odparł, marszcząc czoło. — A kto mówi?

— Pan wie, kto mówi. Niech pan nie udaje głupiego — odrzekł nieznajomy.

— Przepraszam. Nie poznałem pańskiego głosu — powiedział King i skinął głową Byrnesowi.

— Dzwoni porywacz — powiedział natychmiast Byrnes do słuchawki aparatu połączonego bezpośrednio z centralą telefonów. — Śpieszcie się.

Siedząc przy aparacie podsłuchowym ze słuchawkami na uszach Carella przyglądał się obracającym się szpulom taśmy magnetofonowej, na którą nagrywana była rozmowa. Ledwo ośmielając się oddychać, przysłuchiwał się głosowi w słuchawkach.

— Ma pan pieniądze, panie King?

— No...

— Tak czy nie? Ma je pan?

— Niech pan przedłuży rozmowę — szepnęła Byrnes.

— Tak. Mam. To znaczy, większość.

— Jak to większość?! Powiedzieliśmy...

— Reszta powinna nadejść lada chwila. Chcieliście, żeby to były banknoty o małym nominale, prawda?

— A co to ma do rzeczy?

— I żeby nie miały kolejnej numeracji. Pięćset tysięcy to mnóstwo pieniędzy. A nie miałem wiele czasu. Resztę właśnie w tej chwili przeliczają w banku. Powinni je dowieźć w ciągu

pół godziny.

— Dobrze, w porządku. A teraz powiem, co pan zrobi. Ma pan zegarek na rękę, panie King?

— Tak. Tak, mam.

— Chcę, żeby godzina na nim zgadzała się z tą na moim. Niech pan go zdejmie.

— Dobrze. Chwileczkę.

— Niech pan przedłuży rozmowę — powiedział Carella. — Niech pan ją przedłuży.

— Zdjął go pan, panie King?

— Zdejmuję.

— Co tam się dzieje? — powiedział do swojej słuchawki Byrnes. — Do jasnej cholery, powiedziałem wam przecież, że jest na linii!

— No więc, King? — spytał niecierpliwie głos.

— Już.

— Na moim zegarku jest dokładnie ósma trzydzieści jeden. Niech pan nastawi swój na tę samą godzinę.

— Dobrze.

— Nastawił pan?

— Tak. Nastawiłem.

— Świetnie. Resztę powiem szybko i tylko raz, więc niech pan wszystko zapamięta. Wyjedzie pan z domu punkt dziesiąta, pieniądze będzie pan niósł w zwykłym kartonowym pudełku. Pójdzie pan prosto do garażu i wsiądzie do czarnego cadillaca z rejestracją DK-74. Użyje pan tego samochodu, panie King. Zrozumiał pan?

— Tak, zrozumiałem — odparł King.

— Szybciej, szybciej! — szepnął Byrnes do słuchawki.

— Wyjedzie pan z domu i ze Smoke Rise. Będzie pan śledzony, panie King, więc niech pan nie próbuje wziąć nikogo do samochodu i nie pozwoli policji jechać za panem. Jeżeli pojedą, natychmiast zabijemy chłopca. Rozumie pan?

— Tak, rozumiem. Zapamiętam.

— Namierzyli go? — szepnął Carella do Byrnesa.

— Ci przekłęci idioci...

— Będzie pan jechał, panie King, aż ktoś skontaktuje się z

panem i poda dalsze wskazówki. Więcej nie musi pan na razie wiedzieć. Niech pan wyjdzie z domu punkt dziesiąta, sam, z pieniędzmi! Żegnam, panie...

— Chwileczkę!

— Niech pan przedłuży rozmowę! — powiedział Byrnes. — Wyśledzili, że telefonuje z okolic Centralu w Sands Spit!

— O co chodzi, panie King?

— Kiedy dostaniemy chłopca z powrotem?

— Kiedy dostaniemy pieniądze, zadzwonimy.

— Skąd... skąd mam wiedzieć, że on jeszcze żyje?

— Żyje.

— Mogę z nim rozmawiać?

— Nie. Żegnam, panie King.

— Zaraz! Wy...

— Odwiesił słuchawkę! — powiedział Carella.

— Sukinsyn! — zaklął Byrnes. — Rozłączył się! — krzyknął do swojej słuchawki. — Dokąd udało się wam... Co? Aha. Aha, rozumiem. Dobrze. Dobrze, dziękuję. — Odłożył słuchawkę. — Dzwonił z automatu. Jak tylko doszli, że dzwoni z rejonu Centralu, zgubili go w gąszczu automatycznych połączeń. — Obrócił się do Carelli. — Co powiedział, Steve?

— Dużo. Mam ci to odtworzyć?

— Tak, puść mi. Dobrze się pan spisał, panie King.

— Dziękuję — odparł głucho King.

— Jego głos brzmiał inaczej — powiedział Carella. — Jak pan sądzi?

— Tak — przyznał King.

— Myślę, że tym razem dzwonił ktoś inny — rzekł Carella. — Pozwolisz, że najpierw odtworzę pierwszą rozmowę, Pete? Chcę porównać te głosy.

— Tak, bardzo proszę.

Carella spojrział na zegarek.

— Za dwadzieścia pięć dziewiąta. Jeszcze mamy czas — . powiedział i nacisnął klawisz cofający taśmę.

Eddie Folsom opuścił budkę telefoniczną o ósmej trzydziści

trzy. Jazda do sklepu zajęła mu dłużej niż oceniał Sy, ale i tak nie było najmniejszego powodu do obaw. Do dziesiątej pozostało jeszcze dużo, dużo czasu.

Niedbałym krokiem podszedł do lady.

— Poproszę paczkę czekolady do picia, butelkę mleka i pudełko tamtych ciasteczek — powiedział.

Rozdział dwunasty

O wpół do dziewiątej Kathy zaczęła chodzić po kuchni. W tej chwili była za dwadzieścia pięć dziewiąta, ona zaś snuła się nie mogąc znaleźć sobie miejsca, choć główny cel jej wędrówki stanowiło okno wychodzące na podwórze. Podchodziła do niego, uchylała roletę, wyglądała na podwórze, opuszczała roletę, chodziła, snuła się, zapalała papierosa, wreszcie znowu wracała do okna.

— Gdzie on jest? Czy nie powinien już do tej pory wrócić? — spytała.

— Spokojnie. Wróci — odparł Sy i zamilkł. — Przecież miał nie tylko dzwonić. Musiał też zrobić zakupy.

— Chłopiec...

— Chłopiec, chłopiec, chłopiec! Jeżeli usłyszę o nim jeszcze słowo, to założę klub dla upośledzonych dzieci!

O rany, jak ja mam dość tego wszystkiego! Powiniennem mieć dość rozumu, żeby nie wiązać się z palmusem, który jeździ kupować mleko!

— Pojechał zadzwonić — powiedziała Kathy. — Ktoś to musiał zrobić.

— A poza tym kupuje mleko. I czekoladę! — odparł Sy afektowanym, przesłodzonym falsetem.

— Chłopcu jest zimno. — Kathy spojrzała na Jeffa, który leżał skulony na posłaniu, owinięty jej płaszczem i okryty kocem. — Masz szczęście, że nie płacze.

— To ty masz szczęście, że ja nie płaczę — odrzekł Sy. — Ta forsa jest już tak cholernie blisko, że ją czuję.

— Sy, kiedy wróci Eddie...

— Która godzina?

Kathy spojrzała na zegarek.

— Za dziesięć dziewiąta. Kiedy on wróci, to co zrobicie?

— Nic. Nic, aż do dziesiątej. ^

— A wtedy?

— Nie bój się. Twój mleczarz wróci, wszystko się uda, a my

będziemy bogaci jak jasna cholera. A wiesz dlaczego? Bo ta skromna impreza jest w rękach Sya Barnarda. Gdyby kierował nią taki drobny bandziorek jak Eddie...

— On nie jest drobnym bandziorkiem!

— Nie? Dobra, a więc to wielki macher, tak? Jak ty w ogóle mogłaś się związać z takim wielkim macherem jak on?

— A co to ciebie obchodzi?

Nerwowym krokiem podeszła do kredensu i otworzyła torebkę. Nerwowymi ruchami zaczęła czesać włosy.

— To mnie ciekawi. Naprawdę — powiedział Sy.

— Poznaliśmy się, i tyle.

— Gdzie?

— Nie pamiętam.

— Na balu włamywaczy?

— To wcale nie jest śmieszne, Sy.

— Ale wiedziałaś, że żyje z przestępstwa?

— Tak, wiedziałam. To nie miało znaczenia... Eddie jest dobry — dodała po chwili.

— Tak, anioł nie człowiek.

— Nie żartuję. Zresztą, po co ja w ogóle z tobą rozmawiam!

Wrzuciła grzebień do torebki, zatrzasnęła ją i znów podeszła do okna.

— Czy nie powiedziałem, że to anioł nie człowiek?

— Zajmuje się tym, bo na niczym innym się nie zna — odparła Kathy. — Ale jeżeli z moją pomocą rzuci to, to będzie dobry. Wiem o tym. I dopilnuję, żeby rzucił.

— Dlaczego za niego wysłaś?

— Bo go kocham.

— Chciało ciało, co?

— Kiedy mnie wypuścicie? — spytał Jeff z kanapy.

— Zamknij się, mały.

— Wcale nie wypuścicie?

— Powiedziałem, zamknij się. Mam cię potąd!

Kathy podniosła roletę i znów przesunęła wzrokiem po podwórzu. Z westchnieniem odwróciła się od okna.

— Martwisz się o niego?

— Jasne, że się martwię — odparła.

— Po co? W oceanie są inne ryby. Większe ryby. Mądrzejsze ryby.

— To mój mąż.

— Opuść roletę.

— Jest rano. Dlaczego nie...?

— Nie chcę, żeby mi tu ktoś zaglądał.

— W promieniu mil nie ma żywej duszy!

— Opuść ją!

Kathy opuściła roletę, podeszła do kredensu, sięgnęła do torebki po papierosy, a kiedy odkryła, że się skończyły, zatrzasnęła ją ze złością.

— Co się tak przejmujesz — powiedział Sy. — Mężowie są do niczego. To tylko urzędowe świstki i obrączki. Kto dziś, jak rany, bierze na serio mężów?

— Ja — odparła Kathy. — Kocham go.

— Miłość wymyślili specjalnie dla małolatów. Nic takiego nie ma.

— Mylisz się. Po prostu nie znasz się na tym.

— Znam się lepiej, niż ci się wydaje, dziewczyno, i to na wielu sprawach. Wiem na przykład, że twój kochaś jest zepsuty do szpiku kości. Jego już nie da rady zmienić. Za późno.

— Wcale nie za późno. Jak tylko skończy się to...

— Jak się skończy to, będzie następna robota, po niej następna, jeszcze jedna, jeszcze jedna i jeszcze jedna!

Kogo ty chcesz oszukać, jak rany? Siebie? Widziałem takich zgniłków jak twój Eddie w więzieniach w całym kraju. On jest zepsuty! Cuchnie! On to ja, jak pragnę Boga! Uważasz mnie za taki skarb?

— Nie chcę tego słuchać.

— Dobra, nie słuchaj. Wielka mi uzdrawiaczka zepsutych dusz! Wykieruje je na ludzi! Bzdury!

— Nie mów tak do mnie, Sy. Nie będę...

— A dlaczego? Co mi zrobisz?

— Nic... po prostu nie mów do mnie tak.

— Wiesz, że mówisz takim tonem, jakbyś mi groziła? Muszę uważać, co robię, tak? Muszę się pilnować. Co innego nasz blondas. On się pilnować nie musi. — Sy zamilkł, spojrzął na

radio. — Eddie przed wyjazdem powinien był nastawić swojego potwora. Długo nic nie słyszeliśmy.

— Bo nie mówią o niczym prócz blokady dróg.

— I co z tego? Mnie interesują te blokady. — Sy przyjrzał się jej uważnie. — Słuchaj, nie strzeliłabyś sobie łyka?

— Tak rano?

— A pewnie. Dla kurażu. Napij się.

— Nie.

— Co z tobą, dziewczyno? Nie pijesz?

— Piję.

— No, to na co czekasz, gołnij sobie. Czy wiesz, że siedzimy na wielkiej forsie? Mamy się tu pałętać drętwi jak para nieboszczyków? Co to jest, jak rany, cmentarz? Na co czekasz, dziewczyno, odpręż się.

— Jeżeli chcesz się napić, to się napij. Kto cię trzyma?

— Racja, mała! Nikt mnie nie powstrzyma przed niczym! — Przez chwilę przyglądał się jej, rozważając coś w myślach, a potem podszedł do kredensu. Z górnej półki zdjął półlitrową butelkę, trzymając ją w górze powiedział: „Zdrówko!” i przechylił do ust. — Dobra jest. Nie zmieniłaś zdania? — spytał.

— Nie chcę pić. Gdzie jest Eddie?

— Denerwujesz się, co? — Sy wyciągnął butelkę w stronę Jeffa. — Chcesz łyka, mały? Na humorek. Nie? — Wzruszył ramionami i otarł usta. — Za bardzo się przejmujesz, Kathy, zamiast się martwić, mogłabyś się tu zabawić na sto dwa. Na sto dwa! — Uśmiechnął się i wpatrując w nią skinął głową. Kathy znów ruszyła w stronę okna, krzyżując ręce na swetrze. — Wiesz, co ci jest, mała? Nie wiesz, jak żyć, ot co. Cała się spięłaś tylko dlatego, że twój ukochany mężuś pojechał do sklepu spożywczego. Musisz nauczyć się luzu. Spójrz na mnie. Gliny opanowały to miasto jak zaraza. A czy ja się przejmuję? Gdzie tam!

— Jak mogę być spokojna, skoro Eddie mógł wpaść w kłopoty?

— Możesz zacząć od zapomnienia, że w ogóle istniał. Chodź,

napij się kapeczkę.

— Och, Sy, nie naprzykrzaj się! Nie chcę pić.

— Przepraszam, nie wiedziałem, że ci się naprzykrzam. Dobra, chcesz, to stój tak sobie i się martw. Ale ja znam znacznie lepsze sposoby na zabicie czasu. — Zbliżył się do niej gapiąc się na jej sweter. — Taka kobieta jak ty powinna być ładnie ubrana, wiesz? Skąd żeś wytrzasnęła ten sfilcowany, pożarty przez mole sweter? Eddie powinien się wstydzić! Powinnaś chodzić w luksusowych koronkach. A nie każdej kobiecie w nich do twarzy.

— To mnie nie interesuje.

— A teraz co cię, jak rany, ugryzło? Ja ci prawie komplementy, jak pragnę Boga!

— Dziękuję ci — odparła z cierpką ironią.

— Kurczę, to na pewno nie jest towarzystwo wzajemnej adoracji. Tutaj adorują wyłącznie naszego blondasa. Albo Eddiego, zależnie od tego, który jest pod ręką. Ale nie Sya, co to, to nie. Chcesz wiedzieć, co myślę? Myślę, że marnujesz się przy takim śmieciu jak Eddie, a tak! Najlepiej byś na tym wyszła, gdyby zgarnęły go gliny.

— Zamknij się — powiedziała Kathy.

— Ja ci tylko dobrze radzę. Żeby taka laleczka jak ty była związana z pierwszym lepszym śmieciem! Co komu po nim? Mogę sam załatwić tę robotę. Ty się przy nim marnujesz, skarbie. Tobie potrzeba kogoś, kto się zna na rzeczy, kogoś, kto umie...

— Zamknij się, Sy!

— Powiedz prawdę, nie liczysz na to, że go zwiną? Od początku byłaś przeciwna tej robocie, co? Martwiłaś się wyłącznie o tego blondasa, czy zrobimy mu krzywdę, czy...

— Zamknij się, zamknij się!!!

— Co jest? Rwieś się do własnego bachora? O to chodzi?

Sy zaśmiał się nieprzyjemnie i ponownie przechylił butelkę, wkładając ją do ust. Kathy podeszła do okna i podniosła roletę. Sy wyjął butelkę z ust i krzyknął:

— Opuść tę roletę, psiakrew!

Spojrzała na niego ponuro i posłuchała się.

— Cholera, ale wesola prywatka! Jak ja się ucieszę, kiedy to się skończy. Kurczę! — Uniósł butelkę w toaście. — Za przedmiot afektów naszej damy, za tę drogą małą ofiarę porwania. Twoje zdrowie, blondasie. — Wypił. — No i co, mały draniu? Właśnie wypilem za twoje zdrowie.

Jeff nie odpowiedział.

— Właśnie wypilem za twoje zdrowie — powtórzył Sy. — Co z tobą, nie masz żadnej kultury? Matka nie nauczyła cię, że się dziękuje? A może ty nie wiesz, jak rozmawiać?

— Wiem, jak rozmawiać — odparł Jeff. Wciąż dygotał, zarówno z zimna, jak ze strachu, który poczuł po odjeździe Eddiego z farmy.

— No, to odezwij się — powiedział Sy. — Cholerne gliny uganiają się po mieście szukając mnie, wspólnik na zakupach, ja siedzę tu z oziębłą dziwką, a na domiar wszystkiego piję za twoje zdrowie, mały draniu. To bardzo przyzwoicie z mojej strony. Może więc tak byś mi podziękował?

— Dziękuję.

— A może nie wiesz, dlaczego siedzę tu zamknięty z naszą panną Ty Mnie Nie Rusz? Może nie wiesz, że to z twojego powodu, co? Albo może myślisz, że mi się to podoba? — Sy urwał. — Wiesz, że to z twojego powodu tak się męczę?

— Ja... Wiem.

— O, a więc wiesz?

— T-tak — odparł Jeff, przyciskając do siebie koc.

— No i co, cholera, zrobisz z tym fantem?!

— Przestań się czepiać tego chłopca, Sy, i nie wyrażaj się.

— Przestań się czepiać tego chłopca, Sy, i nie wyrażaj się — powtórzył przedrzeźniając ją Sy. — W każdym razie dobrze wiedzieć, że coś cię wyprowadza z równowagi. Już zaczynałem podejrzewać, że umarłeś i leżysz w trumnie. — Obrócił się do Jeffa. — Zadałem ci pytanie, blondasie.

— Ja... ja nie wiem, co zrobić z tym fantem.

— No, to wspaniała postawa! — rzekł Sy. — No nie?

— Tak sądzę...

— Tak, proszę pana!

— T-tak, proszę pana.

— Wspaniała postawa, moim zdaniem. Ja się męczę z twojego powodu, a ty nie wiesz, co począć z tym fantem. A może byś tak trochę ruszył głową? Taki mały cwany drań jak ty powinien być w stanie coś wymyślić, nie?

— Sy, odczep się od niego!

— Tak, i mam się nie wyrażać, wiem. Wiesz ty co, mała, a ty możesz iść prosto do diabła!

— Dlaczego czepiasz się tego chłopca?

— Kto się go czepia? Rozmawiamy sobie. Mam przestać?

— Tak.

— A co z tego będę miał? Przekonaj mnie. — Sy zaśmiał się i obrócił do Jeffa. — Zaczynaj myśleć, mały. Czekam.

— Nie wiem, co pan chce ode mnie usłyszeć.

— Chcę, żebyś rzucił parę pomysłów.

— Nie mam żadnych pomysłów, proszę pana.

— O, to chyba wielki skandal? Brak ci pomysłów. — Sy zacmokał z przyganą. — Zwyczajnie nie obchodzi cię, co się ze mną stanie, tak?

— Nie wiem... nie wiem, co powiedzieć, proszę pana.

— Powiedz, cokolwiek ci tam siedzi w głowie, matole! Kiedy ktoś ci zadaje pytanie, to mów, cc myślisz!

— T-tak, proszę pana.

— Dobra. Chciałbyś mnie zobaczyć na krześle elektrycznym?

— N-nie... nie wiem.

— Proszę pana!!!

— Proszę pana — odparł Jeff, który zaczął szczerkać zębami.

— Nie wiem, proszę pana.

— Na pewno wiesz. Tak czy nie? Odpowiedz mi „tak” albo „nie”. Chcesz, żebym dostał krzesło elektryczne?

— Przestań, Sy!

— Tak czy nie? — nalegał Sy.

— Tak, proszę pana, ja...

— Co?!

— Chciałbym, żeby dostał pan...

— Co takiego? Co takiego, ty mały draniu?!

— Sy, on się ciebie śmiertelnie boi! Nie widzisz?

— Nie wtrącaj się! Chyba że coś wymyślisz!

Jeff zeskoczył z posłania, popędził do Kathy, wtulił głowę w jej sweter i objął rękami w pasie.

— Zabierz od niej te ręce! — krzyknął Sy, niczym zazdrosny konkurent.

Kathy przygarnęła chłopca mocniej.

— Dość tego, Sy — powiedziała.

— Czego dość? A kto ty, psiakrew, jesteś... kim ty, psiamać, jesteś, żeby mi to mówić? Ty rozkazujesz mnie?! Nie ma takiej kiecki, która by mi mówiła, co mam robić! — Sy chwycił Jeffa za rękę, oderwał go od Kathy i popchnął przez kuchnię. — Masz! — powiedział. — No i co ty na to? No i co ty na to, ty tania mietło?!

Kathy wymierzyła mu policzek, wkładając w to całą siłę dłoni, ręki i ramienia.

Sy natychmiast chwycił się za twarz, a potem wolno opuścił rękę.

— Chcesz się zabawić? — spytał.

Sięgnął do kieszeni i w jego ręku pojawił się nóż, którego ostrze otworzyło się na ułamek sekundy przed wyjęciem.

— Więc nareszcie chcesz się zabawić? — powtórzył i zamierzył się nożem, zmuszając Kathy do cofnięcia się.

Ruszył za nią przez kuchnię, grożąc sprężynowcem, lecz nie myśląc jej zranić. Bawił się z nią tylko, zmuszając do cofania, póki nie wpadła na drzwi, a wówczas przykucnął przed nią, kołysząc nożem szeroko na prawo i lewo.

— Sy, nie...

— Co nie, mała? Nie pociąć cię? Mała, czy ja bym mógł cię pociąć?

Czubkiem ostrego jak brzytwa noża, zaczepił sweter Kathy, odciągnął go od jej ciała i rozciął, znienacka przesuwając nóż w górę, ku jej szyi.

— Sy!

Z precyzją pojedykującego się nożownika następnym ruchem noża przeciął sweter niżej i obnażył biustonosz dziewczyny. Próbowwała zakryć piersi dłońmi, ale znów błysnął nóż, więc oderwała rękę od ciała i sweter zwisał w strzępach na białym staniku.

Sy uśmiechnął się.

— A teraz biustonosz — zapowiedział.

Instynktownie natychmiast podniosła ręce, chcąc zakryć piersi, ale kolejny raz sięgnął nożem, więc je cofnęła i dysząc spazmatycznie czekała, aż stalowe ostrze przetnie bawełniany stanik.

— Uwolnimy te śliczności — powiedział Sy i przysunął się bliżej z nożem. — Nie podnoś rąk. Bardzo nie chciałbym cię skaleczyć! Damy im rozkwitnąć...

Nagle jak spod ziemi wyrósł przy nich chłopiec. Wylądował na plecach Sya z zaciekłością dzikiego zwierzęcia, drapiąc go, okładając pięściami, tłukąc i szarpiąc za włosy w niepohamowanym gniewie. Sy wyprostował się zaskoczony, zakołysał, próbując strząsnąć z siebie Jeffa, Kathy zaś puściła się biegiem do drzwi. Sy sięgnął za siebie, chcąc chwycić napastnika, złapał go za spodnie, oderwał od pleców i cisnął na środek pokoju. Przy drzwiach Kathy niezdarnie mocowała się z kluczem w zamku. Dopadł ją w dwóch susach, chwycił za rękę i ściskając w prawej dłoni nóż przyciągnął ją do siebie.

— Może byś się tak uspokoiła, mała — powiedział. — Może ze mną spodoba ci się to bardziej niż...

W tym momencie trzykrotnie zapukano do drzwi. Oparci o nie Sy i Kathy w jednej chwili odskoczyli od nich, cofając się przed tymi słabymi stuknięciami w drewno.

— To Eddie — szepnęła Kathy takim tonem, jakby się modliła.

Sy natychmiast odstepił od niej.

— Nałóż płaszcz. Szybko! — rozkazał.

Odszedł prędko od drzwi i wziął z posłania jej płaszcz. Nałożyła go i zapięła pod szyję.

— Pińiesz słowo Eddiemu, to z małym koniec. Słyszysz? Koniec.

Oniemiała Kathy skinęła głową.

Sy podszedł do chłopca i usiadł przy nim.

— Dobra — powiedział. — Otwórz.

Kathy stanęła tuż pod drzwiami.

— Eddie? — zapytała.

— Tak. Bo co? Otwieraj.

Otworzyła drzwi. Eddie szybko wszedł do środka, zamknął je i przekręcił klucz w zamku.

— Kurczę, co wam tyle zajęło... — zaczął i po minie żony natychmiast poznał, że coś się stało.

— Witaj w domu, bohaterze — powiedział jakby nigdy nic Sy.

— Przywiozłeś mleko?

— Tak — odparł Eddie.

Zaniósł torbę z zakupami na stół. Kathy bez słowa zaczęła ją rozpakowywać. Eddie przyjrzał się jej.

— Ej, co tu się stało? — spytał.

— Nic — odparła Kathy. — Wszystko w porządku, Eddie.

— Kathy i ja mieliśmy właśnie drobną sprzeczkę — wyjaśnił Sy.

— O co? — spytał Eddie i znów spojrzął na żonę. — Dlaczego nałożyłaś płaszcz?

— Bo... zrobiło się zimno.

— O co się posprzeczaliście?

— Jej w ogóle się nie podoba nasz skok — odparł Sy. Wzruszył ramionami. — Nie powinienem był chyba aż tak się unosić. Przepraszam, Eddie. Miałeś jakieś kłopoty?

— Nie. W czasie jazdy nie widziałem ani jednego policjanta.

— Eddie znów podejrzliwie spojrzął na oboje. — Nie ma czasu na kłótnie — dodał bez potrzeby. — No, bo po diabła nam one?!

— Powiedziałem, że przepraszam — odparł Sy.

— Tak. No dobra. — Eddie wzruszył ramionami.

— Zrobię ci gorącej czekolady — powiedziała Kathy do Jeffa.

— Nastaw swojego potwora, Eddie. Posłuchamy, co się dzieje.

— Która godzina?

Sy spojrzął na zegarek.

— Parę po dziewiątej. Dla pewności powinienem wyjechać około wpół do dziesiątej.

— Owszem — potwierdził siedzący przy odbiorniku Eddie. Wcisnął włącznik i zaczął stroić aparat. — Nadal nie wiem, o co wam poszło. Jesteśmy już prawie u celu, a wy...

— ...prawdopodobny numer rejestracyjny RN 6120.

To...

— O Chryste, ścisż go! — zawołał Sy, przekrzykując ryczące radio.

— ...czterodrzwiowy szary ford, model czterdzieści dziewięć, prawdopodobny numer rejestracyjny RN 6120.

— Ccco?! — wyjąkał Sy.

— Powtarzam dla Wybrzeża Zachodniego — odezwał się dyspozytor policyjny. — Samochodem użytym przy porwaniu Jeffa Reynoldsa mógł być czterodrzwiowy szary ford, model czterdzieści dziewięć, prawdopodobny numer rejestracyjny RN 6120...

— Znają nasz samochód!

— Nie denerwuj się! — warknął Sy.

— I ja nim jechałem! Nawet ze zmienionymi tablicami mogli...

— Spokojnie! Tylko bez paniki, jak Boga kocham!

— Mogli mnie zwinąć. Mogłem... Ej! A jak my...? Sy, ten samochód należy do naszego planu. Jak możemy go teraz użyć?

— Nie wiem. Opanuj się.

Sy zaczął chodzić po kuchni.

— I co teraz? Nie możemy przecież wypuścić takiej forszy!

— Nie. Nie możemy. I nie musimy. Powiedziałeś, że na drogach stąd do sklepu nie było glin. Świetnie, a więc są szanse, że nie zablokowali wszystkich dróg, bo jakżeby mogli! To radio powie nam, gdzie naprawdę są blokady. Wystarczy podsłuchać ich jeszcze raz i tym razem zapisać informacje.

— Sy, nie wygląda mi to bezpiecznie!

— Czym ty się, do diabła, martwisz? To ja pojedę tym samochodem.

— A jednak...

Sy spojrzał na zegarek.

— Zostało nam z pół godziny. Miejmy nadzieję, że wymienią w tym czasie wszystkie. Ale bez względu na to, ten samochód i tak odjeżdża stąd o wpół do dziesiątej.

— Sy, jeżeli złapią jednego z nas, to wszystko pójdzie w...

— O mnie się nie martw, mały — powiedział Sy. — Twojego kumpla nikt nie złapie. Zwłaszcza że będzie wioził pięćset tysięcy dolarów.

— ...róg Agatha i dwa-jeden-zero...

— Ciii — powiedział Sy.

— ...zmienić wóz sto osiem przy blokadzie ulic. Zrozumiałeś sto dwanaście?

— Tu sto dwanaście. Zrozumiałem.

— Dobrze — powiedział Sy do radia, energicznie kiwając głową. — Nawijaj, synu. Nawijaj bez ustanku.

Rozdział trzynasty

O dziesiątej rano otworzyły się drzwi domu Douglasa Kinga. Ze środka wyszedł King, w ciemnym płaszczu, czarnym filcowym kapeluszu i perłowszarych rękawiczkach, z brązowym, kartonowym pudełkiem wypchanym gazetami. Rozglądając się bystro na boki doszedł do rogu domu, skręcił prosto do garażu, podciągnął w górę jego drzwi, wsiadł do stojącego w środku cadillaca i zapalił silnik. Przez chwilę pozwolił chodzić motorowi na jałowym biegu, a potem wytoczył wóz z garażu, skręcił i pojechał drogą dojazdową ku bliźniaczym kolumnom, które stały przy wjeździe. Skręcił w Smoke Rise Road i spojrział w boczne lusterko. Nie dostrzegł żadnego samochodu, nikogo. Jeżeli ktoś obserwował jego odjazd, to z pewnością był dobrze ukryty.

King zaczął jechać bez celu, podążając prosto minął kilka przecznic, skręcił ze Smoke Rise Road na wiadukt ponad autostradą Rzeczną i pojechał przez miasto. Nie podążyły za nim żadne wozy policyjne. Dla obserwatora Douglas King wypełniał instrukcje co do joty. Wyszedł z domu o dziesiątej rano ze zwykłym kartonowym pudełkiem pełnym pieniędzy. Wsiadł do samochodu sam i wyjechał nim, czekając, aż ktoś się z nim skontaktuje.

Nikt z przypadkowych bądź umyślnych obserwatorów nie mógł wiedzieć, że detektyw Steve Carella wszedł do garażu o wpół do dziesiątej przez drzwi prowadzące tam z kuchni, wsiadł do cadillaca i ułożył się wygodnie na podłodze przy tylnym siedzeniu.

— Widzi pan coś? — spytał leżąc.

— To znaczy, co? — spytał King.

— Jakiś samochód jadący za panem? Pieszego dającego znaki? Lecący nad panem helikopter?

— Nie. Nic.

— Jak oni chcą się, do diabła, skontaktować? Czy to Bóg ześle z góry błyskawicę? — powiedział gderliwie Carella.

O dziesiątej rano Eddie Folsom zaczął rozgrzewać swój sprzęt radiowy. Sy wyjechał o wpół do dziesiątej z listą blokad drogowych w rękę i wyrytą w pamięci. Teraz, kiedy rozjarzyły się już lampy, a kuchnię wypełnił szum oscylatorów i nadajnika, Eddie poczuł zdenerwowanie, które zaczynało się gdzieś w żołądku i rozchodziło się po całym ciele. Jeszcze raz sprawdził skale, upewnił się, że częstotliwość jest właściwa, a potem zasiadł przed aparaturą, mając na wprost twarzy mikrofon, o pół metra od krzesła plan ulic, a w zasięgu prawej dłoni tarczę telefoniczną. Spojrzał na zegarek. Było trzy po dziesiątej. Dał Kingowi jeszcze siedem minut. Miał zacząć dziesięć po dziesiątej.

— Nadal nic? — spytał Carella.

— Nic.

— Która godzina?

— Pięć po dziesiątej.

— Dlaczego pan z nami współpracuje, panie King?

— To moja sprawa.

— Nie musiał pan. Mógł pana zastąpić detektyw policyjny.

— Wiem.

— A poza tym bardzo wątpię, czy obserwowali dom. Jeśli ta szajka nie jest rzeczywiście ogromna, to w żadnym razie nie mogą mieć aż tylu ludzi...

— Jest pan żonaty, panie Carella?

— Tak.

— Kocha pan żonę?

— Tak.

— Ja też swoją kocham. Dziś rano odeszła. Odeszła po tylu latach małżeństwa. A wie pan dlaczego?

— Chyba tak.

— Oczywiście. Bo nie zapłaciłem okupu za syna Reynoldsa.

— King skinął głową, nie odrywając oczu od jezdni. — Pan też uważa, że to podłość z mojej strony, co?

— Nagrody Nobla by pan za to nie dostał.

— Możliwe, Ale w końcu ja wcale nie chcę dostać Nagrody Nobla. Chcę tylko mieć Obuwie Grangera.

— W takim razie nie powinien pan się dręczyć z powodu odejścia żony.

— Nie, nie powinienem. Gdyby Obuwie Grangera było dla mnie wszystkim, nie zależałoby mi aż tak bardzo na Dianie, Bobbym czy kimkolwiek, prawda?

— Chyba nie.

— Więc co ja tu robię?

— Ja pierwszy zadałem to pytanie, panie King.

— Nie wiem, co tu robię, panie Carella. Wiem tylko jedno. Że nie mogę zapłacić okupu za tego chłopca. Nie mogę, bo byłoby to równoznaczne ze zniszczeniem siebie, a tak być nie może. Nie wierzę w bajki, a pan?

— Ja również nie.

— Jestem, jaki jestem, panie Carella. Wątpię, czy się kiedykolwiek zmienię. Interesy to część mojego życia, a bez nich straciłoby ono dla mnie sens. Taka już moja natura. I nie mam zamiaru przed nikim się z tego tłumaczyć. Możliwe, że byłem zepsuty, możliwe. Być może krzywdziłem ludzi, ale nikogo nie czepiałem się nigdy bez powodu, taki jestem i nie będę tłumaczyć się z tego przed nikim. Wiele czasu zabrało mi znalezienie się tu, gdzie jestem, panie Carella.

— A gdzie pan jest, panie King?

— W samochodzie. Czekam na instrukcje od złodziei. — King uśmiechnął się blado. — Pan wie, o czym mówię.

Wiele czasu zajęło mi zdobycie tego wszystkiego, co uznałem za niezbędne. Człowiek się nie zmienia, panie Carella. Diana nie ma pojęcia o biedzie. Skąd miałyby ją znać? Całe życie była bogata. Ale nie ja, panie Carella. Wychowałem się w skrajnej nędzy. Chodziłem głodny. Nie zapomina się biedy, nie zapomina się głodu. U Grangera zacząłem pracować, kiedy miałem szesnaście lat. W magazynie. Pracowałem ciężiej od innych. Ułożyłem więcej stert tych przeklętych butów niż inni, więcej ich przeniosłem i byłem dumny z tej najprymitywniejszej roboty w fabryce, bo wiedziałem, że któregoś dnia to

przedsiębiorstwo będzie moje. Szalone myśli, co?

— Ambicja to nie szaleństwo.

— No cóż, możliwe. Poznałem tę fabrykę jak własną kieszeń. Każde stanowisko pracy. Każdy etap produkcji, wszystkich ludzi. Poznałem buty. Poznałem je, bo to miało być moje przedsiębiorstwo. Właściwie poznałem tylko to i nie miałem nigdy innych pragnień. Do chwili, gdy spotkałem Dianę...

— Kiedy ją pan poznał, panie King?

— Poderwałem ją. W czasie wojny. To znaczy, drugiej wojny światowej.

— A była jakaś inna? — spytał Carella.

— Byłem sierżantem, przyjechałem na urlop. Służył pan w wojsku?

— Tak.

— Więc nie muszę panu mówić, jak samotny czuje się człowiek w swoim mieście, kiedy przyjeżdża na urlop. Poderwałem ją w lokalu organizacji zajmującej się wypełnianiem czasu wolnego żołnierzom. Była jedną z tych bogatych panien,, które troszczyły się o nich. Zatańczyliśmy parę razy. Przypadliśmy sobie do gustu. Po prostu. Bogata dziewczyna ze Stewart City poznała biednego chłopaka z Kelly's Corners i... Zna pan dobrze to miasto, panie Carella?

— Nie najgorzej.

— W takim razie zna pan tę jego część, którą miejscowi nazywają familiarnie Stewart City, opasującą rzekę na południe od Isoli, bardzo elegancką, z portierami, z luksusowymi apartamentami pod samym dachem, z klimatyzacją. I wie pan też, gdzie są Kelly's Corners, które za mojego dzieciństwa nazywaliśmy Smelly Corners². Poznaliśmy się, panie Carella. Tak bardzo się od siebie różniliśmy, a jednak zawarliśmy znajomość. I spodobaliśmy się sobie. Po zwolnieniu z wojska wróciłem do Grangera. W pierwszym roku małżeństwa zarabiałem około sześćdziesięciu dolarów tygodniowo. To nie wystarczało. Ani Dianie, ani mnie. Więc zacząłem robić to, co było konieczne. Umacniałem swoją

² Kelly's Corners to zautki Kelly'ego, Smelly Corners — smrodliwe zaułki (przyp. tłum.).

pozycję w fabryce i deptałem wszystkich, którzy stali mi na drodze, bo nic się nie zmieniło. W dalszym ciągu dążyłem do tego, żeby stać się właścicielem firmy. Dążyłem do tego, żeby ojciec Diany Kessler cofnął swoje słowa. Dążyłem do tego, żeby wdrapać się do jego klimatyzowanego, wysłanego milami dywanów apartamentu w Stewart City i zmusić go do przeprosin za nazwanie mnie „bezwartościowym zerem”. Prawdę mówiąc, nie było mi dane zasmakować zemsty. Stary umarł, zanim mocno stanąłem na nogach. A umarł nie wzywając do siebie córki i nie rozmawiając z nią od chwili, gdy oznajmił mi nowinę. Nigdy się nie zemściłem.

— Zemsta wcale nie jest słodka — powiedział Carella. — Jest nudna.

— Pewnie, ale mnie by ucieszyła. Wiem na pewno. Pięć lat później byłem gotów napluć mu w oczy, ale on wahał już kwiatki od spodu, a przecież nie chodzi się na grób człowieka, by na niego pluć. Pięć lat później kupiłem dom w Smoke Rise. Nie byłem jeszcze w pełni na to przygotowany, wiedziałem jednak, że będzie dla mnie ważny. I był. Dom to cudowny atut w handlu, panie Carella. Zdziwiłby się pan, gdyby pan wiedział, na ilu ludziach robią wrażenie rekwizyty codziennego życia — domy, srebra, samochody — dekoracje z wystawy! A teraz... jestem tutaj. Nadal posiadam dom i mam albo będę miał dość akcji, żeby zostać prezesem Grangera. Mój syn chodzi do prywatnej szkoły, mam kucharkę, szofera, ogrodnika, pokojówkę, sportowy wóz dla żony, cadillaca dla siebie i dość pieniędzy, żeby mieć, czego zapragnę, panie Carella. Czego tylko zapragnę.

— Więc co pan tu robi? — spytał Carella. — Dlaczego jedzie pan swoim wozem, czekając na kontakt z ludźmi, którzy mogą się okazać gorsi od morderców?

— Nie wiem. A raczej tak, wiem dlaczego. Nie mogę dać im pieniędzy, których żądają. Nie mogę, bo to by mnie zabiło. Jeżeli jestem przez to świnią, trudno, niech nią będę. Ale nie zmienię siebie, panie Carella. Odrażająca wiedźma, która zmienia się w piękną księżniczkę, ropucha, która zmienia się w księcia, parszywy łotr, który nagle pojmuje swoje błędy i

ślubuje czynić do końca życia tylko dobro, to bajki, dyrdymałki dla amerykańskich widzów. Ja się już nie zmienię. Wiem to ja, panie Carella, wie Diana i wróci do mnie, bo mnie kocha. Ja się już nie zmienię. A jeżeli jestem świnia, to trudno. Jednak walczyłem całe życie, więc choć nie mogę dać porywaczom pieniędzy, których żądają, to mogę z nimi walczyć właśnie tak — współpracując z wami, robiąc coś!

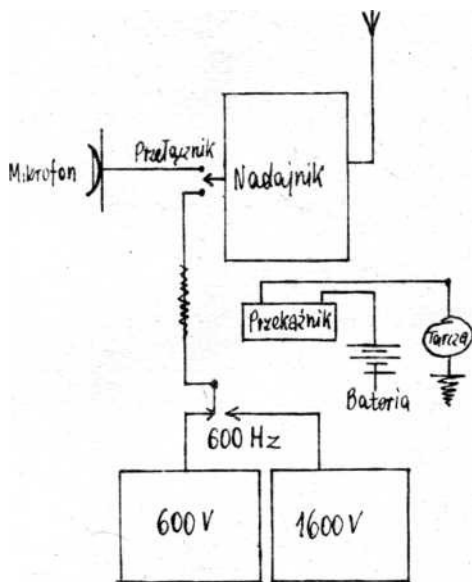
Potrząsnął głową.

— Wiem, że to wszystko nie ma sensu. Przez pierwsze pół roku małżeństwa żyliśmy w mieszkaniu, gdzie karaluchy były wielkości nietoperzy. Za nic nie chcę, żeby się to powtórzyło, panie Carella. Chcę mieć dom w Smoke Rise, chcę mieć służbę, chcę mieć cadillaca z telefonem na desce rozdzielczej...

W tejże chwili telefon na desce rozdzielczej zadzwonił.

Wystarczyło po prostu dowiedzieć się, na jakim paśmie pracują telefony we wszystkich autach w okolicy. Gdy zdobyło się tę informację, równie łatwo kradło się potrzebny sprzęt: oscylatory po sześćset i tysiąc sześćset woltów, nadajnik, różne przekaźniki i przełączniki, wreszcie baterie. Nieco trudniej poszło z tarczą cyfrową, którą Kathy uznała za element obcy w aparaturze radiowej tylko dlatego, że istotnie tak właśnie było. Tarcza ta była zwykłą tarczą telefoniczną połączoną z baterią i przekaźnikiem, umożliwiającym połączenie się z telefonem w samochodzie Kinga i sprawiającym, że dzwonił. Po podniesieniu przez Kinga słuchawki Eddie mógł rozmawiać z nim przez mikrofon podłączony do nadajnika radiowego. Numer telefonu w jego wozie uzyskali, rzecz jasna, w spółce telefonicznej.

Wstępny szkic aparatury Eddiego. Folsoma wyglądał następująco:



Urządzenie to stało się teraz rzeczywistością. Nerwowo wykręcił numer. W tej chwili zaś, drżącą ręką ściskając mikrofon, czekał przy odbiorniku dostrojonym tak, by pochwytać głos Kinga, i nadajniku gotowym do przekazania poleceń.

Podnieś słuchawkę, powiedział w myślach.
Podnieś ją!!!

— Co...? — powiedział King.

— Co to...? — odezwał się spod tylnego siedzenia Carella.

— Telefon! Dzwoni telefon.

— Boże święty, a więc to tak... Niech pan odbierze! No, niech pan odbierze!

King zdjął słuchawkę z deski rozdzielczej.

— Halo? — powiedział.

— W porządku, panie King, to ja — odezwał się Eddie. — Niech pan słucha uważnie, bo będzie pan dostawał polecenia przez telefon aż do chwili, gdy dojedzie pan tam, gdzie chcemy. Zrozumiał pan?

— Tak. Tak, słucham.

— Nikt panu nie pomoże, panie King, ponieważ tej rozmowy nie można namierzyć. Używam nie telefonu, ale nadajnika radiowego. Więc gdyby przyszło panu na myśl zatrzymać się i dać komuś znać, to niech pan to sobie wybije z głowy. Wiemy dokładnie, ile zajmuje jazda tam, dokąd pan jedzie, proszę więc, żadnych sztuczek. Teraz niech pan uważa. Gdzie pan jest?

— Jestem... nie wiem.

— Dobrze, proszę trzymać słuchawkę. Nie odwiesi jej pan aż do końca jazdy. Niech pan ją trzyma w ręku, a po minięciu następnej przecznicy powie mi pan, gdzie pan jest.

— Dobrze.

— Co powiedział? — spytał szeptem Carella.

Kłęczał tuż za fotelem Kinga, z ustami przy jego uchu. King potrząsnął głową i wskazał na słuchawkę.

— Myśli pan, że nas usłyszy? — szepnął Carella.

King potwierdził skinieniem głowy.

— Przechodzę na przednie siedzenie. Od tej chwili ja będę z nim rozmawiał. Dźwięk w tym telefonie jest na pewno kiepski. Miejmy nadzieję, że on nie pozna się na zmianie głosu. Czego chce?

— Nazwy przecznicy — szepnął King, gdy Carella przelazł przez fotel i wziął od niego słuchawkę.

Carella spojrział przez przednią szybę i podniósł słuchawkę do ust.

— Dojeżdżam do rogu Trzydziestej Dziewiątej Północnej i Culver — powiedział do mikrofonu.

Było jasne, że Eddie nie poznał się na zmianie głosu. Mówił bowiem spokojnym i pewnym tonem.

— Niech pan skręci w lewo, w Północną Czterdziestą. Jedzie cały czas na południe c z do Grover Avenue, a tam znów skręci w lewo. Pojedzie pan przez miasto aż do Czterdziestej Ósmej, gdzie zobaczy pan wjazd do parku. Skręci pan tam i pojedzie dalej. Kiedy znajdzie się pan przy Hall Avenue, da mi pan znać. Zapamiętał pan?

— W lewo, w Czterdziestą Północną — powtórzył Carella. —

Na południe do Grover, potem znowu w lewo. Przez miasto do Czterdziestej Ósmej, a potem do parku. Dobrze.

Przykrył dłonią mikrofon słuchawki.

— Zapamiętał pan, panie King? — spytał.

— Tak.

— Podaje nam trasę po kawałku, żebyśmy nie mogli zawiadomić najbliższego policjanta, dokąd jedziemy. Przebiegłe dranie. — Carella zmarszczył brwi. — Żebym to ja wiedział, jak im przeszkodzić. Żebym to ja wiedział.

*

Siedzący w zaparkowanym samochodzie Sy Barnard zapalił dziesiątego papierosa w ciągu pół godziny. Z niepokojem spojrzął na zegarek. Znów zerknął na drogę. Samochód stał w lesie, całkowicie zasłonięty od strony drogi przez stary warsztat napraw elektrycznych. Osłona ta, prawdę powiedziawszy, nie była potrzebna. W ciągu minionej pół godziny przejechał tędy zaledwie jeden samochód, a w dniu, kiedy z Eddie'm wybierali to miejsce, w ciągu dwóch i pół godziny naliczyli jedynie trzy przejeżdżające wozy. Prawdopodobieństwo, że zauważy go jakiś ciekawski kierowca, było znikome, prawie żadne... Było też prawie niemożliwe, żeby przejeżdżał tędy policyjny wóz patrolowy. Zapoznawszy się dokładnie z listą zablokowanych dróg Sy wiedział, że najbliższa policyjna barykada stoi na dużym skrzyżowaniu o jakieś piętnaście mil na zachód. Łatwo uniknął jej jadąc tutaj, wiedział też, że z łatwością ominie ją wracając na farmę;

Nawet gdyby King nie zastosował się do poleceń, gdyby nawet, dla przykładu, za czarnym cadillakiem podązał właśnie wóz policyjny, to i tak ich plan był bezbłędny. A jego najwspanialszy szczegół stanowił fakt, iż oprócz Kinga nikt inny nie wiedział, dokąd on jedzie, sam King zaś dowiadywał się tego po troszeczkę, tak że w żaden sposób nie mógł przekazać niczego sensownego osobom trzecim. Szopa warsztatu samochodowego stała tuż za zakrętem. Gdyby za Kingiem podązał wóz policyjny, to musiałby trzymać się w sporej odległości za nim, gdyż inaczej groziło mu wykrycie.

Jego wykrycie zaś zagroziłoby życiu chłopca, tak więc Sy miał pewność, że jakikolwiek podążający śladem Kinga wóz policyjny będzie się trzymał w znacznej odległości za nim. Pewne było również to, że porozumiewający się z Kingiem przez telefon Eddie dowie się, kiedy tamten znajdzie się o pięć mil od tego miejsca. Polecą mu zjechać na pobocze i otworzyć okno z prawej strony. Potem zaś każe mu znów ruszyć. Kiedy King znajdzie się o pół mili od szopy, Eddie zawiadomi go, że zbliża się do zakrętu, i każe mu zaraz po jego minięciu zwolnić, zjechać na bok, zatrzymać się i wyrzucić pudełko z pieniędzmi przez okno w krzaki po prawej stronie drogi. Potem zaś King jak najszybciej odjedzie stamtąd, wypełniając polecenie otrzymane przez telefon.

Właśnie to było najwspanialsze w całym planie. Że w chwili wyrzucania pieniędzy wozu policyjnego nie będzie w zasięgu wzroku. A kiedy dotrze do szopy, King dawno stamtąd odjedzie. Nie zobaczą, jak zostawia pieniądze, nie będą nawet wiedzieć, że je zostawił, i pojedą za nim. Eddie w dalszym ciągu będzie rozmawiał z Kingiem. Doprowadzi go na sam koniuszek Sands Spit, tam go zawróci i poprowadzi z powrotem do miasta, inną trasą. Jadący za Kingiem wóz policyjny, jeżeli w ogóle jakiś pojedzie, podąży jego śladem. Eddie będzie porozumiewał się z Kingiem przez telefon do chwili, aż on, Sy, weźmie pieniądze i wróci na farmę, a w momencie gdy stanie w progu domu, Folsom przerwie transmisję. King — wraz z policjantami, gdyby go jacyś śledzili — zostanie sam i może jechać sobie, dokąd chce. Mogą nawet, jeśli wola, zawrócić do szopy, jego, Sya, przecież dawno tam nie będzie.

Tak więc plan był wspaniały.

A mimo to Sy denerwował się.

Nie mógł stłumić w sobie uporczywego przeczucia, że coś się nie uda.

Ale nie potrafił powiedzieć co.

Nie należał bowiem, moi drodzy, do czytelników Pisma Świętego.

Nie miał pojęcia, że cisi i pokorni odziedziczą ziemię.

— Dobrze, dojeżdża pan do Black Rock Span — powiedział Eddie Folsom, z uwagą przyglądając się mapie. — Jest tam roгатka, a opłata za przejazd wynosi ćwiartkę, panie King, dwadzieścia pięć centów. Niech pan wyjmie z kieszeni drobne i trzyma w pogotowiu. Niech pan nie wręcza bileterowi studolarowego banknotu ani niczego, co zwraca uwagę. I niech pan się do niego nie odzywa. Jeśli jedzie za panem policja, to nic to panu nie da. Jeżeli w chwili przekazania pieniędzy będą przy panu jacyś policjanci, wszystko odwołamy i zabijemy chłopca. Słyszysz mnie pan, panie King?

— Tak, słyszę — odparł Carella.

— Dobrze — powiedział Eddie. — Przejedzie pan przez roгатkę i wjedzie na most. Po przejechaniu przez most da mi pan znać, a ja powiem co dalej. Przekazanie jakiegokolwiek informacji policjantowi, który pobiera opłatę, nic panu nie pomoże, bo nie wie pan, dokąd jedzie. Zrobi pan jakiś szpas, to zabijemy chłopca.

Przysłuchując się swojemu mężowi Kathy skrzywiła się na te słowa.

Zabijemy chłopca.

Zabijemy chłopca!!!

Mój mąż, pomyślała.

Moja wina.

W cadillacu Steve Carella sięgnął do tylnej kieszeni spodni i wyjął portfel. Szybko otworzył go na przegródce, gdzie do skóry przypięta była jego oznaka policyjna. Odpiął ją, wyjął notes i pośpiesznie napisał:

Zadzwoń do komendy policji. Przekaż, że z Kingiem skontaktowano się drogą radiową przez telefon w jego samochodzie. Załatw to! Szybko!

Detektyw Steve Carella

Przypiął oznakę policyjną do karteczki, wyjął z kieszeni

ćwierć dolara i dał znać Kingowi, żeby podjechał do budki na roгатce, gdzie pobierano ćwierćdolarówki, od strony siedzenia pasażera.

— Jest pan jeszcze przy roгатce, panie King? — spytał Eddie.

— Właśnie dojeżdżam — odparł Carella.

— Ma pan drobne?

— Tak, mam ćwierć dolara.

— Dobrze. Tylko żadnych numerów.

Samochód zwolnił i podjechał do roгатki. Carella wręczył umundurowanemu policjantowi opłatę, kartkę i oznakę policyjną. Kiedy King ruszał, włączając się w sznur samochodów przejeżdżających przez most, energicznie skinął głową roгатkowemu.

— Zjeżdża pan już z mostu, zgadza się? — spytał Eddie.

— Tak — odparł Carella.

— Dobra, niech pan skręci w lewo. Nie chcę, żeby pan pojechał do Calm's Point. Jest tam duży znak „Autostrada Mid-Sands”. Pojedzie pan nią.

Stojąca za plecami męża Kathy zaczęła formować sobie w głowie pełny obraz tego, co oznaczają znaki na planie ulic. Miejsce okolone czerwonym kółkiem oznaczało na pewno dom Douglasa Kinga, a czerwona linia była niewątpliwie trasą, którą prowadził tamtego Eddie. Napisem „Farma” opatrzone z całą pewnością te zabudowania przy Fairlane Road, o jakieś pół mili od Stanberry Road. A miejsce obwiedzione niebieską gwiazdą...?

— Proszę jechać aż do bramy numer osiemnaście — powiedział Eddie. — Zrozumiał pan?

— Zrozumiałem — potwierdził Carella.

Kathy nie wiedziała, co myśleć o niebieskiej gwiazdzie, ponieważ czerwona linia przechodziła przez nią i biegła aż do końca półwyspu, gdzie znowu skręcała i zawracała w stronę miasta. Jeżeli przekazanie pieniędzy...

Ależ tak!

Niebieska gwiazda oznaczała kryjówkę Sya. Domyślała się, że

każą Kingowi zostawić okup i jechać dalej, żeby się go stamtąd pozbyć albo żeby zmylić tych, którzy mogliby jechać za nim. A więc Sy Barnard czaił się przy...

Przyjrzała się mapie bliżej.

...czaił się przy Tantamount Road, tuż za zakrętem Drogi 127.

— Eddie — powiedziała.

— Nie teraz, jak Boga Kocham! — krzyknął, zakrywając dłonią mikrofon.

— Eddie, dajmy temu spokój. Proszę cię. Proszę.

— Nie! — odparł. — Gdzie pan jest teraz, panie King? — powiedział do mikrofonu.

— Zbliżam się do bramy Piętnastej — odrzekł Carella.

— Kiedy minie pan Szesnąstą, zawiadomi pan mnie — polecił Eddie.

— Dobrze — powiedział Carella i przykrył dłonią mikrofon słuchawki.

— Dokąd on nas prowadzi, jak pan sądzi? — spytał King.

— Nie wiem. Gdzieś na półwysep. — Carella potrząsnęła głową. — Gdybyśmy to wiedzieli, panie King...

Sy Barnard znów spojrział na zegarek.

Już niedługo. Dawaj, Eddie! — pomyślał. Pośpiesz go. Niech przyjedzie tu ze skarbem. Niech zostawi forszę, ja ją wezmę i niech szczęśliwie wróć na farmę.

Dawaj! Proszę. Pośpiesz się!

Wprawdzie Sy nie zdawał sobie z tego sprawy, ale się modlił.

— Rozumiesz coś z tego, Harry? — spytał policjant w mundurze.

Jego kolega z sąsiedniej budki na roгатce wręczył resztę jakiemuś kierowcy i spytał:

— Co?

— Ścis� na chwilę radio.

— Dobra — odparł tamten i przyciszył radio. — O co chodzi?

— Jakiś gość właśnie mi to wręczył. Rozumiesz coś

z tego?

Harry przyjrzał się oznace detektywa i przeczytał list.

— Co z tego rozumiem? Ty barani łbie, ten facet to detektyw policyjny! Łap się za telefon!

— Skąd wiesz, że nie lipny?

— Kolego, takich oznak nie kupisz w sklepie z tysiącem i jeden drobiazgów!

— Komenda policji, detektyw Snyder.

— Mówi posterunkowy Umberson, numer 63457, dzwonię z roгатki na Black Rock Span.

— Tak, o co chodzi, Umberson?

— Przez roгатkę przejechał właśnie czarny cadillac. Jakiś facet wręczył mi oznakę i list z prośbą, żebym zadzwonił do komendy.

— Jaką oznakę?

— Detektywa.

— Numer?

— Chwileczkę. — W słuchawce ucichło. — Numer 8712 — powiedział Umberson.

— I co z tego?

— W tym liście jest prośba o powiadomienie komendy, że z Kingiem skontaktowano się drogą radiową przez telefon w jego samochodzie. Napisano, żeby to załatwić. Mówi to panu coś?

— Skontaktowano się z Kingiem?... — Detektyw Snyder wzruszył ramionami. — Dopiero co objąłem dyżur — powiedział. — Nic mi to nie mówi. Sprawdzę, co z tą o- znaką, czy jest prawdziwa. Jak nazwisko tego gościa?

— King.

— King, tak? Jak ten gość od porwania w Smoke... — Snyder drgnął, a potem nagle wykrzyknął: — O, mój

Boże!

— Odwołaj to, Eddie — powiedziała Kathy. — Skończ z tym. Weźmiemy chłopca i...

— Niczego nie odwołam! — warknął Eddie. — Muszę to zrobić, Kathy! Muszę!

— Proszę cię. Jeżeli mnie kochasz, to żądam, żebyś...

— Zgłaszam się, właśnie minąłem bramę Siedemnastą — odezwał się Carella.

— Świetnie. Niech pan w nią skręci i minie cztery przecznice w kierunku północnym. Potem niech pan zawróci i dojedzie do poprzedniej bramy. Pojedzie pan w przeciwną stronę — powiedział Eddie. — Dojedzie pan do następnej bramy, Piętnastej. Powie mi pan, kiedy...

— Chłopiec jest na farmie przy Fairlane Road, pół mili od Stanberry! — krzyknęła zniecka Kathy do odsłoniętego mikrofonu.

— Cholera jasna... — zaczął mówić Eddie i obrócił się twarzą do żony, ale za późno, bo już ich zdradziła, a słowa potoczyły się z jej ust.

— Sy Barnard czeka w samochodzie...

— Kathy, przestań, zwariowałaś?!

— ...przy Tantamount Road, za zakrętem na drodze sto dwadzieścia siedem.

— Słyszał pan?! — zawołał Carella.

— Słyszałem — odparł King.

Carella z trzaskiem odwiesił słuchawkę na haczyk.

— Jedziemy na Tantamount Road, przy drodze sto dwadzieścia siedem — powiedział do Kinga. — Prosto, a potem skręt w bramę Dwudziestą Drugą. Gaz do deski. Pał sześć ograniczenia prędkości.

Zdjął słuchawkę z haczyka i zaczął czekać na zgłoszenie się centrali.

— Z kim połączyć? — spytała telefonistka.

— Tu oficer policji — powiedział Carella. — Natych miast proszę z komendą.

— Tak jest!

Sy Barnard siedział w samochodzie paląc piętnastego papierosa z rzędu, kiedy na zakręcie pojawił się czarny cadillac.

Jest! — pomyślał. Jest!

Samochód zwolnił i zatrzymał się. Okno po prawej stronie miał otwarte. Sy obserwował je, spodziewając się zobaczyć w

nim ręce, spodziewając się ujrzeć kartonowe pudełko, które wpada w krzaki. Ale zamiast tego otworzyły się drzwi i ze środka wypadł mężczyzna z pistoletem w dłoni.

Co, do jasnej...?! — pomyślał i przeklął Eddiego za to, że go jakoś nie ostrzegł, ale przestał kłąć, bo zdał sobie sprawę, że przecież nie było to możliwe, i zaczął się zastanawiać, co nie wyszło. Przekręcił kluczyk w stacyjce, zapalił silnik i musiał się schylić, bo ten skurwysyn z pistoletem zaczął strzelać. Ruszył prosto na niego. Tamten jednak nie przestał strzelać. Dwie kule strzaskały przednią szybę, ale Sy minął strzelającego i zobaczył, że z cadillaca wyskoczył drugi mężczyzna. Nim wóz dotarł do autostrady, Sy usłyszał kanonadę, poczuł, że samochód nagle przechyla się, chwieje, i natychmiast rozpoznał, że przestrelili mu oponę. Kiedy roztrzaskała się tylna szyba, ocenił, że większe szanse ucieczki ma na piechotę. Przejechał uszkodzonym wozem jeszcze kilka kroków, wyskoczył z niego, kiedy samochód wciąż się toczył, i pobiegł w las.

Ten z pistoletem zmieniał magazynek.

A ten drugi, z siwiejącymi skroniami, puścił się za nim biegiem.

Sy błyskawicznie wy dobył pistolet, odwrócił się, dwa razy strzelił, ale chybił.

Wpadł do lasu.

— Poddaj się! — krzyknął facet za jego plecami. — Wiemy, gdzie jest twój wspólnik!

— Idź do diabła! — odkrzyknął Sy, odwrócił się i znów strzelił, ale goniący go nie zwolnił kroku. Wbiegł za nim ciężko między drzewa, więc strzelił do niego jeszcze raz i raptem zabrakło mu kul. Odrzucił bezużyteczny pistolet. Sięgnął do kieszeni i rozbłysnął sprężynowy nóż. Wtem, okrążając nagie skałki, nadbiegł jego potężny prześladowca.

— Stój! — powiedział cicho Sy.

— Nie pieprz! — odparł Douglas King i rzucił się na niego.

Nóż sieknął w górę i rozciął Kingowi płaszcz. Śmignął znowu i tym razem wszedł głębiej, rozcinając mu marynarkę i pozostawiając na ciele krwawą krechę. King ścisnął Sya za gardło.

— Ty skurwysynu! Ty parszywy skurwysynu! — wymamrotał, coraz mocniej zaciskając dłonie i przypierając Sya do drzewa.

Nóż błyskał raz tu, raz tam, szukając ciała. Ale King ani myślał rozluźnić chwytu na gardle porywacza. Potężny mężczyzna, którego ręce kroili kiedyś twardą skórę, zaczął walić głową Sya o drzewo, nawet przez chwilę nie zwalniając uścisku. W milczeniu, bezlitośnie, w szewskiej pasji tłukł drugiego mężczyznę, póki tamten nie wypuścił noża z osłabłych palców.

Oszołomiony, wyczerpany tym waleniem Sy wymamrotał tylko:

— Mam... mam dość.

Ale Douglas King nie znał odzywki z filmu „Sieć”. Więc trzymał Sya, dopoki nie nadbiegł Carella z kajdankami.

I tak się to skończyło.

Policjanci, którzy odpowiedzieli na wezwanie z komendy, zajechali na podwórze farmy i zatrzymali wóz patrolowy. Wyciągnęli rewolwery, stanęli po obu stronach drzwi domu i czekali. W środku było cicho. Jeden z nich ostrożnie nacisnął klamkę u drzwi, które nie stawiały oporu.

Pośrodku rozłożonej do spania kanapy siedział ośmioletni chłopiec z kocem na ramionach.

— Jeff? — spytał policjant.

— Tak.

— Nic ci nie jest?

— Nic.

Policjant rozejrzał się uważnie po pomieszczeniu.

— Jest tu z tobą ktoś?

— Nie.

— Dokąd pojechali? — spytał drugi policjant.

Jeff Reynolds dłuższy czas zwlekał z odpowiedzią.

— Kto pojechał? — spytał wreszcie.

— Ci, którzy cię tu trzymali — odparł policjant.

— Nikt mnie tu nie trzymał — odpowiedział Jeff.

— Co? — spytał pierwszy policjant. Zajrzał do czarnego

notesu. — Posłuchaj — rzekł cierpliwym tonem, jakby zwracał się bardziej do oszołomionego dorosłego niż do dziecka. — Detektyw nazwiskiem Carella zadzwonił do komendy z telefonu w samochodzie. Powiedział, że cię przetrzymują na farmie przy Fairlane, pół mili od Stanberry. No i jesteś tutaj. Powiedział też, że kobieta imieniem Kathy wykrzyczała tę informację do mikrofonu radiowego i że był z nią jakiś mężczyzna. Więc gdzie oni są, synku? Dokąd pojechali?

— Nie wiem, o czym pan mówi — odparł Jeff. — Byłem tu całkiem sam, od wyjścia Sya.

Policjanci wymienili spojrzenia.

— Musi być w szoku — zawyrokował jeden z nich.

Jeff trzymał się swojej wersji.

A ponieważ życie lubi płać małe niespodzianki, to Sy Barnard potwierdził bajeczkę chłopca. Oświadczył, że nie wie, z kim rozmawiała policja. Nie zna nikogo imieniem Kathy. Całe porwanie zaplanował i przeprowadził w pojedynkę.

— My wiemy, że kłamiesz — powiedział kapitan Byrnes. — Ktoś musiał przecież obsługiwać ten nadajnik.

— Może jakiś Marsjanin — odparł Sy.

— Co, u diabła, chcesz zyskać kłamiąc? — spytał Carella. — Kogo kryjesz? Nie wiesz, że to ta kobieta cię wsypała?

— Jaka kobieta?

— Kobieta imieniem Kathy. Kiedy się wygadała, ten mężczyzna wykrzyknął jej imię.

— Nie znam żadnej Kathy — powtórzył Sy.

— O co chodzi, o jakiś wasz kodeks? Prawo bandy? Że nie wolno sypać? Powiedziała nam dokładnie, gdzie cię znaleźć, Barnard!

— Nie wiem, kto mógł wam to powiedzieć, bo porwanie zorganizowałem sam — trwał przy swoim Sy.

— Złapiemy ich, Barnard, z twoją pomocą lub bez niej.

— Tak? — spytał Sy. — Nie wiem, jak złapiecie kogoś, kogo nie ma.

— Rzygać mi się chce, jak widzę honorowego złodzieja —

powiedział Andy Parker.

— To rzygaj — odparł Sy, na co rozzłoszczony Parker uderzył go znienacka.

— Jak ma na nazwisko ta sztuka? — spytał.

— Nie wiem, o kogo chodzi.

Parker uderzył Sya jeszcze raz.

— Kathy, Kathy... — powiedział. — Kathy jaka?

— Nie wiem, o kim mowa — odparł Sy.

— Co ty nam wmawiasz? — spytał Parker. — Wiesz cholernie dobrze, kim...

— Ja niczego nie wmawiam — przerwał mu Sy.

Parker zamierzył się na niego pięścią.

— Opuść ręce, Andy — powiedział Carella.

— Chcę...

— Opuść ręce — powtórzył Carella i zwrócił się do Sya. — Źle robisz, Barnard, a do tego wcale nie pomagasz swoim kumplom. Złapiemy ich. Dajesz im wyłącznie czas.

— Może nic więcej im nie potrzeba — odparł Sy, a w jego głosie zabrzmiał smutek. — Może wszystkim potrzeba tylko trochę czasu.

— Zamknąć go — polecił Byrnes.

Rozdział czternasty

W pokoju detektywów 87 posterunku Steve Carella pisał na maszynie końcowy raport w sprawie porwania Jeffa Reynoldsa. Był przenikliwie zimny dzień przy końcu listopada, więc nieprzytulne wnętrza biur wydawało się miłsze dzięki parze unoszącej się ze stojącej na biurku filiżanki z kawą. Słabe listopadowe słońce wciskało się przez okna z kratami przypominającymi ruszty, znacząc podłogę bladymi plamami. Carella wyrwał z maszyny trzy egzemplarze raportu, oddzielił kalki, obrócił się do Meyera Meyera i powiedział:

— Finis.

— Koniec artykułu — rzekł Meyer Meyer. — Steve Carella, reporterska gwiazda „Szmatawca Isoli”, kładzie słowo koniec pod kolejnym oszalamiającym reportażem. Sprawiedliwość jeszcze raz triumfuje. Sy Barnard gnije w mamrze. Policja się raduje. Jeszcze jedno zagrożenie dla porządku publicznego zlikwidowane. Steve Carella, reporterska gwiazda, zapala papierosa i rozmyśla nad zbrodnią i karą, sprawiedliwością i potęgą prasy. Brawo, Carella! — krzyczy tłum. — Niech żyje Carella! — ryczy tłum. — Carella na prezy...

— Odczep się — przerwał mu Carella.

— No a co z tymi, którzy działali za kulisami? — spytał pompatycznie Meyer. — Co z tajemniczą kobietą, znaną jedynie z imienia jako Kathy? Co z mężczyzną, który wykrzyknął jej imię do mikrofonu nadajnika na tej samotnej, opuszczonej farmie? Gdzie są teraz? Można by spytać, bo nawet nasza nieustraszona reporterska gwiazda nie zna na nie odpowiedzi.

— Domyślam się, że wyjechali z kraju — powiedział Carella. — Życzę im szczęścia.

— A po jakie lichy? Porywaczom?

— Dzieci są jak szczeniaki — odparł Carella. — Jeżeli Jeff Reynolds odmówił ugryzienia czyjejś ręki, to ta ręka musiała być dla niego dobra. Tak to widzę. Kto, u diabła, wie, co się za

tym wszystkim kryło, Meyer? Barnard nic nie mówi i nie powie. Wolałby pójść na krzesło, niż zarobić na miano kapusia. W więzieniu Castievew to milczenie zapewnia mu duży mir jako temu, który nie pękł przed glinami. Niech mu będzie, niech ta wesz ma swój dzień chwały. Może wszyscy mają prawo do takiego dnia. — Zamilkł. — Kathy. To miłe imię.

— Pewnie. I na pewno jest to również miła dziewczyna — odparł Meyer. — Tyle tylko, że brała udział w porwaniu.

— Nie znamy faktów — rzekł Carella. — Może zasłużyła sobie na taki prezent od Jeffa Reynoldsa. Kto wie?

Kamienne spojrzenie Steve'a Carelli zmiękło, bo pod nieprzystępną powierzchownością tej gwiazdy reportażu biło serce starej poczciwej praczki. — Meyer westchnął. — Kogo wybielimy następnym razem? Douglasa Kinga?

— King oberwał za swoje — powiedział Carella.

— Sam sobie winien. Wiesz, z czego ten drań najbardziej się cieszył po wszystkim? Z tego, że ta przekłeta transakcja z akcjami doszła do skutku i że zostanie prezesem swojej parszywej fabryki butów. I co ty na to, Steve? Co ty na to?!

— Niektórzy goście zawsze zagarniają całą pulę — odparł Carella. — Czy wiesz, że wróciła do niego żona?

— Oczywiście. Dlaczego szubrawcy tego świata zawsze zdobywają nagrody?

— Dlaczego dobrzy umierają młodo? — dokończył za niego Carella.

— Ja jeszcze żyję — przypomniał Meyer.

— King również. W tej parszywej sprawie może nikt nie zapłacił okupu, a może wszyscy.

— Jak to? — spytał Meyer.

— Daj mu czas. Nie musiał przecież wystawiać się na ciosy tego noża.

— To, że facet miał odwagę stanąć twarzą w twarz z nożownikiem, wcale nie oznacza, że odważy się stanąć twarzą w twarz z samym sobą.

— Złote myśli, złote myśli — powiedział Carella. — Daj mu czas. Uważa, że nie potrafi się zmienić. A ja uważam, że musi się zmienić, bo inaczej koniec z nim. Jak myślisz, dlaczego

wróciła do niego żona? Ponieważ King pomaga starszym paniom w przejściu przez ulicę?

— Ponieważ postawiła na tego szubrawca, ot co — odparł Meyer.

— Oczywiście. Ale nie na Obuwie Grangera.. Postawiła na Douglasa Kinga. A zrobiła na mnie wrażenie takiej, która wie, kiedy sprzedać akcje spadające w cenie.

— Uważaj, bo cię przetrzucimy do redakcji ekonomicznej — ostrzegł Meyer.

— Huuu! — huknął Andy Parker od bramki w barierce z listew, zabijając rękami o boki i wchodząc ciężkim krokiem do biura. — Jeżeli tam na dworze jeszcze się oziębi, to wyjeżdżam na biegun północny.

— Jak tam na ulicach?

— Zimno.

— Pytałem o...

— Kto to wie. Myślisz, że w taką pogodę szukam przestępców? Szukam ciepłych sklepów ze słodyczami, oto czego szukam.

— Wszyscy się zmieniają, co? — mruknął Meyer. — W dniu, w którym zmieni się Andy Parker, zostanę sprzątaczem ulic.

— Ty już sprzątasz ulice — odezwał się Parker. — Skąd masz tę kawę, Stevie?

— Od Miscola.

— Hej, Miscolo! — ryknął Parker. — Przynieś mi kawusię!

— Kiedyś na pewno za to zapłaci — rzekł w zamyśleniu Carella.

— Co? Kto za co zapłaci? — spytał Parker.

— King — odparł Carella. — Swój własny okup.

— Nie lubię zagadek, kiedy jest mi zimno — powiedział Parker.

— To dlaczego zostałeś policjantem?

— Matka mnie zmusiła. — Parker zamilkł. — Miscolo, co jest z tą kawą?!

— Już idzie, idzie! — odkrzyknął Miscolo.

— Przykro mi odkładać tę sprawę do akt — powiedział Carella przeglądając raport.

— Dlaczego? — spytał Meyer Meyer.

— Może dlatego, że dla mnie jest ona nadal otwarta. Jest nadal otwarta dla wielu osób, Meyer.

Meyer uśmiechnął się szeroko.

— Łudzisz się — powiedział i w tej chwili w pokoju zjawiała się kawa, którą wniósł niepewnie, obciążony filiżankami i dużym dzbankiem, Miscolo, a w nozdrza wszystkich uderzył jej aromat.

Detektywi nalali sobie, wypili i opowiedzieli porcję sprośnych dowcipów.

Za oknem posterunku czało się miasto.

Ed McBain (prawdziwe nazwisko Evan Hunter) należy do wybitnych pisarzy amerykańskich. Zaczynał od pracy w agencji literackiej, by wkrótce zacząć się pisaniem na własny rachunek. Pod pseudonimem Ed McBain

klub srebrnego klucza



opublikował około pięćdziesięciu powieści kryminalnych, których bohaterami uczynił funkcjonariuszy policji z 87 posterunku w Nowym Jorku. Jeden z nich, Steve Carella, stał się sławny na całym świecie.

„Szewska pasja” to pierwszy kryminał tego autora na polskim rynku. Bohaterem jest dyrektor fabryki obuwia, który staje przed dylematem: zapłacić 500 000 dolarów okupu porywaczom syna swego szofera, czy pieniądze te przeznaczyć na sfinansowanie transakcji, która uczyni go właścicielem fabryki.